



KRYSTYNA CHEŁMICKA
(IWAŃSKA)

MIŁOŚCI NA CHWAŁĘ :: CZY W OFIERZE ::

ŚMIERCI NIEMA. — MORZE. — WALA. — JANKU! — PRZESZŁOŚĆ. —
WESELE. — BRACISZEK. — W NOC CIEMNĄ. — WIEŚ I SŁOŃCE. —
Z MROKÓW WOJNY. — (1. Dlaczego? 2. Nasze wojska. 3. Sani-
tarjuszka. 4. Hała. 5. Zmarłychwstanie). — WE DWORZE. —
NA POSADZIE.

WYDANIE POŚMIERTNE.

SKŁAD GŁÓWNY.
W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA.
WARSZAWA 1917

MIŁOŚCI NA CHWAŁĘ, CZY W OFIERZE.

Całkowity dochód przeznaczają się na stypendjum imienia
Krystyny z Chełmickich Iwańskiej dla niezamożnych stu-
chaczek Uniwersytetu Warszawskiego do uznania Tow.
„Bratnia Pomoc S. U. W.”

INSTYTUT
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat 72

00-000 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42





KRYSTYNA CHELMICKA
(IWAŃSKA)

MIŁOŚCI NA CHWAŁĘ :: CZY W OFIERZE ::

ŚMIERCI NIEMA. — MORZE. — WALA. — JANKU! — PRZESZŁOŚĆ. —
WESELE. — BRACISZEK. — W NOC CIEMNĄ. — WIEŚ I SŁONCE. —
Z MROKÓW WOJNY. — (1. Dlaczego? 2. Nasze wojska. 3. Sanitar-
farjuszka. 4. Hala. 5. Zmartwychwstanie). — WE DWORZE. —
NA POSADZIE.

Wydanie pośmiertne.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. ... w. ... Nr 72
... Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-62-81 w. 42

SKŁAD GŁÓWNY.
W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA.
WARSZAWA 1917.



Druk Piotra Laskauera
Warszawa, Marjensztad 8.

445

Gepprüft und freigegeben durch die Kais. Deutsche Presseabteilung Warschau,
den 30/XI. 1916. T. № 3650. Dr. № 176.

Krystyna z Chełmickich Iwańska urodziła się we wsi Lipnicy w Jedrzejowskim dnia 24 sierpnia 1890 roku. Pochodziła z rodziny zdawna osiadłej w ziemi Dobrzyńskiej, przechowującej święcie w każdym pokoleniu tradycje narodowe. Czciała też zawsze pamięć pradziada, Romana Chełmickiego, uczestnika spisku Zawiszy z roku 1833, długoletniego wygnańca na Syberji, i stryja, Wacława, poległego w powstaniu roku 1863. Po ukończeniu nauk poświęciła się pracy nad ludem w majątku rodzinnym, Kowalkach. Z jej też inicjatywy powstały kursy dla dziewcząt wiejskich w Krasieni- nie pod Lublinem. Wyszedszy zamąż w styczniu 1912 roku, zamieszkała w Lubelskim i tu po wybu- chu wojny rozwinęła żywą działalność konspira- cyjną, przewodnicząc założonej przy jej współu- dziale Lidze Kobiet. Dotknięta od lat szeregu nie- uleczalną chorobą nerek, ostatni rok życia musiała spędzić w zagranicznych sanatorjach, zdała od

ukochanej Ojczyzny, której wyzwolenie było ideą przewodnią jej życia. Zmarła w Wiedniu 18 czerwca 1916 roku. Z pomiędzy zamieszczonych w niniejszym zbiorku utworów literackich, kilka zaledwie było dotychczas drukowanych, jeden z nich, nowelka „Wesele”, uzyskał drugą nagrodę na konkursie „Wielkopolanina” w roku 1911.

□□□□□□

...jeżeli dusze wasze ku mnie
wspomnieniem będą biegły,
o Ideale mym niech myślą,
o Polsce Niepodległej.



Myśli me nigdy pustki grobu,
nicości się nie złączą.
Wierzyłam w życiu tylko w Dobro,
kochałam tylko Piękno.

SMIERCI NIEMA.

Śmierci niema, choć ona czai się z każdego kąta, choć w oczy nam spoziera i choć jak kwiaty czarowne, zmiata bezlitośnie rwące się do życia istnienia. Niema śmierci w przyrodzie, jest tylko zanik istnień oddzielnych, ale nad ich grobami wykwita dalej, wciąż dalej, nieobjęte, cudne, bezgraniczne piękno życia. Ponad nędzą i niedolą jednostek, ponad smutkiem chwil, wykwita wieczyście czarowna moc życia. Darzy nas ono najśłodszymi upojeniami miłości, wzlotów wzwyż, ekstaz i ukochań podniebnych. Różowym woalem światel przykrywa rany nasze i nędze, występki i zbrodnie. Życie jest cud i piękno i piękną i cudną powinna być nasza pieśń o życiu, modlitwa dusz wybranych, Sztuka nieśmiertelna. Kto ją kocha, ma w duszy piękno i może odczuć i uczcić piękno życia. Bo życie to jest cud, bo życie to słońce na Posilippo, to barwy Taorminy, to poszum olbrzymich mórz, to westchnienie piasków Sachary, to gwar stuletnich lip w ogrodzie starego dworu polskiego.

Życie to cud, to piękno, to raj. A choć giną młode serca, nie wchłonawszy w siebie wszystkich jego czarów, to czcić i wielbić trzeba piękno życia. I modlić się życiu pełnymi dziękczyniemi usty.

Kocham życie i czczę jego piękno i kocham to piękno we wszelkich jego przejawach, a najbardziej wśród bujnych łąnów, szmaragdowych łąk i niebosiężnych lasów mojej biednej Ojczyzny. Wiąże mnie z nią nietylko czterdzieści pokoleń przodków, co rycersko czci jej bronili, nietylko wspomnienie dziada, co dla niej poszedł w Sybir i stryja, co padł w jej obronie, nietylko szereg mogił i męczeństw nieludzkich, ale jej wielkie, bezgraniczne, nieobjęte piękno.

A piękno to — to część wielkiego całokształtu życia.

I próżno ludzie chcą zaśmiecić i zohydzić życie. Jego piękna nie zniweczy ani ludzka nędza, ani człowiecze przekleństwo, ani śmierć niczyja.

To piękno jest nieśmiertelne, jak nieśmiertelne jest życie.

Śmierci niema...

To mówię ja, od czary życia losu wyrokiem odtrącona, na śmierć młodą skazana nieuchronnie.

Kocham życie i kocham piękno.

Chciałabym umrzeć w cudny dzień wiosenny, gdy szumią drzewa radośnie, a ziemia pełna zieleni i wesela.

Nie chcę żałoby, łez i smutków. Wiecznego
pragnę wesela, choć odchodzę w nicość grobu.

Niech nad nim szumią stare lipy w parku moim,
niech się kłonią dęby i sosny ojczyste, niech śpiewa
ptaszęcy chór.

Kocham piękno życia i nad grobem stojąc
życiu i pięknu błogosławię.

Niech żyje życie i niech świeci słońce!

M O R Z E.

Abbazio, zatopiona w ciepłym blasku—oślo-
neczniejsza, cudna Abbazio! Zakłęta w jasne ściany
w obramienie z palm, róż i cyprysów, przytulona
górom i zapatrzona w morze, Abbazio miło, jasna
i wesola! Niesiesz mi wspomnienie ciepłe, marzące,
niesiesz mi zapach swego kwiecia — bukiety cy-
klamenów i widok przemodrego stopienia się nie-
ba z ómorzem.

Przeurocza jest cisza twojej nocy, zagasłej w mo-
dleniu zatoki, a dni twoje pełne są gwaru i szczęścia
twojej bujnej natury i szmeru fal nieśmiałych w uję-
ciu twoich brzegów.

Gdy m po raz pierwszy ujmowała cię w moje
spojrzenie, w myśl moją tęskną i falistą, jak te
twoje fale — wówczas byłaś mi tajemnicza w odmę-
tach nocy. Mówiłaś do mnie najsilniejszym z cza-
rów—czarem tajemnic.

Stałam opylona długą i daleką podróżą
u okna rozwartego w głębinę mroku. Owiała mię
świeżość, która młodość moją rzuciła w żar prag-

nień. Stałam i chyliłam się w mroki rozesłane, jakby w tajniki niewyczerpane życia. Oczy moje zaryły się w patrzenie. O ty, morze! ty pełnio nieprzebrana, czaro nieprzemierzonych uroków, łaknęłam twych barw i blasków, szumu twego i twej niezgłębioności i twej przeogromnej dali — —

Sunęły łodzie rybackie, migwały błyskiem uczone ich szyi latarki, uderzały wiosła i cichym trzepotały zaklęciem nad tą wodą — — — — nad wodami.

Nie zamykałam okna, chcąc byś mi była bliższą, morska ty tajemnico.

W snach błędziłam po tych powierzchniach i przestworach, spijałam białą pianę i falowaniu poddawałam głowę—szły mi przez duszę rzewne poszumy... Z rybackimi łodziami szukałam w morzu zdobyczy łakomej.

Hej!! śnij mi się głębino — — — — hej — — — marz mi się, słoneczny kraju!...

Młoda jestem, tęskna jestem, biegnę, stoję, słucham, pragnę i śnię...

Zbudziła mię zorza, zbudziła czerwoność przedziwna — — różane płaty świat mi zasypały w tym świecie rozanielonym — — gore w jasności świat — morze — brzegi — góry.

I już pluszczą wiosła i już kąpią się mewy w precudnym dziennym widziadle i pierwsze senne jeszcze skrzydła żagłowca toną w powodzi blasków po przeczystej powierzchni...

Morze pokazało mi się w chwale dnia, w aureoli świtu, w przezłocie poranku.

Chwała twej piękności, potędze, ukojeniu, które dajesz i żarowi, który wzniecasz.

W tobie, morze, jest znicz święty, westalki zamodlone klęły u twych brzegów i jam z nich jedna, uboga i nieśmiała, pozwól, że zerwę gałązkę laurową i rzucę urokom twym na cześć, niech pomknie liść w zawieruchę twych wód, a ja, westalka, w lnianych sukniach czekać będę na słowa mego przeznaczenia...

Szumiało mi morze — — srebrzyło mi dni — uśmiechów się wokoło prosiło...

Przesypywały się kosze przekupniów od złoty winogron i zielonych fig, palmy były ciche, a ludzie w cieniu ich gwarni.

Z przystani wypływał statek na krótką, godzinną wycieczkę; był niewielki, wesoły i cieszył się falami; przyjmował wszystkich gościnnie w ciasne swe kajuty i na szeregi ławek ustawionych na pomoście. Siedliśmy i my.

— Skoro Wam los przeznaczył siedzieć koło siebie, pozwól, że Ci przedstawię:

— Pan Kazimierz R...

Spojrzałam na mego sąsiada. Wysoki, przystojny — oto pierwsze cechy, które zwykle rzucają się w oczy, ślizgające się po twarzach ludzkich.

Płynął statek, zlekka się bujał. Mieszały się głosy pasażerów. Między nami nawiązywała się

zwykła, szablonowa rozmowa — urywały się za-
pytania i krótkie odpowiedzi. Mnie więcej zajmo-
wało morze, a jego — — — — zapewne reszta to-
warzystwa.

Porto Reggio — — skały białe, nagie i strome,
a z nich wyrosła samotnie willa, takąż sama z sza-
rych zespojona głazów — prosta w rysunku —
jakby od niechcienia rzucona w samotność i morzu
powierzona. Dokoła niej złomy kamieniste, obwil-
głe od fal. W czole tej fantastycznej budowli jest
odwaga, beztroskliwość, nieugiętość, jest w niej
coś egzotycznego i coś z bajki czarodziejskiej
z wymarzenia — —

— Tu chciałabym zamieszkać...

Oparta o poręcz pokładu stałam w nierucho-
mym zapatrzeniu. Wiatr uniósł mi biały woal, osu-
nięty z wygiętej panamy i dał w niego, jak w żagiel
rozpięty. Wydało mi się, że stoję sama u steru
łodzi błędnej w poszumie i mknę ku z kamienia zro-
dzonej willi, by w niej półsennie zamieszkać...
Chyliła się łódź moja wraz ze mną...

— Jakież to piękne — szepnęłam w zachwycie.

— Jakież to piękne! — powtórzył tuż koło
mnie głos dziwnie miękki i dźwięczny. Jednocześ-
nie dwoje oczu niebieskich uparło się we mnie
wpatrzyło... Była to chwila, jedna chwila dziwnej
potęgi i objawienia, gdy w naszą jaźń wnika dusza
jakaś zbudzona nagłym impulsem.

...Była to chwila zaklęcia...

Willa nasza w białych ścianach, jak wszystkie jej towarzyszyki w tym uroczym zakątku — ojaśniona i okwiecona, jak inne, nosiła jednak w sobie pewną odmiennność. Wydawała się chciwszą powabu morza, wyciągając ku niemu stoczyste ramiona swych uliczek. Wychylając skronie z pośród zieleni, topiła je w żywiołową falistość wód z godnością szczęśliwej wybranki. Dobrze ci jej było w tym niezmaconym błękitem wzwyż i z morzem u stóp jej poddanym. Tuliła do siebie co najpiękniejsze kwiaty południa, co najstrzelistrze cyprysy i najbogatsze palmy trochę tu jeszcze w rozwoju swym nieśmiałe. Obraz tej przedziwnej wiązanki, w której nie brakło i magnolji, i laurów, i mahoni, i pomarańcz, rzucała w zwierciadło mórz — hojną dаниnę uroków ziemi tajnym cudom głębin.

Szerokie kamienne schody, owite różową wstęgą rozkwitłych oleandrów, zbiegały z żywością pragnienia ujmującego piękno, w ten maleńki ogródek, którego każda roślina innym mówiąca urokiem oplatała wrażeniowość widza. W tej chwili byłam tu sama między ścieśnionymi bukietami, których cieniom poddawałam się, to znów stąpałam po słonecznych plamach na złocistym zwirze. Zacisłość mię uniosła, schyliły mi się nad czołem liście szerokie — tuż stała ławeczka wtulona i oparta, opodal skraju zsuwającego się w morze i chronionego przez balustradę żelazną z niewolnie pnącymi się różami.

Drzewa patrzyły w kielichy kwiatów, kwiaty spojrzenie to oddawały niebu, z którego rosy żyły...

Siedziałam, zbląkana między te kwieciste istnienia, w zadziwieniu blasków i w nachyleniu myśli szmerom, barwom i promienności. Czar mię ujął i wiódł w drogę zachwytu i skupienia... Byłam mu korna i cicha.

Zaszeleściały kroki. Pan K. witał mię z uśmiechem twarzy, zaszedszy znienacka moją samotność wśród kwiatów.

W ciągu tych dni paru był już po raz drugi czy trzeci w wędrówce nadbrzeżnej, zbyt często natrafiając na ten ogródek przejaśniony słońcem.

Ujęłam książkę, leżącą tuż obok.

— Pani czyta?

— Nie — uczę się po włosku.

— Czy wolno? — Bierze książkę i siadszy przy mnie w półcieniu laurów, przerzuca kartki, a spojrzeniem szuka mej twarzy.

Zwolna przeszłam do balustrady nad skalistym zrębem opornym morzu. Ogromna, stulistna, o żarliwym sercu ponsowa róża, oparła głowę o poręcz żelazną i użycia pragnąca—listki swe wiatrom nachyla — — — była to róża zaledwie od dni paru rozkwitła, wpatrzona w fale, motyli pieszczoł chciwa — — — patrzyłam śmiało i ciekawie w jej oczy. Kwitnijcie mi róże! Hej życie, leć mi w dal!...

Przybliżył się za mną i ze mną chylił się przez

poręcz, potym w moją zwrócony stronę z rozwartym w dłoni słowniczkim i szelmowskim uśmiechem na ustach pytał:

— Przeegzaminuję panią z tej pilnej nauki tam na ławeczce — — — jak będzie po włosku: podobasz mi się?

— Peccato — zawołałam z wesołą złośliwością i wybuchnąwszy szczerym śmiechem wbiegłam w mgnieniu oka na wysokie kamienne schody, figlarnie zatrzymałam się na ostatnim stopniu i obłamując wesoły kwiat oleandru, rzuciłam go na dół, znikając za szklanymi drzwiami werandy — a on rozbawiony, podniósł na żwirze poległy kwiat i puścił się w szybką pogoń za mną.

Róża ponsowa, nad morzem się pnąca, zbyt śmiało z wiatrem igrała, obdarł jej listki i rzucił falom łupieżnym swawolnie, płynęły lekko, cicho, by zwiędnąć i stopnieć w odmętach.

A swawola moja była płocha.

A śmiech mój był wesoły.

„Carpathia” jest dumna, potężna i harda, nieugięte ma pokłady i silną pierś na burze.

Kto jej nie zna, niech śpieszy, bo oto stoi u portu — stoi dzień jeden i drugi, chępliwa swym ogromem, owita niezłomnością imponującą — — — rączkość jej ciężkie wstrzymują łańcuchy, którym poddaje się stanowczo i godnie. Władczyni między

zagłowcami, waporetami i pancernikami, w całym tym zastępie gońców morskich, szykujących się do biegu.

Opadło ją ludzkie mrowisko, i na jej spokojnym kolosie przeciąga liny, ładuje towary; skrzypią objuczone dźwignie i ruchome pomosty.

Już jesteśmy u podnóża twego, dumna Carpathio — za chwilę znikniemy na twym ogromie, oto Reisegesellschaft wydała nam kwity podróżne, byś nas przyjęła i poniosła hen — — więc bierz nas i wież i gnaj z nami przez morze, przez nieprzebrane wód horyzonty.

I już wchodzimy wyżej a wyżej i już giniemy w korytarzach, salach, pomostach. Tu nas prowadzą i tam nam wskazują dalszą przed nami drogę. I oto wielki hotel ruchomy: sypialnie, bawialnie, salony, a nasza Carpathia taka powolna tej naszej wędrowce, tej gospodarce tysiąca osób, które biorą w posiadanie jej kajuty i pokłady; opadł ją rój ludzki.

Stoimy na pomoście, nieznani sobie podróżnicy; tacy różni, a tacy podobni żądzą wrażeń i ujęciem zjawisk nowego życia i ruchu. Podnoszą się do ócz lornetki tego tłumu odjezdnego z wysoka, a z dołu zostających pożegnalne rozwiewają chusty. Żegnaj nam łódzie i ty szara maso ludzka, co za chwilę małą rozejdziesz się spokojnie do swych zajęć przy cichych warsztatach pracy. My na rozległe płyniemy morze, na pełnię życia falną, bezmierną,

my jedziemy z szumem, odpływamy z rumorem wyciąganych kotwic.

Ty płaczesz wychodźco do Nowego Świata? Wszak pomyśl tylko, czym łąza twoja wobec morza tego; nie płaczcie wy odjeżdżający i wy pozostali, wszak jedziemy w dal — w dal niezmierną.

Sygnał pierwszy — — sygnał drugi — — już tylko chwile, już wasze godziny blizkie są rozstania. Patrzcie! słuchajcie! bo odjazd statku to chwila uroczysta, poważna, to chwila głębokiej myśli przegarniającej tłumy, jest w niej świętość dzwonu pogrzebowego i dźwięk bojowej pobudki i sygnaturka rzewna i echo poszumu.

Żegnajcie! — — — zgrzytają łańcuchy, kręcą się korby — z pluskiem wpadają w mętne przebiegi worki piasku odcięte. Dzwonek już niecierpliw, już rośnie skrzyp puszcanych w ruch kół i kólek, już coś syczy i coś wre. Żegnajcie — oto sygnał ostatni, przez tubę brzmi dźwięczna komenda kapitana, a za nią strzela ku niebu słup pary. Huknęły działa — długi świst przeszył przystań żegnaną.

I oto poniósł nas ruch miarowy, zmieszały się okrzyki, podniosły się z dołu i opuściły z góry fale białych chust. Jedziemy.

Morze nas przyjmuje — morze nas wzywa — kipiąca młodości poddaj się przestworom, przeleć kręgami po falach!



Śpiewajmy hymn przepotęgom świata i czucia. Nikną, maleją, bledną brzegi, odwrócić się od nich już czas — pływmy dalej i dalej, przed siebie pływmy, skrzydła swe roztul, Carpathio — już mkniemy, niema we mnie żalu za niczym, niema we mnie lęku przed niczym, jest niepohamowana, stepowa, nachalna żądza ujęcia w sobie całego przeczuwanego ogromu.

Ale i tu jest gwar ludzki, są śniadania, lunche, obiady, są kwiaty ziemskie i stroje paryskie, są tu ludzie, ludzie, a między nimi niespodziewanie, tak niespodziewanie, zjawia się pan K. Ach prawda! nie było go w tym tłumie żegnalnym. Wyszedł z ukrycia i jako nowy towarzysz podróży przedstawia się z uśmiechem. Wyciągam rękę i nad zdziwieniem przemaga ten płochy, zwykły śmiech.

— Ach i pan tu! to zabawne — będziemy się śmiać i przyglądać morzu.

— Gdy statek ruszał, obserwowałem z ukrycia wyraz pani twarzy — nie było na nim wzruszenia, ani lęku, pani odważna?

— Kocham morze, tę toń i ten żywioł, pływmy w dal — lećmy w dal.

Płyniemy już godzin kilka, zamglily się oczom naszym brzegi, — przesunęły wyspy, wysepki.

Już w pełni poszumu, — już w pełni morza jesteśmy i mkniemy cicho, jak sen—co ulata, tonie-

my duszą w bezbrzeżu, kochamy przestwór, niezdolni nic stworzyć, nurzamy oko w głębinie, niezdolni przeniknąć jej wszelkich tajemnic — jesteśmy niczym, a chcemy sobie wystarczyć. Niebo w wodach lazury swoje zatopiło — — — samotnia morska wkoło nas świątynią dum i pieśni żeglarskiej.

Jakże miękko, jakże cicho, jakże śpiesznie w dal płyniemy — — — przelewają się fale po sobie, przelewają się ich odczucia w duszy i ich przebłyskliwe obrazy w myśli. Wiatr błędne, urywane ścieżyny znaczy spienieniem wód.— — Niech odcisk wżartych spojrzeń moich poniesie morze wdał. Zaryjcie mi się w pamięć modre barwy bezkresne!

— Carpathio, nieś mię, nieś, ty wędrownico własna, spokojem olbrzymim!

Stoły przesypujące się bladymi różami gną się od naczyń i potraw — — przy nich stąpa pogwara biesiadnych głosów, a za krzesłem moim lokaj w liberji pyta, co zechcę jeść?

O dajcie mi tego złotego wina pełne czary, niech piję w nim żar dnia i impuls życia, niech biją pulsa w takt stałych nachyleń, niech gra mi krew i niech gra muzyka!

Wszak wcale niezły marsz, wszak wcale niezły walc.

— Ach, pan pamięta karnawał w Warszawie? —wszak pan tam byłeś niezawodnie? — to falowanie par, szeptu, uśmiechy, muzyka?

— Więc płynmy w odmęty życia. ...Dajcie potrawę i jedną i drugą, już nie wiem, jakim ochrzciacie je mianem w waszym angielskim języku.

Dobłą tu macie muzykę i doskonałych kucharzy.

Kapitan ma ogromnie melancholijne oczy, piękny jest, lubię patrzeć na niego.

— Pan się uśmiecha?... Pan się ciągle i zawsze uśmiecha, a ja wolę szczerý śmiech, głośny śmiech, któryby srebrnawym echem szedł. Pan ciągle się na mnie patrzy, a ja może jestem trochę nieprzytomna, ale to właśnie znaczy, że żyję.

Proszę mi podać tych złotych pomarańcz, tego pięknego owocu. Mnie jest ogromnie wesoło — ale i ogromnie zabawnie. Czy pan czuje, że my z tymi stołami i talerzami pełnymi, z przezłożonymi kielichami wina, my tutaj gromadnie zebrani salonowcy we frakach, smokingach, w dekoltoowanych toaletach, my ciągle płyniemy w dal? Czy pan dobrze rozumie to słowo „w dal”? Pan się zapatrzył w jeden punkt, w taką kolorową plamkę i nie dba pan o bezmiar i stracił pan z przed oczu rozległą linię horyzontu.

Zanim tu siedliśmy, biegałam od jednego takiego okrągłego okienka ku drugiemu, i trzeciemu, szukając w nich skrajów morza, bo tam na pokładzie mam jego pełnię. I zawsze szukamy czegoś nowego, choćby w tym samym.

Wstajemy, a raczej odkręcamy się z tych

przyśróbowanych foteli. Dziś pan mi podziękuje za piękne i miłe vis-à-vis i dobranoc — — — Śnijmy nadal, a jutro proszę pamiętać, wstajemy na wschód słońca, na tę chwilę oczekiwanego cudu, będziemy go oglądać w blaskach, może nam dusze w nich zapłoną urokiem niepojętego piękna...

— Już, już wstaję — — — zaspane źrenice walczą z błyskotliwym blaskiem, który każda chwila rozszerza.

Już zaraz, już biegnę ku zorzom porannym, ku pierwszym uśmiechom powstającego dnia — — — pobiegnę z mglistością przebudzenia w oku, z ostatnim tchnieniem rozwianych snów. Pobiegnę zarumieniona ze świeżo opuszczonej pościeli i lekka siłą nowego dnia i wypoczęta ku wrażeniom i podatna światłu swą młodością.

Stanę wobec dziwu z wyciągniętymi dłońmi, w przechyleniu olśnienia... obejmę taki maszt z prostego drzewa i ku sercu bijącemu go przycisnę, czepiać się będę lin parą nawilgłych.

A przedemną błyski światła wyzłocą migocącą ścieżynę, prostą, wąską i długą, wpoprzek mórzu ku horyzontom odlęgłym. Ztamtąd wynijdzie słoneczny cud, oczekiwany, upragniony.

Stójmy w naprężeniu przedziwnego oczekiwania — niech połączy nas cichość, czekajmy aż przejdzie, aż minie korowód barw.

A wy, fale, poddajcie się osłonecznieniu, niech wam ono koronuje skronie, niech perli lica....

Niema mgieł i chmur — i niema westchnień, a wszechosłupienie zakłęło nawet szумы.

Z wód powstało powolnie godne bożyszczę światła — słońce. I, zdaje się, na morzu powstaje ono wspanialej i oddaje mu się niepodzielniej, tak pełnym go jest widnokrąg, tak bezprzeszkodną równa dal.

I szły blaski oślepiające w morzowładnym orszaku, stopiły się w obrylantowienie niosąc głorje dnia nowego, jasnych chwil, objęły w posiadanie przestwór i na taflowej powierzchni senną napotykały Carpathię.

W topieli światel stanęliśmy wreszcie uwyrażnieni, osunięci z pokonanych mroków — dwoje ludzi młodych w lunie różowej, we wstędze świtu porannego. Czyż dla nich powstał ten dzień?...

I oto mewy plusnęły, jak bladokrzydłe myśli wędrowca, pieśń jakaś dalekobędna zbudziła się na pokładzie i okrążyła nasze głowy, pochylone ku światłu, unosząc zamodlenie poranne...

Słońce, świeć...!

Na pokładzie, na bajecznych leżakach, leżeliśmy w podmuchach wiatru.

Było nam i ogromnie wesoło i ogromnie miło.

Młody Anglik, owinięty szczelnie pledem, spał snem sprawiedliwym, obojętny powabom morza. Czujny jednak na odgłosy jadalniane, budził się

zawsze w porę, by z rąk lokaja przyjąć porcję lodów lub szklankę herbaty. Po sumiennym spełnieniu tej obowiązkowej czynności z flegmą układał się ponownie w błogie objęcia Morfeusza.

Niemeczka jakaś, anemiczny podlotek, dość zresztą przystojna, lekkim krokiem okrążała pokład, co chwil kilka przesuając się przed nami z obszernym Baedekerem.

Pan K. zwrócił widać jej uwagę, gdyż w stronę jego kierowała nieśmiało i krótkie spojrzenia, dla zatarcia których odwracała głowę ku morzu i przystając podnosiła natychmiast lornetkę w ciemnej skórzanej oprawie, wysuwając ją, to znów wsuwając machinalnie.

Obserwowaliśmy ją, kryjąc uśmiech złośliwy.

— Niech pan poprosi ją o pożyczenie Baedekera i przy sposobności powie kilka grzecznych słówek — — — ja będę patrzeć w dalszym ciągu.

Stanął przed nią prosty, wysoki, piękny, o wyraźnie zarysowanym profilu na tle przezrocza. Przyglądałam mu się z przyjemnością wrażenia estetycznego, jak patrzy się na każdą rzecz piękną po to, by jej to szczerze przyznać.

Oczy jego, trochę mgliste, miały błyski żywego humoru i szelmowskiej załotności, lubił je spotykać z innymi i szukać wzruszeń w twarzach kobiecych.

Widziałam, jak ruchem giętkim, z całą towarzyską wytwornością zwracał się ku podlotkowi..

Tej zakłopotanie było zbyt wyraźne, wahała się, niepewna, co uczynić należy, czy wypada przychylić się do życzenia nieznanego mężczyzny. Było w tym zakłopotaniu tyle dziecięcej naiwności i taka niepewność taktyki. Spojrzała na napastnika, zrazu otwarcie, z niewinną szczerością, potem lękliwie, zmieszana zaczepnym wyrazem jego oczu. Wreszcie już na biedną małą było tego za wiele, coraz silniejszy rumieniec ogarniał jej policzki i skronie. Zapłonila się, jak psotnik złapany na gorącym uczynku, a chcąc już raz zakończyć przedłużającą się nieznośnie sytuację, podała książkę, w szybkim zdaniu prosząc o zwrot niedługi.

Pan K. czuł się niezmiernie zadowolony z przebiegu zasadzki i z rozradowaną miną niósł ku mnie zdobytego Baedeckera.

Zaśmiał się cicho pod wąsem i zwykłym sobie zwyczajem patrzył mi natarczywie w oczy.

Przetrzymywaliśmy nasze spojrzenia aż do wybuchu szczerego śmiechu.

Bo ja się patrzeć nie boję!

Wybiegli podróżni z kajut i salonów, skupili się na pokładzie ciekawi. Z oddali wyłoniła się nieśmiało linja włoskich brzegów. Nagłe zjawisko lądu wśród mórz.

Kończy się nasz sen w hamaku. Odlatują nas barwnoskrzydłe motyle.

A więc jest przystań dla każdego statku i kres dla każdej drogi. Kończyć się musi na brzegu szal fal w ostatnim pokłonie. Przelecieć muszą i mewy tułacze i gońce wędrowne, wiatry rączei czucia płomienne i szeptu ciche.

Lecz jeszcze jedno złudzenie jednostajności obłądu, jeszcze jedno poczucie bezkresu i jeszcze jedna zaguba śladu ładu, niknie nam znów, odchodzi spokojnie, cofa się w głąb, zapada wstecz. I już, i znów, i jeszcze obejmuje nas okrąg niezmacony, otacza nas błędnym kołem, porywa w wir, zapomnijmy, zapomnijmy. Nie chcę pamiętać o ziemi, o tych górach, które więżą, o tych drogach, co się łączą i o spławnych rzekach. Nie chcę kolejowego turkotu i fabrycznego mechanizmu... Tam gdzieś tłuką kamienie na szosach, mielą miljardy wypielęgowanych ziaren na pył mączny i jadą wozy obładowane towarem z tąż samą codzienną dostawą... Bezmierze! Zasłoń nietylko wspomnień twar-dych tyśiące, zalej mi męty tłuczących się myśli.

Wirujmy wciąż w zaślepieniu od blasku, cóż szkodzi, gdy jest on uludą. Trzeźwymi będziemy na łądzie.

Igrajmy motylą swobodą i wdziękiem słów i spojrzeń, poddajmy się mocy wiatru, co znosi puch z mleczy na łądzie, a i tu swawolny swawolę naszą poniesie.

Już trzeci dzień wstał na morzu — przejecha-liśmy morze Jońskie i oto od godziny 8-ej rano

widać już brzegi Sycylii. Płyniemy cieśniną Mesyńską. Zmienne krajobrazy dwu przeciwległych brzegów przenoszą nasze oczy to tu, to tam.

Nie mam czasu na słowa, bo chłonę w duszę obrazy cudu, zakłęły mnie one w bezustanne patrzenie wokoło, ujarzmiły niepodzielnie. Salve — ziemio — naga tu jesteś, odarta z odrzewienia i piękna tą nagością. Z odmętu bezkresów wypłynąwszy podziwiać cię jestem zmuszona.

Bieg mię rozplómił i do stóp twoich zmierzam powrotnie, ja — wędrownica.

Szarość pagórków, to znów skał odłamy — — sierocość duszy oplątanej w ułudy — potym odartej i skamieniałej w ostre łuku zwaliska.

Między Scyllą a Charybdą jesteśmy.

Tu niebezpieczna przeprawa. Trzeba się ogarnąć swoim jestestwem i stanąć u jego steru. Baczność na rafy zdradzieckie!

To jest chwila przebojna między panowaniem i poddaństwem, uczynmy sobie w duszy miejsce na walkę i zwycięstwo. Naprężmy wzrok i w głębie go cofnijmy. Zmierzymy, czyli niesiemy ze sobą potęgę.

Poprzez te skały nadbrzeżne wybite są gościeńce i przekopane tunele — przyłożmy szkła zwiększone nad mrówczym tym dziełem. A tam miasto całe, jak z kamienia wykute, to Reggio di Calabria, wprost Messyna w bladym półśnie chyli pasmo do-

mów białych i wątlą ich nić przesuwa aż w ostry, długi klin, morską zamknięty latarnią.

Za parę godzin zsunęły się mroki i tajemnicą okryły nam coraz to bliższe brzegi.

I nadszedł kres szybkiego mknienia, uwięzła w porcie Carpathia w nieznaney nowej ziemi. Lecz ciemno było — — — i głucho, próżno ciekawe oczy szukały rozwiązania. Stał olbrzym statek, a ku niemu podsuwały się łódki przewoźników. Sygnały zwiastowały nasze do Palermo przybycie. A utajone miasto pasma swych świateł topiło w morzu i łzawe ich w głębi przedłużenie paliło gromnicę nad zgonem dnia.

Więc już stoimy w miejscu.

Wkoło rozgwarnie zagrało święto strudzonych żeglarzy. Szły pieśni... A my tu obcy, dalecy, zbłąkali — — nie umieliśmy świata rozpoznać, więc smutniśmy stanęli u masztów.

Lękając się nocnej przeprawy, czekaliśmy rana, by wylądować i długo spać się nie kładąc, czerpaliśmy z mroków przecucia wrażeń jutrzejszych. Dziwną zdała nam się ta nieruchomość po szybkim kilkudniowym locie, dziwnym był bezład naszej uwięzionej Carpathii.

Z pierwszymi brzaskami oczekiwanego dnia odsłoniła się z martwych tajemnica nieznanego miasta, powstało ono leniwie, nieśmiało, z sennej pościeli omdlenia, wstrzymując nasze niecierpliwe spojrzenia i pieszcząc się dumnie ciekawością naszą

turystów. Podróżnych takich legjony przybywają tu w różnych porach w pochwalnym nachyleniu do stóp pięknego Palermo. Więc zwykle ono holdów i jak dziewczę urodne z powabną wstydlivością powstaje z sennych marzeń zaróżowione, świeże, przecierając mgły rojeń w swych morskich źrenicach. Pierwsze promienie słońca obrzuciło je złotem i lica jasne olśniło. Stańło dziewczę-Palermo po cudzie przebudzenia w najpiękniejsze swe strojąc się szaty, a więc w śnieżną bieliznę ścian i płaszcze zielonych ogrodów, a potym wstęgi uliczne i palmowe bukiety, teraz rumiane przegląda się w zwierciedle swych wód w balowej gazy różowych obłokach. I płyną świtu chwile coraz bogatsze w koloryt, aż wreszcie zwolna rozkłada się wachlarz słonecznej tarczy i w złotą rośnie aureolę, a fale grają i z oddalenia łka kościelna sygnaturka ku porannej modlitwie zwracając zbudzone miasto.

Tak wstawało Palermo.

Żegnaliśmy Carpathię serdecznie i z żalem, bo żadne może przelotne zamieszkanie nie przywiązuje tak, jak ta przygarność statkowa wśród bezmiarów.

Żal nam było tych chwil niezapomnianych wrażeń, lecz jednocześnie unosiła nas fala pragnień za nowymi. Jak tamte były nam drogie urokiem poznania, tak te nowe, oczekiwane, miłe nam by-

ły powabem zagadki, po której rozwiązaniu spodziewaliśmy się tak wiele... Na kolosalnym uboczku naszego statku niknęła prawie linowa drabinka spuszczonej ku obniżonej powierzchni morza, kiedy gromadziły się łodzie przewoźne ciemne i w porównaniu ze statkiem, nieznaczące. Po tej drabinie wypadało nam schodzić nie bez pewnego lęku wobec krępujących sukien, okryć i unoszonych przez powiew morski kapeluszy.

Stałam pierwsza na poruszających się zlepkach pod stopą szczebelkach. Chwilę wahania pokryłam śmiechem wesołym i ręką jedną ujmując linę, służącą za poręcz, drugą starałam się opanować falowanie swobodne białego woalu.

Zatrzymałam się, ogarniając ostatnim pożegnalnym spojrzeniem naszą Carpathię — a potem już śmielej zbiegałam na dół, na najbliższą fal powierzchni. Tu między wąskim pomostem a łodzią znalazłam przeskok szeroki i w chwili, gdy mierzyłam go z zakłopotaniem, ujrzałam nachyloną ku mnie twarz śniadą włoską przewoźnika, który pochwycił mnie oburącz, uniósł wysoko i wesołym wykrzyknikiem spuścił w głąb chwiejnej łodzi.

Wkrótce obok mnie zajął miejsce pan K., na wprost lokowała się reszta towarzystwa.

Czułam, iż jest niepomiernie zadowolony, iż w tych blaskach porannych tuż koło mnie znajdować się może. Razem uśmiechaliśmy się morzu, słońcu i Palermo, któremu szczególne warunki

szczęścia ułożyły przydomek „La Felice”, pytaliśmy spojrzeniem, czy będzie dla nas pomyślne?

Tak pyta często podróżnik wrażeń swych niepewny i tak pyta człowiek ciekawy przyszłości, wędrując w nowe życia kręgi.

I łódź nasza odbiła ku brzegom.

A myśl nasza biegła w nieznaną krainę pragnień...

— — — — —
— — — — —

Oto szmat ziemi urwany, rzucony morzom i jako inne — ludziom poddany.

Oto Sycylja! w nimbie cudowności, oto perła wód, oto lądu wonny kwiat. Że dziewicza była i piękna, że świeża była i barwnie ubrana, więc zwykłą koleją losu wydzielali ją sobie silniejsi.

Kochali już ją bogowie, względami swymi darzyli, potym przychodził doń fenicjanin i grek i kartagińczyk, każdy zdobyć ją sobie pragnął, każdy jej wyłączności żądał i względów się dopraszał... Darzyła nimi kolejno urodziwych hellenów i arabów, w których kochała się powadze, — i semitów, których bawiła się dowcipem, — lecz przebiegłością swą ją zniechęcili, więc ku północy zwróciła swe oczy, skąd przybysz szedł złotowłosy. Lecz ci tłumni wielbiciele szczęścia i dobrobytu jej nie nieśli, ale ramieniem swym silnie otoczyć ją chcieli, przygarnąć ku sobie a potym do stóp powalić z okrzykiem tryumfu: „Tyś moja!”

Stroili sobie skronie kwiatem z warkoczy nadobnej Sycylji, spijali kryształ jej łez i cieszyli się lazurem jej oczu. Śmiać się jej ciągle kazali, tak, że już dziś uśmiech nierozłącznie przywarł do jej ust, co piły z czary upojenia; dziś już śmieje się każdemu zalotnie, kto do niej przybywa.

I nam się śmiała i nam szeptała coś zlekka, z przyzwyczajenia.

Lecz myśmy brali ten jej uśmiech pozornie tylko i dusze nim stroiliśmy własne, by choć tą pożyczoną promiennością błyszcząły.

Z Corso Vittorio Emmanuele zbieraliśmy ofiary białych, bezokiennych domów, podobał nam się „Carro siciliano” barwnie zamalowany, podobał nam się cały nowy świat. Natężonymi zmysłami przyjmowaliśmy jego barwy, odgłosy, dźwięki...

Gonił za nami brzęk uprężnych dzwoneczków i prośby żebrzących, opuszczonych przez matkę dzieci Sycylji:

„Un soldo, signora, un soldo, signorina”.

Nakreśliśmy plan dni pozostających nam do spędzenia w Palermo, by je wykorzystać jak najchciwiej, t. j. zobaczyć wszystko, co jest godne widzenia — zwykły plan turystów. Czy wystarczy zobaczyć? Widzieć tylko i patrzeć. Cieszyłam się, że przewodnik nasz ułatwia nam tak umiejętnie zadanie, że nie potrzebuję myśleć, co będzie potym i każdą chwilę całkowicie zatopić mogę

w terażniejszość; powolna programowi dnia, zaptapiałam wrażeniowość w coraz to nowe obrazy i odczucia. Żałowałam, gdy kończyły się jedne po to, by przechodząc do następnych oddać im się jeszcze niepodzielniej i silniej. Coraz to nowe fale oblewały mię czystą źródlaną świeżością. W niemej kontemplacji posuwałam się coraz dalej i dalej — — — po skwarze dnia i w pyle ulicznym.

Są w duszy chwile, w których zmienia się ona w czuły instrument muzyczny.

W San Giovanni dei Eremiti wita nas cień dawny — przykuty do ruin, zamarłym echem osuwającego się w coraz większą głąb oddalenia. Garibaldczyk, z oszramiałą twarzą, która podaje nieznanym oczom na dziwo i na pokaz! Siwy drżący Garibaldczyk. Dłoń, która po sztandar sięgała, wyciąga się ku nam z żebraczą intencją. A narodowość naszą poznawszy, woła ochrypłym głosem: „Vive la Pologne!” O mądry ty, o okrutny psychologu — — czy nie widzisz wzruszenia na twarzach przybyszów? Za chwilę srebrna moneta da ci przedsmak makaronów.

Makarony jeść będziesz smacznie za cenę naszego narodowego uczucia!

Na piersiach twych lśni medal; z równym, niestrudzonym entuzjazmem opowiadasz nam jego dzieje po raz miljonowy, tym samym metalowym

blaskiem świecą ci starcze oczy, bo zdawna utrwałyś w nich błysk ten. Mówisz nam o przeszłości? słusznie, bo oto u jej bram stoimy... Tyle — ach tyle minęło stuleci! oto stara normandzka świątynia, lecz i świątynie z pjetyzmem stawiane w ruinę popadają — — prędzej czy później. Oto jedyne zapytanie skreślone za wyrokiem nieodwołalnej zagłady. Gdzie tu „ołtarze”, wszak kult zwykł się łączyć z ofiarą? Gruzy i gruzy wokoło — lecz spójrzmy: oto tam ich szukajmy, gdzie ryte zgłoski mówią nam o grobowcu poległych rycerzy. Wszak każda ludzka mogiła—ołtarzem jest, ofiarą zgasłego życia, całopaleniem z myśli cicho przebiegłych i niedoli pokonanej westchnieniem.

Po wyżartych ścianach miast ozdób dawnych i mozaik pną się niewolnice miejsca, rośliny, odmieniają powolnie swe liście do gruzów przywarte i beznadziejność ruiny zasłonić nam chcą litośnie — —przez okna wyzierają palmy i wawrzyny starcze oplatają czoło.

Tuż obok ruina meczetów, także tylko ruina!

Wtym — — od tych kolumn samotnych, od tego świata zwalisk, odbiło echo — — — dzwony — — krwawe dzwony — hymn zemsty straszliwej za śmierć Konradyna, pomsta za krzywdy ciemieży.

Lecz było to dawno i wspomnienie tych dzwónów—dziś przetopiło się w cichość, w którą zasłuchana pozostaje roślinność, zwykła wybujałością swą obejmować grobowce...

Z chęcią oparłabym się o te strzaskane kolumny, lecz odrętwiających wspomnień już nie chcę, ale snów o potędze.

Poczułam na sobie wzrok uparty i znów to samo spotkałam spojrzenie zalotne — figlarne — lecz w oczach moich nie znalazło ono zwykłej płochy odpowiedzi, przeciwnie, poczułam w nim profanację miejsca, miejsca tego, obumarłej świątyni i jej pamiątek. Błysk ten, skierowany ku mnie pierwszy raz natrafił na głaz jakiś, który osunąwszy się z tych ruin, wpadł mi w duszę.

W spojrzeniu tym wówczas znalazłam zgrzyt śmiechu wśród cmentarza.

Nie przyjąłam podawanych mi na pamiątkę pachnących kwiatów heljotropu, gdyż żal mi było, że je odebrano ruinom...

Staliśmy na połowie drogi ku szczytowi wieży katedralnej w Monreale. Na miejsce wypoczynku w tej uciążliwej wędrowce w górę wybrałam łukowate wygięcie szerokiej balustrady między dwiema wspierającymi ją kolumnami.

Mieliśmy u stóp całą malowniczą dolinę Conca d'Oro. Łagodną linią wyodrębniały się brzegi zatoki od ciemnego kolorytu morza. Na straży spoczywających w przystani gońców wodnych — stała niezłomnie Monte Pelegrino, pławiąc się w bogatej kaskadzie barw.

Uroczyście była cisza bogatego krajobrazu, bezmierną wydawała się przystań i bezgwarnymi

brzegi morza. Oddalenie wygładziło falistość wód i uśmierzającą dłonią skłaniało spokój nad nimi. Oddalenie nosi w sobie cud zastąpienia życiowej szarzyzny, uogólnienie w całokształt jednego wrażenia, wszystkich wysiłków ludzkich, jakie od lat wielu zbiera i koncentruje każda zamieszkała okolica.

U stóp słały nam się rozległe pomarańczowe i cytrynowe gaje, tuż górskie pasma świecące łachami jasnego marmuru.

Wysoko, coraz wyżej wchodziliśmy po wieży; ilekroć roztargniona przechylałam się przez łukowate okienko, otaczając wzrokiem krajobraz, towarzysz mój zbyt nieodstępny niespokojnie dotykał mego ramienia, napominając: „pani wypadnie”! Jakkolwiek niepokój ten udawał wyśmienienie, odgadywałam, że zgoła inna w tym była intencja.

...Ucieszne były wąskie te przejścia, gdzieśmy chylić i kurczyć się musieli. A ja biegłam wciąż w górę w jakiejś gorączce, w uniesieniu, w pościgu... Znużona dopadłam szczytu z przyśpieszonym oddechem, przysiadłam na jakimś litościwym zrębie ściany, a on stojąc przedemną w to znużenie moje się wpatrywał — potym zaczął coś mówić zwolna i niepewnie, dwuznacznie określając swój przyjazd w progi Sycylii — mnie uderzyło to niemiłe, wobec tego cudnego horyzontu, w którym nie chciałam szukać tła dla jakiejś zwykłej hi-

storji dwojga, lecz celu jedynie — źródła wyższych i czystych wrażeń. To też przerwałam mu gwałtownie i w żart obróciwszy wszystko, kaskadę śmiechu rzuciłam na mury, wieże, krużganki...

Gdy ten sam jeszcze dzień zachodził w wieczór cichy gór i gajom, a rozgwarny miastu, w zwykłą nadmorską ruszyliśmy wędrówkę.

I tak wesoło, tak swobodnie, bawiliśmy się razem, że przechodnie oglądali się za naszymi beztroskliwymi twarzami.

Słyszałam, jak morze przejmowało nasz śmiech i unosiło z sobą, jak cichł i topniał na jego powierzchni, a gdy wreszcie zamarł w topieli, nową porywało gamę i zostawiając hen gasnące tony znów do stóp się naszych wracało. Bo tu u brzegów morze było korniejsze.

Nie czułam więzów i rozślaniałam ramiona w oczekiwaniu nowych fal, na ich przyjęcie. — Błyszczały nasze twarze zwrócone ku ciemnej, szemrzącej tafli w patrzeniu w żywioł nieuchwytny. Gdy wreszcie nowy, gwałtowny przypyływ runął na kamienną balustradę — spiętrzyły się bałwany walcząc o wyższość czoł swoich z rykiem i szumem zajadłym, opadały niemocnie, osypując nas kroplistą fontanną, zlizywały niewolnie asfalty chodników.

Zamoczeni, lecz bezpieczni rzucaliśmy znów śmiech nasz pusty i miły jedynie tym echem poszumnym i tą srebrzystością w ciszy.

Gdy osuwało się ciężko opadłe morze, biegaliśmy na wyścigi schylając się po pozostałe muszle — bezwolne ofiary szalu, porzucone ku naszej uciezce.

Przekomarzaliśmy się o najładniejsze, gdy wreszcie mi je odstępował, nabrałam całe mnóstwo tego bogactwa i w jego misterność się wpatrywałam.

Ciche i nieśmiało usłyszałam zapytanie łączące nutę prośby.

„Co pani mi da za nie?”

Nie powinien był mi tego wówczas powiedzieć, nigdy wtenczas.

Wobec przepotęgi morza, wobec palm dumnych i krajobrazu tego, który chłonełam duszą — wobec cudów przyrody, powiedział mi: to wszystko dla mnie jest niczym... mógłbym nie znać morza i nie widzieć tego lazuru... ja nie po to tu wylądowałam... inne zgoła ujmowałam wrażenia i inne zbierałam blaski.

O jakże dziwnym bywa rozdźwięk dusz — — —
gdy źle zabrzączy choć jedna tylko struna.

I niewiadomo kiedy zbudzi się zakłęcie, szepcze serce — — — : „jedyna — — ! Niewiadomo, kiedy wkradnie się jakiś nieznacznym zgrzyt przenikliwy i wówczas wybuchnie słowo — „nie chcę — — nie mogę, — odejdz, — idź sam, — świat szeroki”.... Lecz potym bywa, że zostaje jakiś załzawienie, coś jak wówczas, gdy iskierka

rzucona obudzi słaby, niepewny płomyk, który boleśnie dogasa, a potem szary proch w duszy zostawia.

W nocy spać nie mogłam, podniosłam się na łóżku i słysząc śpiew niedaleki, rzewny a tęskny, poczułam w nim jakąś pierś młodą i jakąś błędzącą sierocą... Wstałam i cicho otworzyłam balkon.

Stałam wobec nieba dziwnie mi płaczącego gwiazdami, wobec nocy odrętwiałej i poddanej pieśni, która szła gdzieś z odmętów życia ku tym gwiazdom.

Stałam — pólenna z mglistością jakąś niewyraźną w duszy, której nie szukałam rozprószyć. Lecz balkon jego pokoju wychodził tuż obok, stykał się nieledwie z moim swą żelazną balustiadą. — I poznałam sylwetkę jego nieruchomą — — Czy przyszedł tu dopiero co, również śpiewem tym wywabiony? Czy stał już dawniej — — już poprzednio?

Znów morze, to samo duszowładne morze było u naszych stóp — — — i falowało nam wspomnieniami różnymi, — szemrało nam — — — tak jakby tylko nam, i gadało coś... tak jak by tylko nam — — — i załkało raz — — — i — — — drugi....

Zdziwiłam się, że lkać potrafi, myślałam, że to tylko ludzie umieją — — że to tylko słabi lkać mogą.

Gdzież twoja niezłomna potęga, czy maleje

ona wobec ludzkiego nieszczęścia? Czy niedola ludzka może być większa nad ciebie? Czy jej zagłuszyć nie potrafisz? — Czy nie potrafisz zagłuszyć skargi jednego głosu — — — jednej pieśni?....

O morze! . . .

powierzasz oto mi ostatnią z twoich tajemnic — —
Niemoc wobec ludzkiego cierpienia — — — —

Skoro świt dzień zaczął.... fale statek jego uniosły w szlaki powrotne, a nasz podobny wędrowiec w dalszą odchodził drogę.

Morze w dwu przeciwnych poniosło nas kierunkach — — —

W A L A.

Zawarły się mocno drzwi ojcowej chaty przed zimnem, co leci ze śniegowych pól; gdzie pojrzyć ino białość sinawa aż hen...

Napadało bez noc tego puchu niebieskiego tyło — drzewa swoje suknie białe dostały — zasypało rowy i drogi, aż cały świat w tej białości zatonął. Zbudziłam się rano, a tu bez okno pojrzyć nie mogę, całkiem je śnieg zasypał; ociec do roboty szedł, to się przed chałupę w tyli śnieg zapadł, aż mu się do kapoty nasypało. Kazała matka wedle progu omieść, a oną zaspę ładnie przekopać, bo nijakiego dostępu niema.

Stoi Wala na tej białej ziemi w perkalowej sukience, z tyłu jeden tylko został guzik grubą nicią przyszyty, przez naddarty rozporek brudna wygłąda koszulina. Podniosła sukienkę, brzeg jej zawinęła mocno koło pasa; czerwona barchanka dotyka gołych kolan, grube pończochy tasiemką podwiązane osuwają się na drewniane korki.

Stoi Wala, dziewczynka niewyrośnięta — włosy, co im się złotymi być widziało, posmarowała

matka łojem i splotła mocno na niedzielę w nędz-
ny mysi ogonek. Oczy, którym pola użyczyły
barwy swych chabrów, zaledwie rozkwitłe oczy
dziecięce, patrzą przed siebie, niosąc nieśmiało
zdziwienie. Miotłę związaną z uschlej brzeziny przy-
ciska do siebie skrzyżowanymi na drobnych pier-
siach rękoma; zsiniałe od zimna palce przytrzymu-
ją opadającą z ramion chusteczkę.

Tak stoi Wała nieruchoma, jakby z tych śnie-
gów wyrosła, pośród zimy spadłej na lasy i pola...
Stoi i patrzy.

Chata Maćkowa tam z przeciwka niby biała
góra, z pod której wypelza leniwie dymek śnia-
danny. Na drucie, co telegramy niesie do miasta,
usiadły głodne wróble. Wychudła chłopska szkapa
ciągnie z wysiłkiem drewniany wózek zaśnieżoną
drogą, koła skrzypią, znacząc za sobą głębokie ko-
leje.

Skrzypią koła u wozu, skrzypią... a niebem
ciągną chmury nad ciemny wdali las... O! la Boga!
dyć w tym śniegu coś się pali, coś się skrzy! niby
szkiełka kolorowe z jarmarku, niby Marysine pa-
ciorki... takie cudne... O dyć same djamenty po-
zieraają w słońcu, w śnieżnej urodzie...

Kiedym za gęśmi w lesie po rosie chodziła,
także się coś w trawie na ten sposób mieniło, ino
nie tak mocno, jak dziś...

Ot, pobiegnę sobie, nazbieram tych świecideł
pelen fartuch, pełną chustę, nazbieram tych czy-

stych djamentów, co by mi w chacie świeciły, nanimam je na sznureczki, na szyję, ot będzie ci mi pięknie w nich, kiejby jakiej królowej!

Cóże wy djamenty giniecie mi w ręku? Już was mam i trzymam, a blasku mi swego żałujecie? Odbiegają mnie wasze światła precz dalej i dalej... aże zdążyć za wami nie mogę. Nabiorę pełną gąsć, a tu mi wszystkie rozejdą się na nowo po całym świecie...

Nie dla mnie wy chyba świecicie, czy co? Schyla się Wala, brnie po śniegu wokoło chaty i biegnie za tymi światłami barwnymi, to znowu dostać ich nie mogąc, staje i precz na śnieg przed się poziera, aże w nim swoje bławatne oczy zatopila. Na ten świat biały patrzy a patrzy...

A na jej głowę dziecinną, zaklętą w zapatrzenie, spadła dłoń ciężka matczyzna, raz i drugi. Bili ją bez plecy, bez głowę, bili mocno i srogo za to, co przykazania matczynego nie wypełnia, o omiatańniu proga zabaczyła, że leniuchuje i po próżnicy sobie stoi.

— Ola Boga! Matka, nie bijta, zmiłujta się,— już nie będę, nie będę nigdy!

Umiłkły ciężko mierzone razy i krzyk tylko i wymyślanie słychać nad płaczącym dzieckiem.

Ociera Wala łązy fartuchem i zcicha chlipiąc do omiatania się bierze.

Jużto Wala nigdy za światłami po świecie gonić nie będzie. Nie dla niej one, nie dla niej!... Ani się cudowności nijakiej dziwować... i nie ujmie w spokojne źrenice piękności tej ziemi.

Ale chatę ojcową czysto z tych kryształów omiecie i dojdzie do niej ładnie przez śnieżną zaspę przekopie.

Nie będzie miała brylantowych paciorków na szyję!

JANKU!

Janku!

Ja płaczę myślą i duszą za tobą, żal mi i smutno...

Janku! ty jesteś zły, tak, jak jest zły twój ojciec, jak jest zła twoja matka, twoi bracia i siostry... Dzieciństwo twe kołysała nędza i ciemnota... nienawiść cię chowała i zły przykład uczył.

Janku! ty bijesz młodsze dzieci, bo są słabe, biedne, małe istoty, słabsze od ciebie. Starszych chłopców się boisz, bo cię mogą zbić pięścią, drewnem, kamieniem, a wtedy bolałaby cię noga czy głowa. Boisz się ich, bo cię mogą drzeć za włosy, szczypać, przewracać, deptać, a ty im nie dasz rady! Boisz się ich tak, jak mały zajac lęka się jastrzębia, a jagnię psa owczarskiego. A gdy cię napadną gromadnie, gdy ci powykręcą członki i śmieją się nad tobą z pustotą, ci towarzysze w podartych majtkach i złachanej koszuli, wtedy zaprzysięgasz im zemstę i zmykasz skulony, jak obite szczenię z głową na dół... A potem?... potem łamiesz gałęzie, depczesz zboże, znęcasz się nad psem,

obrywasz skrzydła motylom, klniesz i potknąwszy się o Józka, małą kruszynę, bawiącą się na drodze, bijesz go, bijesz pięścią w małe plecki, aż trzęsie się głowina i klekocą płaczem wykrzywione szczęki. Zbitego odbiegasz ze śmiechem, oddajesz mu ten krwawy śmiech...

O Janku, Janku...

Ty kłamiesz i kradniesz. Ściągnąłeś ołówek, którym pisały dzieci pierwsze znaki dźwięków. Masz pełne kieszenie skradzionych jabłek i nie swoje buty na nogach.

Ojciec twój kradł torf w nocy, a ty za nim do chałupy nosiłeś. Posłała cię matka po pańskie kartofle: dźwigałeś pełen worek, rowem idąc z pola; zaszedł cię ekonom i zapierałeś się, że to liście zwiędłe niesiesz.

Oj, zepsuta dusza w tobie, bez sumienia.

O, Janku! ty dwunastoletni chłopcze, wyrosły w dusznej izbie, żywiony mlekiem poddajanych kryjomo krów pańskich.

Janku! jakaż to krzywda zrodziła cię takim? jaka niedola cię chowa?

Skąd głód, który cię kraść nauczył?

Skąd mroki, które duszę twą spowiły?

I skąd ta nędza, z ciepła i światła wyzuta, która na ławę oskarżonych cię wiedzie?

Gdzie winna twoja tak wielka, jak bezmierną jest marność życia rozwartego przed tobą? Nie uśmiechnie się do ciebie twarz niczyja, nie wycią-

gną się ku tobie ręce przyjazne. Pójdiesz sam, i pójdiesz złą drogą... ale krokiem nieufnym, trwożliwym — tuż obok ciebie iść będą ludzie o twarzy pogodnej i dumnej postawie, a wystraszywszy się nędzy twej i głodnych oczu, zacisną dłonie na złotej monecie, okrążą cię zdaleka i z ulgą ominą. A ty pogonisz za nimi śmiechem nienawistnym.

Oj Janku! cerę masz żółtą i podsiniąle oczy; w tych oczach tlą ci się blaski nad widmem nędzy, w istnieniu twym cienie zrazu niepewne, słaniające się, zlały się w ciemne plamy, w pleśń jadłowitą, która wżarła ci się w duszę bezpowrotnie.

Nie znalazłeś:

„światła innego prócz słońca.

I innych wrażeń ożywczych — prócz rosy”.

Oj, Janku, Janku!

PRZESZŁOŚĆ.

Otwarte w ogród białe okienko, czerwieniejące gałęzie dzikiego wina. Zadumała się w nim ciemna główka dziewczyny i wsparta na dłoniach znieruchomiła. Opuściły się powieki nad oczyma w dal zazwyczaj patrzącymi a teraz cofniętymi w głąb duszy.

Cóż to? Ta uroczysta powaga na tej młodej twarzy? Ach jakaż szkoda, że ocząt nie widać, takie umieją być one błyskotliwe, figlarne... bywa w nich szczerą łobuzowatość, młodzieńcza wesołość, pustota... lecz jest i coś więcej: pełnia świadomości, zalotność kobieca, gorący temperament, rozbijała fantazja, żywość pragnień, stanowczość zamiarów... odbija się w nich cała wrażliwa dusza... wszystkie jej drżenia niemal najtajniejsze. Często pełne czar, i wówczas błyski nikną nagle, spadają jakby gwiazdy w ciemną głębinę, i wówczas poważnieją źrenice, skupiają się w sobie i stają się jakby odbiciem lazurowego skraju nieba w noc letnią. Ta tylko różnica, iż ciemnia błękitu kryje tajnie

wszechświata, a ociemnienie źrenic dziewczęcych osłania duszę jedną z wielu.

Miłe, kochane oczy, podnieście się, takie szczere, takie moje, niech spojrzą, niech rozbłyszczą znowu... czytać w nich będę bez końca... bez końca... Cóż mi nowego dasz w spojrzeniu czarodziejko? Czy otoczysz mnie tym cichym, miękkim ciepłem, gdy czuję się z Tobą tak dobrze, tak po domowemu i przytulnie, że kładłbym głowę na twych kolanach i prosiłbym, byś jedwabistą dłonią gładziła włosy moje. I gdy to Twoje spojrzenie ujmę w siebie, wówczas marzy mi się, że jestem jeszcze małym chłopcem potrzebującym opieki i macierzyńskiej tkliwości, widzę się w dzieciennym pokoju zdawna znanym... wieczór jest wczesny i zimny, śnieg tam sobie gdzieś prószczy za szybami — może wiatr ostry wieje, a mnie tak cicho, ciepło i miło... Zabawki moje leżą w kącie, a ja siedzę u stóp kochanych, lniana pacholeca moja czupryna między kochanymi palcami przesuwa się pieszczona... To było dawno, a dziś, każde Twoje takie ciepłe spojrzenie ma w sobie coś z tych czasów. Stoję tu cicho, by nie zbudzić cię z zamyślenia, a jednocześnie pragnę, byś spojrziała i czekam nowego daru Twych oczu.

Miłe oczy Twe załsniały wesoło... z prostotą dziecka... lubię je takimi... wyciągnęłabyś łapuchnę różową, rozchyliłabyś usta w uśmiechu i pobieglibyśmy do ogrodu bawić się, w co? może w ciuciubabkę? lub w chowanego? sukienka Twoja

jasna migałaby wśród zieleni, to tu, to tam, goniłbym, goniłbym do upadłego — przez szpaler cienisty i przez maliny i poprzek zagonów, z kapustą. Wyciągałbym dłonie do Ciebie, aż wreszcie nieszczęście... Boże, mój Boże! muślin spódniczki zahaczył się o gałązkę agrestu i rozdarł... co powie Mamusia? taka śliczna sukienka! A ja tu z tyłu pochodzę cichaczem i mam, mam już moją dziecinę.

Kochanie moje! teraz szybko wyciągnąłbym ramiona i już i już byś w nich była taka jasna, niewinna i świeża...

Niezawsze ty jednak jesteś dzieckiem... choć być nim pragniesz, o nie zawsze... już ja tam dobrze podpatrzyłem, co w tych oczętach. Poznałem, co znaczy to ukradkowe, szybkie spojrzenie na moje usta; gdy uda mi się je pochwycić, wówczas płoniesz cała, a jeśli ślepego udaję, to drżą te małe nozderka i powoli mgłą dziwną zachodzą źrenice. Udziela mi się tajne drżenie Twoje. Nie domyślasz się wtedy, że oboje jesteśmy winowajcami tej samej tęsknoty.

Haniu! dziewczyno, Ty moja upragniona! ocknij się! przynoszę Ci z ogrodu nowy pęk świeżych róż, abyś mi o nich znowu mówiła cudowne legiendy i pieśni swej duszy, jak wtedy w ów dzień wspólny, gdyśmy siedzieli na trawniku przy różanej rabacie. Skradałaś się na klęczkach od jednego kwiatu do drugiego i mówiłaś mi o nich, wsysałaś

się ustami w płatki, wchłaniałaś woń upojną i gdym wówczas zobaczył twe oczy, oniemiałem w zachwycie; nigdy jeszcze nie były tak gorejącymi, a linje Twego ciała nabierały dziwnej giętkości i powabu. Szaleję za Tobą od tej chwili, śnisz mi się, marzysz.... przynoszę dziś z róz tych kilka i modłę się, aby z pod powiek objawione oczy najpierw spoczęły na nich — na mnie potym.... widzisz, nie jestem zazdrosny..... bo Ty i w tym kwiecie, wiem, że mnie kochasz i mówiąc do niego, do mnie mówisz, i pieszcząc go, moich jedynie chcesz uścisków.

Haniu! kobieto, dziś już jestem dla Ciebie wszystkim, powiedziały mi to także Twoje oczy.... moją jesteś i już Cię nie stracę.... jutro Hanuś nasz ślub... podnieś oczęta... uśmiechnij się do przyszłości, wstań jasna i chodź do mnie śmiało!

Poczuła jego ramiona, zwolna ją podnoszące i przyciągające ku sobie, osunąwszy się z własnych myśli nawpół senna cielesnie a skupiona duchowo, spojrzała raczej czuciem i myślą niż oczyma, do których się modlił stojąc poza nią i rzekła jedno tylko słowo: „jutro”. Było to i postanowienie głębokie i pytanie tkliwe i prośba wymówiona za samą sobą, by dobrze jej było na świecie z nim, przy jego boku.

On zaś biorąc kolejno jej dłonie przytulał je

do ust, już pewny, już tryumfujący tym jutrem, pragnąc bez granic tego hojnego daru.

„Tak najmilsza, od jutra zaczniesz się właściwie moje życie, bo życie z Tobą”.

„Od jutra, mówiła — zaczniesz się Twoje życie? powtórzyła Hania z pewnym niedowierzaniem. A wiesz — że ja tego powiedzieć nie mogę, jakkolwiek o tyle młodsza jestem od Ciebie, a jednak nie mogę tych kilkunastu lat usunąć w niepamięć, nie mogę ich nie nazwać moim życiem, moim własnym, pomimo że znałam Ciebie. Ja kocham całą moją przeszłość, każdy jej dzień niemal, wszystkie moje przeżycia. Nawet wtedy, gdy przeżywam smutki, nieszczęścia, zawody, przywiązałam się do życia, bo czułam, że przechodzę przez najbardziej jego intensywne momenty, kiedy dusza moja się pogłębia, myśl pracuje i coraz nowsze odsłania horyzonty. Więc nie rozumiem, czemu mówisz, że życie teraz dopiero się zaczyna? co Ty w takim razie nazywasz życiem? Czy Ty nie masz najmniejszego przywiązania do swej przeszłości: czy nie miałeś w niej szczytnych pragnień, gorących umiłowań, czy nie czułeś nigdy „silnych swych lotów potęgi” ? bo takie właśnie chwile nakazują kochać własne życie i nie wyrzekać się go nigdy, ale owszem z duszą czystą nietylko przed siebie, ale poza siebie patrzeć. Ty mówiłeś mi już kilkakrotnie, że przekreślasz lata swoje dawne — skoro mnie poznałeś i pokochałeś — a ja widzisz, nie

zastanawiam się nad tymi rzeczami dotąd, dziś dopiero przyszło mi na myśl zapytać cię o przyczynę? Czyżbyś miał poza sobą coś — do czego niechętnie myśl Twa wraca? Ja muszę to wiedzieć — bo ja cię kocham”.

Spojrzał na całą postać Hanki — było w niej tyle prostoty, dłonie jej obie pozostawały jeszcze w jego dłoniach, ale osunęła się nieco w tył i oparła o ścianę. Oczy jej były pytające, ale ufne zarazem i spokojne. Zawahał się chwilę, czy wolno mu mącić tę czystą kochającą duszę — ale czuł obowiązek powiedzenia jej całej prawdy, tymbardziej że wiedział, że już nazbyt jest jego, aby to miało zaważyć na ich przyszłości.

„Skoro pytasz o przeszłość moją, gotów jestem powiedzieć Ci wszystko, a, sam nie wspominałem dotąd o tym dlatego, by nie urazić Cię broń Boże! by Tobie i sobie przykrości oszczędzić.... skoro jednak chcesz.....”

Hanka zaśmiała się swobodnie i figlarnie niemal. „Nie myśl, Tadziu, że ja jestem taka głupia i nieświadoma... ja doskonale wiem, że mężczyźni miewają kochanki, że im zato płacą, że są takie domy gdzie.... to są rzeczy konieczne.... nieuniknione.... zło konieczne.”

Swoboda, z jaką to mówiła, ośmieliła go do reszty i nadała ich rozmowie ton wesoły. Zaczęli gawędzić tak, jak się mówi o rzeczach najobojetniejszych. Wyszli do ogrodu, a potem przez furt-

kę w pole i szli obok siebie równym młodym krokiem. Hanka unosiła batystową suknię, chroniąc ją od pyłu piaszczystej drogi, lekki powiew wyciągał jej z uczesania kosmyki włosów, które odgarniała z nad czoła. Była to już jesień... skreśli w miedzę, ku niewielkiej łące, gdzie kopki siana wygodny obiecywały odpoczynek.

Hania znów zagadnęła: „dużo miałeś tych kochanek?” uśmiechnął się pod wąsem na to pytanie.—Dużo — odrzekł.

— No, ale ile, ile?

— A czyż ja mogę pamiętać.

— Aż tak dużo — zaniepokoiła się po raz pierwszy.

— Ale ile na rok? — indagowała w dalszym ciągu.

— Nie wiem!

— Na miesiąc... na tydzień?

— Zabawna jesteś moja mała...

— A jakie były, czy ładne?

— Różne.

— Czy inteligentne?

— Rozmaite. Była jedna dość inteligentna—rozwódka. Z nią żyłem blisko pół roku — ale może ci to przykrość robi. Haniu — zapytał, spostrzegszy jakiś nagły cień na jej twarzy.

— Ależ nie, przeciwnie — bardzo jestem ciekawa, gdzieżeście się spotykali, chodziłeś do niej?

— Nie, miałem wynajęte mieszkanie w Radomiu, ona też mieszkała na wsi — zjeżdżaliśmy się w umówione dni. Ogromnie lubiła rezedę, nosiła zawsze bukiet przy staniku, mówiła, że jej szczęście przynosi — raz zapomniała przypiąć, byliśmy w gabinecie w restauracji i odkrył nas jej ojciec. Podobno zaszła pomyłka, bo i on wynajmował ten numer — tak mi potym mówiono — dość, że była awanturka, bo tu były dzieci, zły przykład, opinja i t. d.... No i skończyło się — prawdę mówiąc, miałem jej już dosyć.

Hania zamyśliła się, wzrok jej trochę zmętniał, przestała zajmować się suknią i włosami, dłonie jej jakoś bezradnie opuszczone wzdłuż postaci od czasu do czasu nerwowo się zaciskały, ale tym razem Tadeusz tego nie zauważył, jakieś inne istoty wyłoniły się z przeszłości i zaludniły jego pamięć, ciągnął dalej.

— Potym była inna, młoda panna z przyzwoitej rodziny, znajomość karnawałowa, zrazu niewinny flircik salonowy, potym spotkanie niby wypadkowe, wreszcie wspólnie uplanowane i t. d... Wyszła za mąż za jakiegoś bogatego wdowca, byłem na jej ślubie, bardzo jej było ładnie w takim wianuszkach z welonem.

Na wspomnienie to uśmiechnął się złośliwie.

— Widzisz Haniu, takich kobiet nigdy się nie kocha głęboko, dzisiaj się je ma, jutro porzuca, i prędzej czy później przestają one istnieć — tylko

takie czyste istoty, jak Ty, można czcić, szanować, wielbić — — — — — to mówiąc Tadeusz sięgnął po rączkę, aby ją do ust podnieść... lecz ta ręka jakby nagle straciła dotychczasowe swoje ciepło, stała się sztywną i chłodną. Zaniepokojony, czy nie zadrasnął jej nieoględnym słowem — spojrzał w ukochane oczy, lecz te były ciche, spokojne, a nawet próbowały zabłysnąć zwykłą wesołością. Między brwiami pojawiła się poprzeczna bruzda, lecz wnet znikła w uśmiechu

— Może spoczniemy trochę — zaproponowała. Usiedli na kopcu, a właściwie wtulili się w miękkie, pachnące siano, opodal z bagienka zerwało się z trzepotem stado dzikich kaczek, poczym znów niezmacona cisza ich ogarnęła. Hania wyciągała zeschnięte trawki, osypywała nimi machinalnie fałdy swej sukni, zapatrzyła się w małą biedronkę, która przedostała się na jej rękaw i szybko szła ku dłoni, a potem po długich wązkich paluszkach i zatrzymywała się na różowym paznokietku, zakłopotana, co począć dalej. Obserwowali ją oboje, a potem Tadeusz szybkim ruchem zepchnął niewinne stworzenie, które przepadło gdzieś w trawie.

— A, niedobry — pożałowała się Hania — zagłębili się jeszcze bardziej w miękkim siedzeniu, jak ptaki w gniazdku, że ledwo głowy ich widać było. Tadeusz nieznacznie podsunął ramię pod zanurzoną kibić dziewczyny i zapragnął pocałunku

ust miłych Zbliżył pragnące wargi na tę najbardziej rozkoszną odległość, gdy wilgotny dech upaja i oszałamia. Trwali tak chwilę, lecz gdy już już chciał wydobyć z tego niemego zaklęcia cud pocałunku, nagle powstrzymała go wzrokiem i lekkim cofnięciem głowy. Usta jej — te same, których łaknął, szepnęły: „wiesz Tadziu, nie Ty pierwszy, nie Ty”.

Nie pozwolił jej dokończyć, gwałtownie zakrył dłonią ponsowe płatki jej warg wilgotnych, a spojrzenie w jej oczach zagłębiając, szepnął: „to nieprawda... nieskalane są... czułem, aż nadto dobrze, że je całuję pierwszy... że nikt nie dotknął ich przedemną... zadrżałaś wtedy, jak kwiat wschód słońca odczuwający, zaróżowiłaś się z niespodziewanego wrażenia, a potem spłonęłaś wstydem niepokalanej młodości... nie Haniu, to nie może być prawdą co Ty teraz mówisz, ja wiem, ja czuję, ja wierzę...

— Mylisz się... zresztą pocałowaną można być nawet mimo własnej woli... czyżeś Ty nigdy nikogo nie całował przemocą? A takich, jak Ty jest wielu... dlaczego niedopuszczasz więc przypuszczenia, że mnie także ktoś — no mówmy po prostu — zbałamucił?

— Haniu! — zawołał głosem tak strasznego przerażenia, jak gdyby nagle usiłowano mu odebrać skarb najdroższy, ale zaraz uspokojony myślą,

że to jednak nieprawda, jął najtkliwiej tulić ją do siebie, błagając:

— Nie dręcz mnie najdroższa... Ty wiesz, że Cię tak kocham, jak nikogo nigdy na świecie nie kochałem... nie zadawaj mi cierpień moralnych, bo takie przypuszczenie rzucone w duszę Ci bez granic oddaną, to niepotrzebne ociemnienie uczuć naszych jasnych. Nie męcz mnie dłużej, powiedz, że to żart taki bolesny, że to próba mego do Ciebie przywiązania... powiedz co chcesz, ale zaprzecz temu...

Położył głowę na jej kolanach, pieścił dłonie i wpatrzywszy się w jej oczy, zebrał zlitowania, czekał uśmiechu, któryby twarz jej rozjaśnił i drżące rozproszył wątpliwości: lecz rysy jej skamieniały dziwną, nieznaną dotąd surowością — niezwykłe postanowienie brało w posiadanie całą jej istotę.

Skurczyła się, jakby w chwilowym bolesnym skurczu, a potem wyprężyła się, zjędrniała dumnie i nieugięte. Głosem ostrym, bezwzględnie dobitnym powiedziała.


— A jednak i moim obowiązkiem powiedzieć Ci całą prawdę — nie będę się tłumaczyć, bo nie czuję się winną, ale wolę wobec Ciebie zająć stanowisko takiej szczerości, jaką Ty mnie obdarzyłeś i za co wdzięczną Ci jestem. Nie mam wprowadzić do powiedzenia Ci równie wiele — w moim

życiu mniejszą rolę odegrała wola — większą okoliczności. Tyś szukał przygód, mnie zaś spotkało to niespodziewanie. Ale wiesz Tadziu, że nie tylko usta moje całowano, ale i szyję i piersi i ramiona... więcej jeszcze... wzięto mnie w posiadanie, całe moje ciało... miałam kochanka... raz tylko, raz jeden, ale miałam...

Gdy to mówiła, oczy jej rozogniły się, na twarzy wystąpiły wypieki, spojrzała na bezwładnie osuniętego u jej stóp mężczyznę, jak na człowieka obojętnego, którego pragnęła zmiażdżyć bezwzględnością swych słów — stanęła nad nim, wyprostowana, z czołem podniesionym i robiła wrażenie istoty, która zrzuca z siebie cierpienie i świadomie skierowuje je na tego, który był jej najbliższy.

Skończyła swe wyznanie, umilkła. Cisza długich jak wieczność chwil owionęła grupę tych dwu istot, nie gadała ani łąka, ani pola ani miedza... ból zdobył sobie serca i targał nimi skrycie w tej cichości. Nagle od ziemi podniósł się stłumiony męski szloch i coraz silniej, bezradnie wstrząsał postacią, a zmierzchy właśnie jąły opadać i wtulały się wszędzie. Wzrok kobiety zmiękł nagłym żalem, drgnęły jej rysy rozpaczliwym wyrzutem, zdawało się, iż rzuci się cała ku niemu, że będzie całować jego dłonie, obejmować nogi, błagać przebaczenia, lecz była to tylko sekunda słabości, wnet skupiła się sama w sobie, i widać było, jak zwalcza żal, jak wolą swoją go przydeptuje, jak tkliwość


swą od umiłowanego odrywa. Kąciki jej ust zadrgały spazmem wewnętrznym, ale nie wyszło z jej duszy ku niemu ani jedno słowo ciepłe, kobiece. Spojrzała jeszcze raz, jak tarza się w niemej boleści — zapragnęła, by ją przekłinał, złorzeczył — czekała, czy nie wyciągnie się dłoń jego, by ją odepchnąć, a on płakał, nic nie mówiąc. Podniosła obie ręce ku głowie, przegięła się jak drzewo targane huraganem i nagle ujrzawszy straszliwą zjawę starganego szczęścia, poczęła uciekać przed siebie. Biegła bez tchu, bez opamiętania, jakby uciekając...



WESELE.¹⁾

NOWELA, ODZNACZONA NA KONKURSIE DRUGĄ NAGRODĄ.

¹⁾ „Przegląd Wielkopolski” № № 31 i 32 z d. 29 lipca i 5 sierpnia 1911 r.



Pod płotem, okalającym duży dworski sad, stała grupa kilkunastoletnich chłopaków; ubrani byli odświętnie i zdawali się na coś oczekiwać. Gwarzyli między sobą, rzucając złośliwe przycinki przechodzącym dziewczętom, których jasne perkalowe spódnice widniały zdaleka. Ciągnęły one wszystkie pojedynczo lub parami w stronę chaty, nieco na uboczu wsi stojącej, skąd dolatywała gwara licznych głosów. Chata ta, do innych zresztą zupełnie podobna, odznaczała się niewielkim szyldem, na którym podłużne plamy miały wyobrażać chleb i głowę cukru, poniżej widniały krzywe napisy: kawa, herbata, cykorja... Szyld ten tak niepozorny, zatrzymywał jednak wzrok niejednego przechodnia i kierował kroki przez wydeptany próg, kędy szły codziennie zzieleniałe miedziaki. Chleba za złoty... soli za trojaka... tytoniu... mówiły dzień w dzień różne głosy, wyciągały się dłonie zczerniałe, mówiące o dziejach ciężkiej pracy, z której zrodził się grosz ubogi. Niekiedy dziecko przybywało z jedyną kopiejką, ściśniętą w drobnej garści i prze-

chodząc łakomie oczyma po torebkach i słoikach, szeptało śpiesznie: „cukierków... a zamieniwszy pieniądz na kilka lepkich karmelków, lizało je chciwie. Skrzypiały drzwi sklepiku codzien, otwierane przez rzesze potrzebujących, dziś jednak stały one szeroko otworem, tak jakby zachęcając każdego przychylnie, jakby nie wymagając grosza, jakby nie licząc na zysk. Uprzątnięto izbę, powynoszono skrzynie i paki, usunięto ladę i wagę mosiężną, widocznie czyniono tu miejsce jakiemuś niezwykle mu świętu, jakiejś tłumnej radości. Z komina buchał dym wesoły, świadczący o strawie gorącej, na przyźbie otwierano beczki z piwem. Zbita gromada ludzi gwarzyła...

— Jużto córce nie żałujecie — zauważyła Walentowa, podchodząc do gospodarza chaty.

Sklepikarz uśmiechnął się dumnie i ocierając czoło czerwoną chustką odparł:

— Nie częste w życiu wesele, niech się ta ucieszą!

Zdaleka doleciał niewyraźny jeszcze turkot wozu, gromadka stojących poruszyła się niecierpliwie.

— Jadą już... jadą! — woła Stach Kowalak, pędząc co sił od strony drogi, prowadzącej do kościoła. Zdyszany zatrzymał się przed grupą stojących chłopaków.

— Jadą... — powtórzył — już są koło figury—
a po chwili zapytał:

— Pójdzieta na wesele?

— A przecie — odpowiedział mały, krępy
Furmaniak, zajęty w tej chwili odrzynaniem gałęzi,
zwieszającej się z za płotu.

— I my proszeni... — dodał Bolek, syn wios-
kowego cieśli, smagły chłopak z ogorzałą twarzą.

— Dość ludzi będzie... tęgie wesele... ze dwa
dni będziemy tańczyć — mówili inni.

— A co wódki nasprowadzali! widzieliśta?—
obwieszczał Stach z tajemniczą miną.

— Pewno dla starych — powątpiewał Bolek,
któremu łakomie ukazał się w myśli napełniony
kieliszek.

— Nie bój się, i dla ciebie starczy — naśmie-
wali się towarzysze.

— Patrzcie, jakto się Józek ustroił, jaki to
ma krawat czerwony, pewnikiem do swojej Ma-
rynki.

— Kawaler z miasta, to ci elegant...

Oczekiwany wózek nadjechał, chłopcy umilkli,
wpatrzeni w tuman kurzu. Zaturkotało przed ni-
mi, mignęła biała suknia panny młodej i kilka ogo-
rzałych twarzy wychyliło się z wozu, rozbłysło uś-
miechem, jednocześnie parę urywanych dźwięków
nuciło jakby radosną zapowiedź, a po chwili ozwa-
ła się nuta dziarska, wesola...

— Wesele, wesele... — zawołał gromko któryś z družbów.

Wesele... wesele... — powtórzyły głosy w różnych stronach wioski. — Wesele... wesele... — mówiło echo.

Coś, jakby śmiech, jakby radość, wywabiało stąd lub owąd jakąś postać kobiecą lub dziecięcą i prowadziło je za tym wozem, turkoczącym w szybkim pędzie, za tym przejmującym serca okrzykiem.

Coś, jakby śmiech, przeszło drogą, wzdłuż chat i zadzwoniło u każdego okna i odbiło się o szare ściany, aż gdzieś u płotu skończyło w szmerze liści...

Jadący zatrzymali się przed ową chatą, gościnnie rozwartą, wśród grupy oczekującej... Ktoś strofę wesołą zanucił, a piskliwy jakiś głos niewieści odpowiadał.

Przybyli zeskakiwali rażno. Wyniesiono chleb i sól na przywitanie młodych. I stała się wielka jasność wokół, bo słońce upodobało sobie ten obraz radości i prostych serc. Złoty szlak blasku szedł ku rozwartym drzwiom chaty, zatrzymały się w nim postaci na codzien w szarości z tłumem zmieszane, a dziś wyodrębnione chwilą jedyną.

Na złocistej ścieżce, w niezwykłej jasności stanęło dwoje ludzi... Było to ich święto... przed nimi roztwierała się chata, w niej czekało na nich życie wspólne...

Jako pracowali wczoraj, tak i jutro pracować będą, ale oto z pośród dni troski ten jeden, ten dzisiejszy, nosi nazwę odmienną, nazywają go dniem wesela.

Dwoje prostych serc bierze w posiadanie radość i ściele ją do stóp całej wioski. Dwojgu istot przysługuje dziś prawo zapomnienia o troskach, więc jasny promień posyłają chatom, wśród których wyrosli. Z młodej piersi wrywa się prosta i szczerza zachęta: Chodźcie ludzie na nasze wesele! Chodźcie wszyscy i starzy i młodzi... i dzieci... chodźcie rzemieślnicy wioskowi, włościanie... robciarze... chodźcie wszyscy do naszej dzisiejszej radości!

Oto w dniu wesela następuje wielkie zbratanie gromady. Wśród szarości życia staje muzyka weselna, wkoło niej skupiają się istnienia, do niej biegnie pragnienie chwili jaśniejszej.

Muzyka weselna gra... słucha gromada. Słuchają starzy i w sercach się budzi ich echo odległe, rozbłysły oczy zmęczone. Toć i na moim weselu tak grali... — wspomina ktoś głośno. Toć i na moim — powtarza cichy szept wśród tłumu. Jaśniejają twarze, weselą się oczy, a młodym pilno do tańca. Śmieje się, gwarzy i cieszy weselna gromada. Oj, wesele... wesele!

Tekla wyrobnica z innymi stoi i patrzy. Szare jej oczy biegają wokoło, wzrok niespokojny ożywia się na widok tęgich parobczaków.

Poprawia czerwoną piwonję we włosach i w głupowatym uśmiechu wyszczerza spróchniałe zęby. Z gromady wysuwa się kołodziej Wiśniak i ode drzwi chaty wita państwa młodych; zwykle on na wszystkich weselach przemawia, tę samą orację wiernie powtarzając.

— Jak ta sól od zepsucia pokarm chroni i jako jadłu smaku dodawa, tak niechaj zgoda broni was od nieszczęścia, a miłością życie wasze wspierajcie...

— Całkiem mówi, jak ksiądz na kazaniu — zauważył ktoś z boku.

Tekla na mówiącego spogląda, a potem na zielony wianek panny młodej i nagle grymas jakiś twarz jej wykrzywia, a oczy mówią niby żalem cichym, niby niską jakąś zazdrością.

— Nie nosiłam ja nigdy wianka rucianego, ani mi muzyka weselna nie przygrywała... Nie jeździłam do ołtarza ślubować, ani mnie drużbowie nie prowadzili...

Na czoło Tekli występują zmarszczki głębokie i mówią o ciężkiej serca niedoli... o krzywdzie, która zgasiła nadzieję dnia weselnego... o tym, który ruciany wianek zdeptał.

— Nie było dla mnie wesela, nie będzie dla mnie wesela — myśli Tekla i oto nagle porywa ją złość do tych ludzi wokoło. Skoczyłaby im do oczu, by wydrapać z nich te błyski radości. Podarłaby w strzępy tiulowy welon, migający w blasku

słońca. Duszę jej znędziała razi dzień weselny, tak, jak promień słoneczny chore oczy.

Ktoś nieśmiało szturchnął ją w bok.

— Mamo... mamom... wesele... — szepnął tuż obok ochryply głos dziecięcy. Pięcioletni Roman patrzył wokoło swymi błędnymi źrenicami, w których migotała niewyraźna iskierka radości zaczerpnięta u weselnego ogniska.

— Mamo... wesele! — powtarzał głos dzieciny, jakby nie dowierzając temu ogólnemu świętu, bo dziecko to jeno do szarych dni przywykło.

— Mamo... wesele!... — biła w drobnej pierśi jakby skarga czy zdziwienie, że nie codzień gra ludziom muzyka. Jednocześnie nieśmiałym szturchnięciem Roman przypominał matce, by szła w gwarną cizbę do tych, co się weselą.

Spostrzegł kosze z chlebem i owocami i ozwało się w nim głodne pragnienie, by iść po tę częśćkę weselnej biesiady, On, obdarty, głodny Roman, z nadmiernie wielką głową, z szyją pokrytą wrzodami upominał się o okruchy weselne dla siebie.

Cieszyło się w nim dziecko, treści życia nieświadome.

Zachnął się nim nędzarz...

Dziwiło się biedne jego istnienie tej radości. Przed smutnymi jego oczyma stanął jasny obraz nieznanego. O duszę uśpioną odbiło się echo jakiejś obcej radości. Zbudził go śmiech...

I oto Roman biegnie, staje, patrzy... Muzyka weselna wciąż gra. Gromada mówi, gwarzy, ktoś śpiewa... Jakaś skoczna nuta zakołatała mocniej sercem dziecięcem.

— Wesele... — powtarza Roman i szuka potwierdzenia w oczach matki.

— Mamo — wesele!...

Jakże nie w porę jednak ozwał się ten głos, radość chwytający. Dziecko nie wiedziało, nie przeżuwało, było niewinne. Nie wiedziało nadewszystko, że wśród cieszącej się gromady kryją się serca nabrzmiałe żalością, że właśnie jednym z tych pokrzywdzonych było serce jego matki, że oto stało na uboczu odtrącone od jasnej chwili, nie mające wspomnień weselnych.

W oczach Tekli mignęły dzikie błyski, bo oto nędza jej życia, bo oto krzywda jej krzywdy ozwała się głosem dziecka. Stoi przed nią to mizerne stworzenie, jako znak widomy nieodwołalnego przestępstwa, które ją w tej chwili odłącza od weselników.

— Mamo... wesele! — oto słowa, których głębia łączy tragedję dwu istot: dziecka i matki.

Dziecko nieświadome dopomina się prawa do chwili szczęścia, matka prawo to straciła i próżno by go szła szukać, bo oto w życiu tym jest zbłąkana i nie masz przed nią drogi.

— Gdzie dzień mego wesela? — gdzie pomsta mojej krzywdy? — zawyło wściekłością w duszy znękaney. Dwa silne ramiona porywają dziecko.

Tekla unosi je w dzikim gniewie, unosi zdala od gromady, jakby wraz z tym wątlym istnieniem oddalić chciała zmorę duszącą. Rzuca gdzieś pod płotem i bije... a za każdym cięższym razem echo jakieś zdaje się żalić w pobliżu.

To za mój wianek zdeptany...

To za moją krzywdę...

To za moje życie pełne biedy...

Wieczór zapadał. Muzyka weselna zagłuszyła płacz dziecka. Tak zwykle nikt i gasną cierpienia małych, zapomnianych istot wobec tłumnego gwaru życia. Łza dziecka spływa samotnie obok dnia wesela, obok stołów biesiadnych, pode drzwiami jasnej świetlicy, kędy w zawrotny tan idą pary hulaszce. Tekla odchodzi, miesza się z tłumem rozbawionym, śmieje się do kieliszka wódki, pokrzykuje z innymi. Żal i osamotnienie, zazdrość i złość stopiły się w krwawą pomstę nad dzieckiem i spływały w niepamięć. Oto wywija oberka sprawniej od najmłodszych dziewczyn, jakby nagle wtargnąwszy w radość ogólną, zapomniała o wszystkim i nie odgadłbyś w niej nędzarki z wczoraj i nędzarki jutra. W izbie coraz duszniej i goręcej, czuć pot i kurz, płacząc się dzieci i zdobywszy sobie kąć niewielki tańczą z równym animuszem. Gdzieś pod ścianą zakwiliło przyniesione przez matkę niemowlę, któremu podchmielony parobek wlewa wódkę w wykrzywione usteczka.

Ówdzie kilkoro małych nóżek w nadmiernie

ciężkim obuwiu tupoce w takt muzyki. Gdzieniegdzie nieśmiały śmiech dziecięcy tonie w rozgwarrze. Czteroletnia Zośka robi pocieszne miny do rówieśnika Janka, chce z nim zatańczyć „ino raz, ino polkę” i gładząc go po tłustych policzkach, mówi:

— Tyś ze wszystkich najładniejszy! Janek odsuwa ją od siebie.

— A tyś paskudna — rzuca jej niedbale.

Mały jakiś psiak w ciżbie przydeptany piszcząc i kulejąc wysuwa się drzwiami.

Tam pod ścianą stoi Roman ostatnie łyzy wycierając rękawem. Dziecko litościwie przygarnia skomlejące stworzenie, dwie biedne zapomniane istoty tulą się do siebie. Roman gładzi ręką isnącą sierść Burka i w zielone ślepie mu spoglądając, powtarza ochryplym, bezdźwięcznym głosem:

— Wesele... wesele....

Wyraz ten był jedyną skargą dziecka.

BRACISZEK.

W dworskiej kuchni tęga dziewczka krząta się, zmywając naczynia, które wyniósł jej przed chwilą lokaj z kredensu. Na stole stoją w nieładzie płytkie i głębokie talerze pomazane sosem pomidorowym, lub skrzeplym masłem, gdzieniegdzie poniewierają się na nich resztki jarzyny, niedojedzony kotlet, kostki od kurcząt i zbrukane listki sałaty. Między tym wszystkim mnóstwo umazanych noży, widelców, łyżek. Mniejsze i większe okruchy chleba mokną w kałuży rozlanego piwa. Rzędem poustawiane kieliszki złączają się w różnej mierze niedopitym napojem. Marjanna zawinęła rękawy, podkasała spódnice, dźwiga szaflik z gorącą wodą, energicznie zabierając się do roboty. Kopnęła nogą płaczącego się kota, stanęła przed zastawionym stołem, poświęcając krótką chwilę jakiemuś tajemnemu obrachunkowi. Wzrok jej przesunął się po talerzach i półmiskach, jakby sumując ich ubogą zawartość. — Toć chyba się nażre— szepnęła sama do siebie i szybkim ruchem zaczęła zgarniać resztki na dwie miski. Na pierwszą zsuwała same kości, na

drugą wybierała nieco staranniej kartofle i kawalki mięsa, które następnie ułożywszy z pewną symetrią oblewała resztkami przeróżnych sosów, sumiennie wyskrobanych.

Ukończywszy w ten sposób z naczyniem, znalazła z zadowoleniem niebardzo jeszcze dojedzone ciastko, które umieściła obok tej obfitej miski. Zanurzyła wreszcie czerwone ręce w pomyjach i machinalnie spełniając codzienną robotę, myślała spoglądając raz jeszcze na zbieraninę resztek:

To i wszystko, co z pańskiego obiadu zostało, a półmiski były takie pełniutkie, takie eleganckie, gdy je do pokoju wnoszono. Kucharz miał do roboty od samego rana, nauwijał się stary, a naprzeklinał. Ogień to mu był za mały, to znowu za duży. Przez twarz ją ścierką uderzył, bo mu się tort trochę przypalił i miał zaciemny kolor, choć w smaku to był nawet doskonały (skosztowała, gdy się odwrócił). Legumina jaka była piękna, wysoka — ledwie ją pan Franciszek wniósł — musiała mu drzwi do pokoju otwierać, a potem cichutko stanęła i przez dziurkę od klucza podpatrywała, jak to się goście będą obdzielać. Zaraz najbliższej siedziała jakaś pani w sukni z koronkami, ale jej twarzy dobrze nie rozpoznała, bo była tyłem odwrócona. Jeszcze na nią kolej nieprzyszła, ale się ciągle oglądała — pewnie za tą leguminą.

Marjanna dalej, dalej widziała, jak jakiś młody pan nakładał na talerzyk pannie, a ona rękę

z talerzykiem cofała — niby to już ma dosyć, a pewnieby więcej chciała. Patrzy tak coraz dalej na wszystkich gości i wreszcie swojego pana zobaczyła. Taki dziś śliczny, wygolony i wyelegantowany, tak ładnie się uśmiecha do tej pani o złocistych włosach, co to podobno się z mężem rozleciała. Marjannę coś jakby szarpnęło w sercu, ale zaraz potym pomyślała, żeby ta największa konfitura w leguminie na jej panoczka trafiła, niechby ją zasmakował tymi swymi czerwonymi ustami. Och te usta, te usta, zapomnieć ich nie może, choć to przecie lata mijają. Westchnęła sobie mimochodem i dalej patrzyła. Kiedy półmisek doszedł do dzieci, to już same konfitury wybierały. Potym Franciszek wymyślał w kredensie, że mu aż ręka przy tym wybieraniu zdrętwiała.

Tak sobie medytując, Marjanna już ostatni talerz obmywała i obróciwszy do góry dnem, na stół kładzie. Teraz pan Franciszek przyjdzie je sam powycierać. Odgoniła muchy, które poobsiadały na uboczu miski i schyliwszy się wydobywa z pod szafy starą gazetę do ich przykrycia.

Do kuchni wbiega ośmioletnia dziewczynka, za nią śliczna czarna wyźlica podskakuje radośnie w oczekiwaniu na obiad.

— Dzień dobry panience — woła przyjaźnie Marjanna.

Jasnowłose dziecko o dużych niebieskich oczętach, w których tkwi jeszcze bezgraniczna uf-

ność do wszystkich, z uśmiechem pogodnej dziecięcości na różowej buzi, zgrabnie przesuwa się między poustawianymi na ziemi naczyniami, uważnie, aby nie pobrudzić nowej białej sukienki.

— Marjanno, czy macie resztki z obiadu dla Djanki? — pyta dziewczyna.

— A jakże, są panienko, dam zaraz.

Mała, nie czekając, wspina się na palcach, aby sięgnąć po stojącą na półce miskę. Pies wesółymi podskokami manifestuje swoją radość.

— Panienko, ta druga miska, ta z brzegu, to dla Jaśka. Mówiąc to, Marjanna zamienia naczynia i odebrane stawia wyżej, jakby w bezpieczniejsze miejsce.

— Dla Jaśka? dziwi się mała. Dla jakiego Jaśka?

— A dyć dla mojego — odpowiada machinalnie pomywaczka. Wyżymając ścierkę z brudnej wody, spogląda w tę małą buzię różową, spotyka oczy zdziwione i ciszej dodaje:

— To panienska nie wie? — mam chłopaka, będzie mu czwarty rok, to jakby panienczyn brat — dodaje w zamyśleniu, jakby sama do siebie.

— Jakto? — pyta dziecko.

— Z jednego ojca... brzmi prosta odpowiedź, cichym echem serca wywołana. Coraz bardziej zdziwione spojrzenie dziecka obrzuca roslą postać dziewczki o ogorzałej twarzy, zastygłej w bezmyślności i nie zdradzającej czucia.

Marjanna zaśmiała się krótkim urywanym śmiechem, spostrzegszy nieświadomość pańskiego dziecka, które pojmuje, że została mu powierzona jakaś tajemnica, chociaż nie rozumie jej zupełnie. Poczucie dziecięcego serca mówi, że musi to być coś wielkiego.

Pies schrupal już wszystkie kości i oto teraz wylizuje miskę z takim ferworem, że się cała zatacza i stuka o kamienną posadzkę. Marjanna nachyla się, by mu ją odebrać. Djana patrzy się jeszcze pytająco za tą czerwoną dłonią, odstawiającą naczynie, ale nie dostaje nic więcej — gdyż jej część jest już skończona, a druga miska czeka spokojnie na Jaśka.

Halszka stoi jeszcze chwilę w zamyśleniu, poczym odchodzi wolniutko ku pokojom, tym razem nie uważa już na swoją sukienkę, otarła się o drzwiczki pieca i na białym materjale pozostaje czarna smuga. Nic to, bo oto większy cień zaczyna się wkradać w duszę dziecięcą. Jest to cień czegoś nieznanego, co zbliża się nieuniknioną koniecznością do myśli niewinnej, aby brutalnie zatrząść tym wypielegnowanym jestestwem salonowego dziecka.

* * *

Zaległa noc wkoło dworu wiejskiego. Goście się porozjeżdżali. Cisza... Na ciemne niebo wypływa zwolna biaława tarcza księżyca, mdławe promienie przezierają przez gałęzie kwitnących lip i poprzez

wzorzyste firanki w otwartym oknie dziecinnego pokoju. Na małym łóżeczku leży Halszka z szeroko otwartymi oczyma; śledzi jasne smugi białawego światła, wodzi po ciemniach nocy wzrok pełen poczynającego się w niej zapytania; nie może usnąć, przewraca białą poduszkę, to znów tuli się do niej pieśczośliwie i zanurza na chwilę powieki. Dziecięca jej myśl wciąż pracuje.

Dlaczego Marjanna powiedziała jej, że ma brata? jaki to jest braciszek? czy też w tej chwili śpi gdzieś w łóżeczku takim jak jej, niebieściutkim pod białymi firankami? ale pewno nie, bo skoro mu Marjanna zanosila resztki obiadu, to musi być bardzo biedny i głodny. To jest biedny, biedny braciszek... Na myśl tę robi się Halszce tak smutno w serduszkach, tak bardzo smutno... łezki zaczynają spływać na poduszkę. Są to nieuświadomione łzy wielkiej miłości, łzy nienazwane, a tak piękne, że cała ta noc lipcowa zdawała się z nimi pieścić, zapachy drzew rozkwitłych zlewały się z wonnością niewinnej duszy.

Halszka tak by chciała poznać swego braciszka, takby chciała pobawić się z nim w chowanego w ogrodzie, albo w koniki, ona tak często niema się z kim bawić!

Nagle siada na łóżku. Ma myśl, poprosi Tatuśka, by ten braciszek też z nią zamieszkał. Lecz prawda, Marjanna nie kazała o tym mówić nikomu... To jest tajemnica... dlaczego? I dlaczego ona

mówiła „mój Jasiek?” przecież jej braciszek to może być tylko Tatusia, Mamusi i jej — niczyj więcej. Może Marjanna go wykradła? Niania mówiła, że są ludzie, którzy dzieci kradną. O! Mamusia by jej to wytłómaczyła, ale mamusi niema, umarła...

Halszka wstaje i boso w koszulinie biegnie do biurka, gdzie stoi fotografja nieżyjącej matki, ujmując ją obu rękoma i wpatruje się z wysiłkiem poprzez mroki w te rysy zacierające się coraz bardziej w dziecinnej pamięci. Przysunęła się bliżej do okna i stanęła cała w smudze księżyca. Małe usteczka zbliżają się do szkła przykrywającego fotografję i szepcą z wymówką:

— Mamusiu, czemu nie mówiłaś mi nigdy o moim braciszku? Niedobra, miałaś sekrety przedemną, a teraz bardzo mi smutno, bo jestem sama i nie mam się z kim bawić...

Twarz, o banalnie ułożonym przez fotografa wyrazie, patrzyła gdzieś... zupełnie nie na Halszkę. W ciszy i pustce nocy unosiła się tajemnica globu, jakby dopraszając się zapomnienia wszystkiego, co ziemskie, niskie i marne. Czasem tylko zaszeleściły wspomnieniem życia gałęzie lip kwitnących za oknem.

* * *

Wśród pól dojrzałego zboża szły dwie dziewczynki. Halszka i Marylka, nieodłączne powiernice wrażeń swych dziecinnych. Rozkolysały się wkoło

łany, jakby je wtulić w siebie chciały i między kwiaty swe zaliczyć.

Marylka, niosąca cały pęk bławatków, proponuje przyjaciółce:

— Chcesz Halszko pójdziemy brózdą? to tak miło rozgarniać takie ciężkie, dojrzałe, do ziemi chylące się kłosa.

— Dobrze, chodźmy.

Zanurzyły się obie w złote fale, rozsuwały je i wydobywały gdzieniegdzie kwiaty z tej zbóż powodzi.

Marylka znów zagaduje:

— Coś ty taka smutna?

— Nic, tylko...

— Co?

— Nie wiem, czy ci powiedzieć.

— Powiedz koniecznie...

— A nie powiesz nikomu?

— Nikomu, słowo, jak mamę kocham — powtarza Marylka uroczystym głosem.

— No, to dobrze, bo to wielka tajemnica. Widzisz... ja mam brata...

— Jakto? — pyta cała osłupiała, zdziwiona przyjaciółka.

— Właśnie, że i ja dobrze nie wiem — żali się Halszka z wielkim zakłopotaniem i powtarza przyjaciółce całą swą rozmowę z Marjanną.

Marylka słuchała pilnie, aż obie przystanąły wśród szemrzących zbóż, upodobnione tym kwia-

tom, które ciemnymi i jasnymi oczyma dziwią się życiu, którego wszystkich tajemnic dokoła nie znają.

— Czekaj, ja trochę zaczynam się domyślać— mówiła bardziej uświadomiona Marylka — ale najlepiej dziś wieczór zapytam się panny Janiny, ona mi wszystko wytłómaczy — a ja ci jutro opowiem.

— Zgoda, ale czy ona nas nie zdradzi. Pytała Halszka niespokojna.

— Kto? panna Janina? Ależ ona bardzo lubi mi opowiadać o tym wszystkim, czego także rodzice nie chcą, abym wiedziała.

* * *

Nazajutrz znowu dwie małe przyjaciółki długo i tajemnie rozmawiały.

Wieczorem Halszka w łóżeczku swoim rzewnie płakała. Dziwny dreszcz przejął jej dziecinne ciało, gdy posłyszała turkot powozu, którym ojciec wracał z sąsiedztwa. Słyszała potym, jak od strony kuchni przez krzaki biegł ktoś szybko i dopadł ojca na ganku. Po chwili na cichy szept odpowiadał głos zagniewany:

— W służbę przyjąłem, ordynarję daję, czegoż chcesz więcej? poszła precz do chałupy...

Drzwi zatrzasnęły się głośnie, odpowiedział im żalony szloch Halszki gwałtownie stłumiony w poduszkach.

W czasie następnego śniadania Halszka nie śmiała spojrzeć na ojca, a gdy ten spytał surowo dlaczego nie mówi „dzień dobry”, odpowiedziała, nie podnosząc wzroku dziwnie lękliwie: „zapomniałam”. Ojciec zgromił ją i nalewając śmietanki do herbaty dodał:

— Dzieci powinny kochać, szanować rodziców i nigdy nie zapominać o swych względem nich obowiązkach.

A rodzice?...

* * *

Kiedy Marjanna po skończonym zajęciu wybierała się do siebie na obiad, ukrywając pod chustką zwykłą miskę z resztkami, do kuchni cichutko weszła Halszka i prosiła:

— Marjanno, zaprowadźcie mnie do waszego Jaśka...

Po długich prośbach Marjanna się zgodziła.

Weszły do małej ubogiej izby, w której obok całej rodziny stolarza, mieszkała matka z dzieckiem. Chwilowo nie było tam nikogo. Na kominie gotowały się jedynie kartofle, pokrywała je woda kipiąca. Parę łóżek, komoda z gipsową figurką świętego Józefa, jakieś przybory stolarskie, kawał zheblowanej deski — oto i wszystko.

Halszka zatrzymała się w progu.

Więc to tutaj mieszkał jej braciszek?

Posunęła się dalej nieśmiało, jakby nagle ta uboga izba stała się dla niej jakimś sanktuarjum. Tak samo kiedyś wchodziła po raz pierwszy do kościoła z tym samym wyrazem dziecięcego skupienia. Tak samo rozszerzały się jej źrenice, gdy prowadzono ją małutką przed ołtarz i klękać kazano mówiąc: tu mieszka Bozia.

Czyż ta dziecina mogła przeczuć w tej chwili, że ludzka krzywda i nędza bywa także ołtarzem świętości? że szczęśliwi przed nieszczęśliwymi, wybrani przed opuszczonymi powinni schylać czoła? że dostojeństwem jest szlachetne ubóstwo wobec możnych krzywdzicieli? Czy instynkt dobrej duszy pozwolił dziecku to wszystko odgadnąć, zrozumieć... czy począł się w niej człowiek? Stała się miłość, która przeczuciem w nieświadomym sercu płakała, stał się jasny, a tak, wczesny cud w młodej duszy: zrozumienie wszechludzkiej równości!

Oto teraz ma przed sobą biednego braciszka— Jaśka. Tak to on! siedzi na podłodze i nakłada wióry drzewne do małego pudełka. Zobaczył matkę — opuszcza zabawę, zrywa się i woła: „Jeść!” przeczuciuwa swoje zwykłe resztki, jest głodny. Ale oto spostrzega panienkę i chce uciekać

Halszka zastępuje mu drogę, kładzie rączęta na jego drobniutkich ramionach.

Stoją tak bez słowa naprzeciwko siebie. Chłopak uparcie głowę spuszcza i tylko nosem czasem głośno pociągnie.

Ona — Halszka, miała mu coś powiedzieć... że go bardzo kocha, że... że... że... ale coś jej w gardle uwięzło, pewnie łzy... i szepcze tylko cichutko... cichusieńko „Jasiek”.

Chce mu spojrzeć w oczy, klęka przed nim na podłodze, w pyle chatnego ubóstwa i przysuwa się bliżuteńko, ogarnia go ramionami. Nagle spuszczone powieki się podnoszą. Chłopak spojrział... te same oczy niebieskie, poznała swoje oczy! Z dzieciennego jej gardła wydarł się krzyk bólu większego, niżli serce dziecięce: „Jasiek!”

Pozostaje tak przed nim na klęczkach, niewiele większa sama od niego, obejmuje go rączkami. Coraz silniej i tuli i pieści a oczy patrzą w tego braciszka z pod strzechy jak w ołtarz z utajoną świętością.

Z głębi chaty doleciał głuchy szloch, to Marjana, ukrywszy twarz w czerwonej pierzyne, płakała.

W NOC CIEMNĄ.....

Zamilkły stróżne kołatki, w mglistość senną
zapadła wieś, ramionami ciemności osłaniając czo-
ła swych chat. Pogasły kolejno płomienne źrenice
okien, w uśpionych wnętrzach zatoczyły czarne
kręgi sny nad znużonymi głowami.

Odrętwienie nocne...

Szyby zroszeniem płaczące...

Cichość osnuwająca bezmierną ciemność...

Idą kręgi rdzawé, płonące, zatapiają się w fjo-
lety widziadeł, spiatają zielono-modre ogniwa, łą-
czą się, dzielą, rozchodzą... Oczy o barwnych tę-
czówkach z błędnymi źrenicami, wydarte z pawich
piór, sypią się w czarność, topnieją i nowa przyply-
wa ich fala z nad mglistości odległej.

Sypią się, sypią pióra pawie kręgami znacząc
ciemność.

Śpi wieś, śpią ludzie, śpią chłopskie dusze.
Gdzieniedzie tylko jakaś myśl niepodległa znu-
żeniu, jakaś myśl błada, tułacza w odmętach
nocy, myśl chleba chciwa i snom odporna, cię-
żarna troską, pełza po ziemi. Przybiera błoniaste

skrzydła nietoperza i do mroków przywykła, czepia się belkowanego pułapu; to znów ciężar swój wlecze leniwie, podziemne kopiąc nory w tej ciężkiej glebie.

Tułacza myśl w odmętach nocy...

.....
Zeszła ciemna chmura z nieba na chatę pastuszą, przygniotła dach swym łonem kłębistym.

Zaparło ją w piersiach, oddechu chwycić nie mogła, czerwone ślepia w mózg jej zajrzały, krew w sercu zaszumiła

— Matka...

— A co?

— Nie śpita?

— ?

— Żeby mnie ta raz już zadusiło, a bo co, żeby ja już tych jutrzejszych świateł wschodnich na niebie koło słońca nie oglądała. Już mi serce całkiem ustaje... widać takie przeznaczenie. Oj dołaż — ty moja nędzarka — — o Jezu!

— A cichałabyś, Panu Bogu narzekaniem nie urągaj. Już ci córko moja wiadomo, że śmierć bliżej masz, niż uzdrowienie. Już ja z tobą kłopotu nacierpię za wszystkie grzechy. Koło Wielkanocy, jak cię choroba zmogła, to precz trzyma mlecnota, jużes na wiórek wyszła. U doktorów pięć dziesiątków rubla ostawiłam, w aptyce zaległam, nijakiej pomocy w chałupie nie mam; ot, skaranie nad bie-

dnym człowiekiem. A po nocach jeszcze urąga, nad odpocznieniem rodzonej matki zmiłowania nie mając.

— Palice mi wyschły, jak temu złodziejowi, żadnej mocy w sobie nie czuję. O, Jezu, Jezu, żeby już raz niedolę moją zdusiło...

.
Zakłębiła się chmura koło okien, spaczne drzwi skrzypnęły... pawich oczu z ciemności wyrosłe snopy rzuciły się w chatę.

.
O ty ciemnico bezduszna, o ty ciemnico grobem mi mówiąca, o wy kręgi zielone, rdzawe nad moją chorą głową. Nie skrzypcie wy mi drzwi dębowe, jak trumńiane wieko — odejdźcie mi tęskności za życiem, co odchodzi...

A dyć te kręgi wielkie w oczy mi włożą! popadały pierścienie z pawich piór od Jaśkowego kapelusza i skręcają się w róże, jako na mojej chusteczce; z zielonych plam świeże im liście porosły, jakowychś kłosnych promieni dostały i w przodowniczy zmieniły się wianek, wielachny taki i śliczniutki. Puściły się od niego wstęgi niebieściutkie i różowe, łóżko mi moje oplotły. Oj! lubiłabym być przodownicą!

— Matka.

— A co?

— Sierp mi ta włóżcie do trumny, a nie zabaccie. Będę ja nim żęła kłosy, co je w niebie Naj-

świętsza posiała dla biednych ludzi; wyłuszcę z nich złotego ziarna i sypnę wam matka do chaty za wasze staranie. Oj, polecą złote ziarna, jak te iskierki i w gwiazdy porosną, coby w takie ciemne noce nad chatą świeciły...

Oj boli mnie w sobie, a kłuje...

.....
Ciemność nocna przygniotła tęsknicę za tym, co w dal ulata, przygniotła chaty i zaczerniała w duszach... Ponad odrętwieniem i sennością budziła się w dali nadzieja świtu.

— Matka, matka, ino wam coś napomnę.

— A czego ta znowu?

— A jak uzdrowieję, pójdzieta do świętego miejsca?

— A no juści, pude.

— A jak uzdrowieję, kupita mi parę świniaków, co je sobie uchowam?

— A no obiecałam, to kupię.

Obróciła się do snu ze znakiem krzyża, płynęła cichość falą nocy i nędza ludzka czepiająca się życia.

0

WIEŚ I SŁOŃCE.

Rzuciło słońce ziemi jasność wielką... z rozko-
szą osłonecznieniu temu poddał się wiejski krajo-
braz... Tysiące drobnych istnień zbudziło się ku
wiośnie. W odblaskach i pozłocie zatopione, śniły
ugory, marzyły łąki, szumiały lasy... Na skronie
skib zoranych kładły się plamy słoneczne... złotem
świeciły źdźbła słomy porzucone na drogach...
W jaśnieniu wity się ścieżyny i miedze, a drzewa
nagie jeszcze ramiona chciwie zatapiały w światło.

O cudna ty, o mocna wiosno!

Horyzont cały był świątynią rozwartą słoń-
cu, natura śpiewała w niej hymn odrodzenia, a sze-
roki oddech ziemi był wielkim aktem miłości.

— — — — —
Krzyżem leżała wieś w świątyni tej cichej,
wyzłoczonej; leżała w szarych płachtach biedna, spraco-
wana, zimową znękana pokutą. Wieś szara, ta
robotnica całowała wrota ciepłych dni, całowała
rozgrzaną ziemię i płodność jej utajoną i u podnóża
miedz polnych leżała krzyżem.

O, ozłocona ziemio, daj nam chleba!

O, mocne ty słońcem daj nam światła!

O, zstąp ku nam wiosno, serc prostych nadziejo, serc młodych miłości!

O, ty pierworodny, zbudzony motylu spadnij w pobliżu chat naszych!

— — — — —
Wy pola, pola, kajam się w waszym tchnieniu wiosennym ja szara, biedna wieś. Ku łąkowym kaczeńcom sięgam w zachwycie i pieczę się wierzbowymi baškami...

Ja wieś, do wiosny się modłę... a w sercu-mym pokora, a odzież moja zgrzebna...

Spójrz na mnie słońce, oto daję ci strzechy ku ozłoceniu, oto otwieram ci serca żądne blasku. Oto starcy moi do progów się cisną, oto sieroty, moje ciemny krzyż stroją pierwszymi kwiatami, oto dłonie zczerniałe w blaskach się twoich grzeją. Głosem tych wszystkich chwałę cię słońce!

Podziwiam cię gwarą cichych pracowników w pole idących.

Błogosławię cię modlitwą serc szukających pociechy.

Miłuję cię spojrzeniem tęsknych oczu mego ludu.

Szczebiotem dziecięcym cię witam.

— — — — —
Spójrz słońce... otom rozpięta na rodzinnej ziemi krzyżem za winy tych, co skruchy nie znają, mijając bezmyślnie me chaty. Światła łaknąca rzeźsza garnie się jeno do ciebie, słońce, po moc i wy-

trwanie. Wiele mam plugów skibę orzących i ty-
leż jej umiłowań. W pocie czoła pracuję, znam cięż-
ki znój, lecz żniwa są moje, lecz plon jest mój, choć
mały on, choć niebogaty, ale mój... Kiedy na je-
sień rozewrą się wierzeje stodół, kiedy z pola wozy
naładowane idą, to z nimi idzie tryumf mój,
znoju plon! Ty słońce zapowiedź tego plonu nie-
siesz nam. Za usilnienie serc nadzieją, cześć ci, cześć!
Ja biedna, szara wyrobница, kajam się u twych
przejasných bram i ziemię mą całuję...

Jako matka splekana, dzieci swe tuląc, do świą-
tyni je wiedzie i kajając się w swej nicości, ustami
szarego prochu dotyka, tak ja czoło me chylę ku
ziemi, maluczkić garnąc ku miłością nabrzmiałe-
mu łonu.

Przedemną, na rozstaju dróg, wśród białoko-
rych brzóz ukryty, ołtarz stoi — — a stopniom
ku niemu wiodącym jest na imię: praca cicha, kor-
ne cierpienie i życia mrok bez gwiazdy. Tędy idzie
tłum głodny do ofiarnego ołtarza. Do stopni tych
jam przylgnęła ustami... a nad głową mą drzewa
szeleszczą...

Dziatki się do mnie garną, drżące, wyleknio-
ne, oczyma do godła męki przywarły, miłości pra-
gną...

Dzieci moje! troska życia przedwcześnie
wam jest znajoma. Dzieci nieznanące radości,
dzieci zaniedbane, w pyle przydrożnym wy-

rosłe, dzieci ze złud odarte i rzucone w fale obojętną, dzieci moje.

Serce wsi matki płacze nad wami.

Głos wasz cichy jest, jako ten poszum przez pola idący, jako ziemi całej bolesne westchnienie...
pożłotę słońca błagam, by ukoła serca wasze, których miljon w dzwon wołający uderza...

Idzie wiosna, lekkimi stopami ojaśnionych dróg dotyka, ku wsi naszej zmierza, w ślad za nią bieży otucha...

Mały Jasiek w świerszcze grające się wsluchał...

Józka z szarymi wróblami dzieli okruszyny chleba... „Niedługo będziewa robić ligawki” — zakrzykuje Stasiek. A słońce patrzy, złoci, ojaśnia.

Ku lepszym, jaśniejszym dniom wieś — matka wyciąga dłonie zczerniałe i szarą płachtą otulając malušką czeredę w dal patrzy....

i wyczekuje...

Z MROKÓW WOJNY.

DLACZEGO?

Kiedy wojna wstrząsa życiem ludzkim, kiedy druzgocze wszelkie podstawy moralnego, umysłowego, ekonomicznego bytu, kiedy niweczy lub zawiesza prawa i boże i człowiecze, kiedy w proch niweczy wysiłki pokoleń, stuleci, kiedy za najwyższą wartość uważa narzędzia mordy, a za najniższe: kulturę, sztukę, wiedzę — i ludzkie istnienia, w takich okresach historycznej zawieruchy, nigdy nie mogącej być wytłómaczoną i usprawiedliwioną — ponieważ gienezą jej jest niesprawiedliwość, ustaje spokój nawet i tych licznych serc, które oddychały zadowoleniem w zwykłym porządku rzeczy. Słowo „dlaczego?” wówczas z ust do ust się przenosi, to słowo najprostsze ze wszystkich słów na ziemi, wymówione, czy tylko pomyślane, bardziej, czy mniej świadome, a jednak tak bezmiernie doniosłe, że zamykające w sobie całe bytowanie. To skromne, malusieńkie, czytające się w pierwszym spojrzeniu niemowlęcym na światło, drżące w pierwszym życia okrzyku — a rozszerzające się w znaczeniu i mocy wraz duszą i umysłem człowieka.

Pierwsze wskazanie drobnym, ociekającym śliną paluszkim — to zapytanie „co? — na co? dlaczego?” pierwsza odmowa pragnieniom, to płacz, skarga — „dlaczego?” pierwsze zauważenie tajemniczych przejawów natury — cudów, przyrody — tajników życia, to zastanowienie — „dlaczego?” później geneza wiedzy, wynalazków i t. d. i t. d... Motor myśli — motor czucia. Tryumfalne, zwycięskie „dlaczego?” znajdujące logiczną odpowiedź. I „dlaczego?” wynędzniałe, ochryple, stargane jak dusza idealisty, przyćmione, jak wzrok żebraka, załamane, jak spojrzenie konającej sarny, bezradne, jak płacz dziecka, groźne, jak pięść robotnika, skowyczące, jak bita prostytutka, rozpacznie ociężałe, jak ciało wisielca, pokornie skomlące, jak modlitwa wierzącego, cyniczne, jak uśmiech ateusza, to znów ciche i niezauważone, jak proch rozdeptany nogą przechodnia, lub łza miękko wsiąkająca w poduszkę; kiedyindziej ohydnie wesole, jak śmiech obłąkańca, to znowu monotonne i wieczyste znużone, drapieżnie jednostajne, jak ręce praczki całe życie w balji moknące, jak kieliszek w szynku wciąż napelniany i wypróżniany, jak zegara tykanie w mrokach wieczornych, jak głuche uderzenia kilofa w kopalni... Wiecznie przez życie ludziom powtarzane, wiecznie życiu przez ludzi odpowiadane — słowo „dlaczego?”. Nieśmiertelnym jest ono, tuła się z istnień

do istnień przez wieki i rzucone bądź z rezygnacją, bądź z mocą, bądź w uniesieniu, bądź z błaganiem — z tych ust, czy z innych, z tego, czy z innego serca zawsze ginie w głuszy, chyba, że głuszę Bogiem nazwiemy i przyjmiemy jako odpowiedź. Bywa jednak, że to zwykłe, najzwyklejsze słowo „dlaczego?” tak się w piersi krwiożerczo rozrasta, tak jestestwem rozpycha i tak tytanicznych dosięga rozmiarów, że bunt płodzi i duszami mocarnie potrąca, a głosem wielkim już nie pyta, ale sprawiedliwości żąda i albo zdobywa, albo pada.

I pocóż ty matko stare wyplakałaś oczy nad synem, co legł w kwiecie wieku z bratniej dłoni?

I pocóż ty żono zamierasz sercem z niepokoju o tego, co w okopach zalanych wodą nocuje?

I poco wy dzieci modlicie się za tatę w wojsku?

I poco ty chłopie rzuciłeś swoją chatę?

Pocoś ty inteligencie ślęczał uczniem nad książką, czemu piąłeś się do stanowiska, karjery?

Pocóżeście księża z ambon uczyli bożych przykazań?

A wy, sędziowie w trybunałach, pocóżeście za zabójstwa do katorgi zsyłali?

Pocóżeś siał gospodarzu w rolę korce ziarna?

Dlaczego to wszystko, dlaczego?

Bywały dla ludzi cele bliższe — dalsze — —.

Przyszła wojna, cele wszelkie poniszczyła — krom tego jednego — cudem zachować życie. Garstka jest tylko wybrańców, co w śmierci cel wielki widzą, lecz jakież z grobów głos ducha ich będzie, gdy się nie ziści, nie wzejdzie ich słońce i przyjdzie zapytać: „dlaczego?”

„NASZE” WOJSKA.

Na początku ubiegłego miesiąca sierpnia, dnia 3-go lub 4-go może, był na wsi czas pachmurny i dżdżysty. Siedzieliśmy całą gromadką cicho i spokojnie w starych murach wiejskiego dworku. Niewielka salka w taki ciemny dzień nabierała nastroju bardziej niż kiedykolwiek smutnego, a to z powodu starożytnego sklepienia, skreślonego w poważne i surowe łuki gotyckie. Ongiś przed stuleciami był to klasztor i cała budowla zachowała po dziś dzień charakter nabożnej cichości rozweselany potrosze nazewnątrz zielonymi z wina gankami i rabatkami kwiatów. Wewnętrzna zaś radość stanowiły rozbawione głosy młodych. Kiedy jednak nastał dzień wilgotny i zapłakane szyby osłoniły zszarzały w słońcu świat, wówczas milkł zwykły gwar, jak zagnęła przygaszony promień życia.

Jasne głowy pań schylały się nad robotą. Fotel biegunowy rozkietnał się w jednostajnym ruchu miarowo podnosząc, to opuszczając zciemniałą w półmroku sylwetkę mężczyzny leniwie

palącego cygaro. Muchy zazwyczaj tak dokuczliwe pochowały się w szpary i biały foxterjer mógł spokojnie spoczywać na dywanie, spał w kłębek zwinięty. Od czasu do czasu ktoś odezwał się, aby przerwać ciszę, w której słychać było nieznośne tykanie zegara ze stołowego pokoju. Rozmowa nie kleiła się. Wspomniano o ewenemencie dni ostatnich: o okrutnym zamordowaniu w Serbji następcy tronu austryjackiego i żony jego. Rozczulano się nad losem sierot, które niewinnie padły ofiarą politycznej intrygi. I znowu cisza zaległa w wiejskiej gromadce. Przyniesiono nadeszłą pocztę i każdy z obecnych chwycił za kawałek gazety.

Dziwny, niewytłumaczony fakt zasygnalizowany został czarnymi linjami: Cytadela warszawska wysadzona w powietrze! Pozatym najzwyczajsze w świecie wiadomości, nekrologje ludzi, którzy jeszcze w spokojny dzień odeszli, całe szpalty ogłoszeń, odnoszących się do najbanalniejszych potrzeb życiowych: ktoś sprzedaje stare meble, inny poszukuje zaginionej broszki, maszynistka pisze biegle na Underwoodzie, pies w czarne łaty się przybłąkał, akuszerka zapewnia dyskrecję, zapisy do szkół zaczną się tego a tego dnia, hurtownia poleca tanie towary, dr. X. wyjechał na miesięczny urlop, lokaj, technik, buchalter poszukują posady...

I nagle wśród tego wszystkiego odwraca się

karta dziejów. Wojska pruskie wkraczają w granice Królestwa. Wszystko się zmienia. Mebli już nikt nie kupi, bo nie ma za co. Znalazca szczęśliwy broszki wyjątkowo jej nie odda. Maszynistka wraz ze swą chęcią do pracy — przymrze głodem, także staniczarka, biuralistka ... A prawda, jeszcze i pies w czarne łaty i wszystkie inne stworzenia bez określonego właściciela, w którego interesie i możliwości leżałoby o nie zadbać. Akuszerka cieszy się, bo sąd zamknięty i prokurator wyjechał (w celu odwiedzenia głębi Rosji), a zatem może sobie coś niecoś przeskrobać (za kulisami spódnic cnotliwych niewiast). Cieszy się także tatuś Stasia, bo szkoły nie pójdą, a oszczędność na edukacji syna będzie całkiem usprawiedliwiona. Hurtownia pana Weissbluma ogłosiła towary przez omyłkę — nie ma nic a nic do sprzedania, dopiero będzie za miesiąc lub dwa, kiedy ceny trochę podrosną. Dr. X. znajdujący się w Ostendzie powrócić nie może, drogę ma odciętą, można wprawdzie jechać przez Stockholm, ale żal opuszczać rozkosznej, a nieszczęśliwej belgijki, której bracia i liczni krewni walczyć będą w szeregach, więc aby cudnym oczom łez oszczędzić, uwozi ją od widoku krwi — do Paryża, tam w ambasadzie znów dostanie pieniędzy na dalszą drogę... Żona tymczasem w Warszawie pełna jest niepokoju o pana Z., którego zapewne wezmą do wojska i nie ma na zapłacenie komornego wiecznie pokrzywdzonemu właściciele-

wi pięciopiętrowej kamienicy... to „wszystko dzieje się w imię... równowagi europejskiej.

Tkliwe, subtelne serca niewieście, które przy lada powiewie zwykły drżeć, niby wątle, polne dzwoneczki, które nie mogły patrzeć na palec zacięty i oplakiwały nieudaną suknię, też same serduszka z saskiej porcelany, nadtlukiwane każdą osobistą miłostką, na jakież ciężkie próby narażone są teraz! Kuzyn panny Izy przediera się do polskiego legjonu w Galicji, brat wstąpił jako ochotnik do wojsk rosyjskich (czyli „naszych”), narzeczony zaś jako poznańczyk walczyć będzie w pruskich szeregach. I któremuż z nich biedne dziewczę ma życzyć zwycięstwa? Idzie więc do ojca i zapytuje: „Papusiu, kto to są właściwie „nasi”?

Papusi papusiał właśnie obfite śniadanko, obtarszy wąsy z kawy, odchrząknął swą kompetentnością w tej sprawie i rzekł:

— Rosja występuje w interesie słowiańszczyzny, fakt ten oczywisty stwierdza nam jasno odezwa Naczelnego Wodza: przyszła chwila, gdy rosjanie własnymi piersiami zasłaniają nas od wiecznego wroga, germanizmu. Wczoraj, w kabarecie sam widziałem, gdy przy odgłosie muzyki „Jeszcze Polska nie zginęła” oficerowie rosyjscy ściskali się z polakami i wspólnie stawiono szampana za zwycięstwo Rosji, bo i któż nam bliższy teraz? Rozczulająca to była chwila, niejeden miał łzy w oczach, płakaliśmy...

— Doprawdy, Papusiu?... Rzewny bardzo to musiał być widok... Ci oficerowie i „Jeszcze Polska”! — że to grać pozwolono?...

— A widzisz, czasy zgoła inne nadchodzą, wspólny wróg łączy...

— Polaka z rosjaninem...

— Tak, dość marzycielstwa, trzeba stanąć na gruncie praktycznym...

— Papusiu, a czy wujek też tam był wczoraj?

— W kabarecie? A jakże.

— A pan Ski? Owicz? Ecki?

— Byli, wszyscy byli.

— I płakali?

— No, płakali, płakali, c'est beaucoup dire, ale byli bardzo rozczuleni...

— Papusiu, to tak, jak wtedy w Krakowie, pamiętasz, jakeśmy byli na „Weselu”. Jak Chochoł kazał wszystkim kosić z rąk powijmować i tańczyć... Wtedyśmy też wszyscy płakali i ja także, choć niewiele rozumiałam, ale to okropnie przykro patrzeć, jak mężczyźni płaczą...

Są chwile tak podniosłe...

Teraz pojmuje... ten złoty róg, to musiało być symboliczne wyobrażenie tej idei słowianofilskiej, póki takowa się nie odnajdzie w całym narodzie, to nie masz dla nas zbawienia...

— Jak Boga kocham, kobitki nasze nie od parady mają główki. Jak to mądrze wykombinowała: złoty róg — idea słowianofilska! Bez pomocy

Rosji w danej chwili, toć chyba tylko powiesićby się było trzeba na tym pozostałym sznurze... Jak to pięknie przewidział Wyspiański:

„...został ci się jeno sznur”... ale tak źle nie będzie, zwyciężą „nasze” wojska.

— — — — —

W kilka dni po wybuchu wojny panna Izia z rodziną, zarówno—jaki większość sąsiadów, uciekała w stronę gubernjalnego miasta. Myśmy dzielili los ten sam i spotkaliśmy ją na szosie, jadącą powozem w jednego konia, bo pozostałe od czwórki wzięto do wojska, płacąc jedną dziesiątą wartości. Za powozem jechała fura obładowana co najwartościowszym dobytkiem. Papuś pozostał jeszcze na wsi, by pilnować gospodarstwa (słynącego w okolicy). Gdyśmy przybyli do miasta, ulice przedstawiały widok niezwykły, czerniały od tłumy poborowych. Niektórzy paradowali już w mundurach zbyt ciasnych, lub zbyt szerokich, a zdarzały się często chłopskie świtki w połączeniu z wojskowymi czapkami. Smutne to robiło wrażenie. Sukmana zdawała się ciągnąć ku roli, ku strzesze, „kajsi” sieroco pozostawionej, pachniała jeszcze „swoją izbą”, a nowa, obca wsiowemu wyglądowi, nieprzyzwoista czapka była surowym znakiem nieubłaganej powinności, każdym krokiem oddalającej od tego, ku czemu serce ciąży. Na twarzach tych ludzi, całymi gromadami śpieszących w tym lub innym kierunku miasta, do tego lub owego cyrkułu,

rysowała się cała niespodzianość zdarzenia. Jeszcze myśl z uporem wracała do codziennej troski, gdy mundur trza było wdziawać i życie całkiem inne zaczynać. A w uszach wciąż echem skowyczał płacz „swojej kobity” i „dziecków”. Tłumy chro- niły się do kościoła łopotać w pierś spracowaną dłonią przed „ostateczną godziną”.

— Od powietrza, głodu, ognia i wojny.. intonował czerwony, wypasiony kaznodzieja.

— Zachowaj nas Panie! — odpowiadał je- den, zbiorowy szloch nędzy z tego padółu; żal, skarga, rozpacz wyły nieopisanym głosem w pochy- lonych postaciach. Widmo „wojny” staniało się w ciżbie, przed obleganymi konfesjonałami, przed złożonymi ołtarzami miłosiernego Boga...

Przecucie pasma nieszczęść rzuciło grozę we wszystkie dusze. Porwano się do uciezek. Ze wsi chroniono się do miast. Z miast uciekano jaknajda- lej od granicy. Pierwsi, oczywiście, zmykali urzę- dnicy — rosjanie. Tego, co działo się na stacjach, niepodobna ująć w opis. Miejsce w wagonie stawa- ło się kwestją życia i śmierci. Rozproszone okolicz- nościami rodziny marzyły tylko o jednym: byleby być razem! A tu tyle osób popozostawało zagrani- cą — czy powrócą?

Po tygodniu wreszcie ruch uliczny zmniejszył się, a raczej zmieniał charakter. Trotuary opróżnia- ły się, a natomiast środkiem szły już sformowane, umundurowane całkowicie oddziały. Nie był to

już Jasiek Wojak, ani Kola Iwanowicz, ale żołnierz jeden, drugi, dziesiąty... Wśród maszerujących szeregów sililiśmy się zgadywać polskie twarze. Może ten?... tamten najpewniej? Przybywały kolejną całe pułki wojsk z głębi Rosji. Ludzie ci z naiwnym uśmiechem prowadzili wzrokiem naokoło po nieznanym sobie mieście. Upał był wielki i litościwi mieszkańcy stawiali na trotuarach wiadra wody, często rozdawali owoce wszystkim, kto tylko dłoń wyciągnął — bez wyjątku. Dni całe i noce wsłuchiwaliliśmy się w ten miarowy tupot niezwykłych pochodów. Jeszcze, jeszcze i jeszcze... zda się nigdy końca nie będzie. Oswoiłiśmy się z tym szybko. Naprężone nerwy wyczekiwały wiadomości. Kilka razy dziennie wychodzą nadzwyczajne do pism dodatki. A ileż to wieści przychodzi, wciąż z ust do ust podawanych. Kilka dni po wypowiedzeniu wojny mówiono już, że austryjacy są pod Radomiem, że tuż — tuż do Dębłina się zbliżają, a miesiąc jeszcze minął, zanim posłyszeliśmy działa austrijackie. Boże, co to były za chwile! Rozpacz z nadzieją, gdy wciąż się zmagają, to człowiek stoi, jak upiór nad tym niewiadomym jutrem, oczy w ciemności tajemniczej wypatruje i ból czuje w piersi od natężonego czuwaniem serca. W pośpiechu zorganizowały się kursa pielęgniarstwa i niebawem od wszystkich rogatek wjeżdżać zaczęły wózki chłopskie, a na nich w słomie spoczywali ci, co niedawno przed oknami naszymi maszero-

wali. Serce zamarło na ten widok nędzy ludzkiej, a cóż dopiero, kiedy zamajaczyły nam na śmiertelnych tych barłogach szaro-błękitne barwy... Zdarzało się też, że nie było wcale mundurów, a tylko krwią przesiąknięte bandaże, krew buchająca z ust na uliczne kamienie i po chwili rozdeptywały ją buty nowych z kolei przybyszów. Mijały się tak pochody żywych z konającymi. Obląkane bólem oczy cierpiących niosły zapowiedź tegoż bólu tym, co szli: jutro wam to, co nam dziś.

Wszystkie wozy szły najpierw do szpitala wojskowego, tam przesadzano się w ambicji pomieszczenia jak największej ilości, aby chlubną statystyką zasłużyć sobie na order. Mniejsza więc było o to, czy każdy miał siennik, lub zgoła miejsce, chodziło przedewszystkim, aby załatwić się z portmonetką nieszczęśnika i w tym celowały „Siostrzyce”, mające zresztą i inne specjalności, również bardzo przy armji na czasie. Część wozów jechała do polskich szpitali, gdzie dyżurowały panny i panny; ten, który się tam dostał, był wybrańcem losu.

Papuś Izy musiał też w końcu schronić się do Radomia, obywatelską jego duszę targał niepokój o pozostawione mienie. Pola niezaorane, niezasia-
ne, z gorzelnii wypuszczony spirytus, wozy pobrane od tygodni blakają się po Galicji. Zagłuszał się jak mógł cukiernianą polityką w dzień, grą w kar-

ty po nocach i ludził się, że może się na pokierze odbije choć część poniesionych strat.

Codziennie rano przedstawiciele inteligencji schodzili się w zakładzie fryzjerskim pana Ignacego i tam gwarzyli, czekając swojej kolejki, — no — i wypadków dziejowych.

— Dzień dobry, a cóż tam „nasze” wojska? — zagajał rozmowę Papuś, podczas, gdy zakładano mu pod brodą ręcznik.

Pan Ignacy miał zawsze wiadomości najświeższe, bo każdy z klientów przynosił jakąś nowinkę i w ten sposób wzrastała lokalna „historja współczesna”. W bujnej wyobraźni fryzjera i w jego poczuciu wysoce patriotycznym, olbrzymiała wartość rosyjskiej armji. Rozprawiając w zapale, zapominał, że zamiast miecza, dzierży w dłoni grzebień lub rurki nagrzane płomykiem gazu. Kreśląc na głowie klienta symetryczny rozdziałek, dumal, że znaczy linję wojsk i natrafiał na wielką łysinę...

— W austryjackich wojskach znajdują się dzicy węgry, którzy łapią na pętle,... niemcy obcinają kobietom piersi i wrywają języki, austryjacy palą wioski i znęcali się nad księdzem staruszkiem, który dzwonił na Anioł Pański, jak to przywykł był czynić od lat 50-ciu. Rozstrzelano paru obywateli (niby za podziemne telefony), wielu uprowadzono i zginęli bez wieści. Rabują dwory. Ale „nasze” wojska zwyciężają tych barbarzyńców!

Pan Ignacy przed oczyma swoich klientów roztaczał najstraszniejsze obrazy czynionych przez najeźdźców gwałtów i wtórował mu głos powszechnego oburzenia, wołający o pomstę do... Petrogradu.

„Prowadzą jeńców”,—ktoś zawołał i wszyscy rzucili się do drzwi oszklonych. Stał w nich Papius z obmazaną na biało buzią i fryzjer z brzytwą i pan w bindzie i pan do pół głowy ostrzyżony. Spojrzeli wszyscy wzrokiem ciekawym, nienawistnym, rozjątronym politykowaniem. Szło ich kilkudziesięciu, bezbronnych, okrytych kurzem, o twarzach ziemistych i wynędzniałych. Kto wie, jak długo ich tak pędzono. Wyglądali jak błękitnawa, ciemna chmura, pędzona olbrzymią zawieruchą, która przeciążona trudem rozpacznie usunęła się na grunt sobie wrogi w nadziei spoczynku. Wzrok ich był osowiały, niepewny, nie wiedzieli, tak, jeszcze nie wiedzieli wyraźnie, ale już przeczuwali straszliwą omyłkę. Nikt z rodaków nie spoglądał na nich życzliwie, przyjaźnie i wstyd żarł im dusze, że się tu znaleźli. Całą ławą lecieli za nimi łobuzy krzycząc: „Niemcy, Niemcy... Austryjacy...” Kucharki przystanęły z koszykami, a że przeważnie do bractw były zapisane, więc pomyślały zaraz: a to pogany, Matką Boską pogardzają — i pogardliwie podążyły dalej, kombinując koszykowe. Ten i ów obejrzał się, zauważywszy: „buty mają lepsze od naszych, kamaszki leciutkie, sznurowane” albo kom-

binował, na której to wiorście za Radomiem musieli być ujęci: pewnie daleko, bo ledwie idą, wielu kuleje...

— A dałby Bóg, żeby tak ich wszystkich psu-bratów wyłapali — wtrącił portjer hotelowy do posłańca, sprzedającego gazety.

— Co mają wyłapać — niechta wymordują — wygłosił wspaniałomyślnie zagadnięty.

Redaktor pisma leciał pośpiesznie, zacierając ręce. Sensacyjka dla naszego miasta. Iluż ich tu może być? Kilkudziesięciu. No napisze się: „Dziś rano przeprowadzono przez ulice kilkuset jeńców austrijackich.” Taka wiadomość podniesie ducha niezawodnie.

Z cukierni, wygrodzonej barjerką od trotuaru, na podobieństwo cieletnika, wysunęli się politycy rozciekawieni, a ciastka kremowe zatrzymały im się w gardłach. Jeńcy, to symbol zwycięstwa!

Szaro-błękitnawa chmura ludzi — widziadeł nakłoniła się jeszcze bardziej do ziemi ciężkim chodu wysiłkiem. W zmętniałych źrenicach zamajaczyła prośba konających ze zmęczenia i ku obcej fali przechodniów podniosło się wołanie drżące silną jak śmierć potrzebą życia: „jeść, pić...” Okrzyk ten zradzał się na brzegu przepaści, gdzie kończy się byt i byt tak przerażająco żebrzący, że ten i ów drgnął i zawahał się, ale z kozackimi nahajami lepiej nie mieć do czynienia.

Chłop kołaczący się na targ z wózkiem zaklął z cicha:

— A to niemiec — cholera, po polsku się gadać wyuczył!

Wśród licznych rodaków jedna tylko biedna kobiecina nie ułękła się i jabłka z koszyka rzuciła jeńcom. „Bóg zapłać” odrzekli i znikli na zakręcie ulicy (tego dnia samego samarytanka ta została zaaresztowana i krążyły wieści, że ją powieszają).

Papuś, skończywszy przerwana operację golenia, podążył do swego pensjonatu i córkę Izię spotkał już powracającą ze szpitala. Opowiedziała ona mu, co następuje:

Na jednym wozie przywieziono dwóch rannych, rosyjskiego i austrijackiego żołnierza, padli oni z wzajemnego postrzału i stąd taka między nimi zrodziła się nienawiść, że całą drogę słowa nie próbowali do się przemówić i mimo ciężkiego bólu jęki nawet tamowali. Los nadal ich połączył, sprawiając, że w szpitalu na sąsiadujących ułożono ich łózkach.

Żołnierz rosyjski był polskim włościaninem i po opatrunku, uspokojony przez lekarza, humor odzyskał i fantazję, wnet też przemyśliwać począł, jakby to na Niemcu się zemścić, ale poruszyć się jeszcze nie mógł, a pięścią ani ruzs sięgnąć tak daleko, więc tymczasem językiem sobie pofolgował, po szeregu nieparlamentarnych wyrażen nastąpił wyrzut: „zabić mię szwabie, chciałeś!”

— A dyć, ja nie szwab, ja polak, tak, jak wy, nie pomstujcie, na Boga, nie mojać wina, strzyłać kazano...

— Dla Boga, polak? — zadziwił się — a skąd?

— Z Marcinowa...

— A ja z Tomaszowskiego powiatu z Wólki... Matko Boska, tośmy beze samą granicę, prawie sąsiady...

— Cóż ty na to, Papusiu? — pytała Iza. Ale Papuś słuchał tylko jednym uchem, bo właśnie otrzymał zaproszenie na obiad wydawany na cześć Puryszkiewicza (przybyłego właśnie do Radomia), więc uszczęśliwiony z tego zaszczytu pośpiewywał:

A la guerre, comme à la guerre...

W tydzień potym austryjacy byli już odparci ku Kielcom i Papuś skorzystał z tego, aby czymprędzej pojechać do swego majątku i sprawdzić stan rzeczy. Z inspekcji tej powrócił wprost zmieniony, postarzały od nawału strat, zrozpaczony. Nie zrzucawszy jeszcze okrycia, opadł bezwładnie na krzesło i na zapytanie przeleknionej córki odpowiadał złamanym głosem:

— Budyunki spalone częściowo tylko, ale było wymordowane... te moje szwyce z takim trudem sprowadzone... buhaj za tysiąc rubli... dwór zrabowany... meble porąbane siekierami... drobiazgi wszystkie pokradzione... z pościeli ani śladu, bi-

bljoteka rozwłoczona po parku, książkami palili...
Stadninę mi ukradli... trzodę zjedli... owies wypaśli..
sad zrównali z ziemią... płotów ani śladu... pola strato-
wane... piwnice opróżnione... drzwi i okien nie-
ma... co za straty... Boże..!

— I kto to uczynił?

— Pułk 34. Sztab stał we dworze...

— A więc „nasze” wojsko?

— „Nasze” wojsko? jakie „nasze” wojsko? —
ryknął oszalały rozpaczą obywatel.

Przecież Papuś mówił, że „nasze” to... to
ros...

— Mówiłem, czy nie mówiłem, ałem teraz
przewidział, oj, jasnom przewidział! Boże, już wszyst-
ko daruję, ale te szwyce, te moje szwyce!!

— Rozumiesz, niema „naszego” wojska! —
Niema! — krzyknął, poczerwieniał i zatrzęsł się
biedny Papuś..!

— A może jest? — lęklwym szeptem jęknęła
przerażona Izia...

— Gdzie... gdzie? — irytował się.

— Podobno idą Legjony...

— Byle już nie przez nasz majątek, bo dali
Bóg, jużby nam nic nie pozostało...

SANITARJUSZKA.

Dzwonek do drzwi frontowych, po chwili rozsuwają się portjery salonu i w progu staje wysoka postać kobiety. Na widok przybyłej — pani domu niedbale (ale wykwintnie zarazem) rozłożona na niziutkiej wschodniej kanapce poruszyła się z pewnym zaciekawieniem, usiłując szybkim zwrotem pamięci odnaleźć w gronie znajomych sobie osób nazwisko wchodzącej. Gość czynił wrażenie osoby po raz pierwszy znajdującej się w tym mieszkaniu; zarysowało się to w rzucie spojrzenia zapoznającego się z otoczeniem, jednocześnie coś, jakby wahanie spowodowane bądź skrupułem wewnętrznym, bądź niepewnością przyjęcia, zatrzymało go na progu przez drgnienie sekundy. Była to osoba wzrostu, jak na niewiastę, ogromnego, rozrosła, o kształtach wybujałych, rozłożystych biodrach, biuście obfitym i naprzód zuchwale wysuniętym; ta potęga figury zdawała się świadczyć o powadze w latach, lecz twarz młoda jeszcze równoważyła ogólne wrażenie, wyrazem zaś swoim

szczególnym przyciągała uwagę. Nie była to twarz świeża dziewczyny, ani spokojna twarz młodej mężatki, na której wyraz dziewiczości ustępuje miejsca macierzyńskiej łagodności i zrównoważeniu. Nie była to również przeciętna twarz kobieca, małostkowa i banalna. Każdy poszczególny jej rys wygięty był i pokurczony utajoną indywidualnością, całość dawała treść zupełnie niepowседневną i zaciekawiającą. Oczy były nawet ładne, trochę za wyblakłe, ale duże, owalne, dobre i jakby zobojeźniałe, lub niechętne życiu, zamknięte same w sobie, często o zimnych stalowych błyskach, niekiedy dziecięco pieszczotliwe i łagodne, często strwożone i badające nieufnie. Usta były wąskie, zawarte stanowczością i energią, a jednocześnie obwisające łukiem na dół z pewną pogardą i smutkiem. Cała twarz duża, jakby nabrzmiała, o fałdach zwiśających policzków i podbródka, miała cień bladej wymęczony; okalały ją włosy takiej lnianej jasności, jaka zdarza się tylko u wiejskich dziewcząt, grzywka sztywno spuszczone była na czoło na sposób chłopięcy, natomiast koło uszu spadały sztucznie spowite loki i niweczyły spodziewaną prostotę uczesania. Jednym słowem zewnętrzny wygląd wchodzącej osoby pełen był kontrastów przy bliższym zanalizowaniu. Kontrastem jednak najsilniejszym i wprost śmiesznie na pierwszy rzut oka uderzającym był jakby się wam zdawało skromny do tej istoty dodatek czyli wychylająca się

z poza jej łokcia osoba druga — mężczyzna, niski drobny o twarzy znów krańcowo suchej i kościastej, przedstawiającej wysunięty ptasi profil. Oswobodził się on właśnie z palta w przedpokoju i nieśmiałym ruchem poza plecami niewiasty dawał znać o sobie, usiłując się z drzwi wysunąć. Wówczas prawie równocześnie poruszyły się obie panie. Domowa zdołała sobie przypomnieć, że gościem jej jest pani Zula Orłowska, a ta ostatnia, odsłaniając małego pana, przedstawiła:

— Mój mąż...

Nastąpiła wymiana uścisków ręki i ceremonialne usadowienie się w gustownym salonowym „emplacement”.

Pani Zofja obrzuciwszy przybyłych wyszkolonym spojrzeniem pojęła odrazu, że nie jest to t. zw. „pierwsza wizyta”, skoro pan nie posiada sakramentalnego żakietu i buty nosi więcej, niż żółte, poprostu jajecznicowate, pani zaś również ubrana jest po codziennemu. Zula Orłowska pochodziła z obywatelskiej i aż nadto wysoko się noszącej rodziny, aby tu mogła być mowa o tak skandalicznym pogwałceniu form światowych. Na wyjaśnienie celu przybycia nie czekała pani Zofja zbyt długo, bo zaledwie potężna postać gościa przystosowała się do stylowego fotelu wygiętego niby złocista muszla, zaledwie mąż zdołał zawisnąć na rożku filigranowego krzeselka, zadźwięczało, jak to mówią „prosto z mostu” zdanie zupełnie jasne.

— Przybyłam tu z prośbą, aby mnie pani na dłuższy czas przyjęła do siebie... w charakterze gościa.

Rzecz dziwna, wypowiedzenie się pani Zuli było zrozumiałe... zupełnie zrozumiałe, ale nie pojęła go pani Zofja tak dalece, że przez sekundę zawisła w zdziwionym milczeniu, zapominając o odpowiedzi. Zazwyczaj ludzie wszelką prośbę ubierają w odpowiednie zwroty przygotowawcze i czym człowiek jest lepiej wychowany, tym dłużej i zręczniejszymi sposobami zmierza do swego celu. Niepewność zaś jest pewnego rodzaju wykwentem. Snuć należy wkóło siebie coś w rodzaju kokona dla ukrycia prawdziwych tendencji i jasność określenia swych dążeń wywołuje zgorzelenie ogólne, gdy natomiast sztuka zamaskowywania sprawia, że jest się w porządku wobec otoczenia, a tym samym wobec siebie...

Pani Zofja została zaskoczona tym jasnym i śmiałym postawieniem kwestji przez osobę prawie dotąd nieznaną.

— Dziwi się pani, dlaczego nie zwróciłam się z moją prośbą do osób mi bliższych, do starych, dawnych znajomych, tu w Kielcach zamieszkałych, którzy mienią się przyjaciółmi naszej rodziny? Myli się pani, ja byłam u nich, lecz... dostałam odmowę dość wyraźną... powiedziano mi, że osoba pracująca przy chorych może przynieść do domu zarazki... zrozu miałam, zresztą nie było to dla mnie

niespodzianką, oni mnie nie znoszą... zwracam się więc do państwa.

— A więc pani pracuje w szpitalu...

— Nie, jeszcze dotąd nie pracuję nigdzie... po dziś dzień byłam najzwyczajszą burżujką, na wsi, u rodziców wysypiałam się, wypoczywałam przez całe wakacje, potem z nastaniem wojny skubałyśmy szarpie i szyły bieliznę, wreszcie zbierałam po chatach dla rannych co się dało, trzysta koszul przywiozłam z sobą... Obecnie słyszałam, że tu panie z inteligencji poświęcają się pielęgniarstwu, więc przybyłam, aby na tym polu pracować.

— W takim razie podwójnie miło nam będzie mieć panią u siebie, bo pośrednio przyczynimy się dobrej sprawie — wtrąciła swobodniej już pani Zofja, zadowolona z wyjaśnienia, przypadającego do jej miłosiernego serca.

— Jeszcze jedna kwestja.... jakich państwo są przekonanych politycznych?

— My... my... zmieszała się zagadnięta.

Zuła wyreczyła ją w odpowiedzi.

— Słyszałam, że niepodległościowych, my z mężem również (mąż zrobił potakujący ruch głową).

Na te słowa twarz pani Zofji zajaśniała szczerą radością i życzliwie wyciągnęła dłoń do przybyłej, zapominając o tym, co jeszcze przed kilkoma chwilami ją raziło. Impulsywnie poczuła nawet coś w rodzaju wdzięczności za to, że ta obca osoba

udaje się pod jej dach, jakby w poczuciu politycznej solidarności.

— Niechże się więc pani rozbiera i czuje, jak u siebie w domu — rzekła z serdeczną gościnnością.

— Czy tylko żona nie będzie państwu przeszkadzać... wtrącił pan uprzejmie i delikatnie...

— O bynajmniej, mieszkanie jest tak obszerne, najmniejszej różnicy nam nie robi.

Po takim zapewnieniu uspokojony pan Orłowski, rozglądał się jeszcze chwilę po obrazach zawieszonych gęsto w salonie (był bowiem malarzem z bożej łaski), poczym cichutko, dystyngowanie powstał ze swego rożku i dziękując za gościnność okazaną jego żonie, zmierzał ku wyjściu i niepewnie a dyskretnie zerkał w stronę, gdzie znikła Zula, rozgospodarywująca się z wielką swobodą na nowym logement. Chciał uściskać małżonkę na pożegnanie i wyczekując na jej powrót do salonu, przedłużył subtelnie sytuację, zauważywszy okiem i gościem wytrawnego znawcy:

— Wcale... przyjemnie zrobione... Fałat, nieprawdaż?

— Tak jest, podoba się panu? Cudne są te sosny, ma się wprost wrażenie okna na las otwartego... złudzenie zupełnie igliwia...

— No tak, tak... niedbałym głosem starał się zbagatelizować pochwały, które, jako zbyt gorące, podrażniły go, był bowiem również artystą. Wszelkie istoty miewają wielką dozę miłości włas-

nej i gdy przed malarzem chwali się dzieło sztuki, nie należy nigdy zapominać, że on sam lepszym byłby może wykonawcą.

Orłowski (nie dodaje „pan” przed nazwiskiem, ponieważ skoro jest artystą, to napewno sławnym) tytułem swego fachu poczuł się obowiązany do krytyki i zauważył z wielomównością, której byłby się nikt po nim nie spodziewał.

— Podstawa za nikła... drugi plan zbyt wyraźny, brak perspektywy...

— A chwalił pan...

— No całość rzeczywiście dość przyjemna...

W tejże chwili ukazała się Zula już oswobodzona z żakietu i kapelusza, z grzywką podkarbowaną. Ona również miała duszę artystyczną... Sztuka jej była swatką z mężem, gdzieś zagranicą, podczas uciążliwych studjów. Sztuka dała jej poznać cierń życia, ponieważ nikt nie był w stanie pojąć tego, co ona pędzłem wyrażała. Zapoznana przez profesorów przerzucała się z jednej szkoły malarskiej do drugiej, wreszcie wyzwolona, ponoszona na skrzydłach indywidualizmu zaczęła wystawiać obrazy, przed którymi wystawały tłumy rozśmianych, bezdusznych gapiów, i z których żabim swym rechotem natrzęsała się prasa. Sprawozdawcy posuszy w błocie siedzący nie byli w stanie wczuć się w tę prostotę malarskiej ekspresji. Ale, czyż prawdziwego indywidualistę może zniechęcić brak uznania? Wszak jest to dowód jego odosobnienia

od tłumu, a tym samym wyższości. To też Zula wierzyła w swą gwiazdę i czuła się powołaną do tworzenia w sztuce dróg nowych. Widząc męża stojącego przed obrazami, przysunęła się i objawszy potężnym ramieniem jego drobną postać, pocałowała go wążkami wargami w sposób łaskotliwy, tak jakby żywiołowa fala morska dotykała drobny, przybrzeżny kamyczek z poważną pogardliwością a czułością wewnętrzną.

Pani Zofja ze zdziwieniem spojrzała na tę małżeńską pieśczętę, pojmując dopiero teraz, że między tymi krańcowo różnymi ludźmi jest jednak ten najzwyczajniejszy węzeł zmysłów.

On, zażenowany zbliżeniem się żony wobec świadka, co formy światowe potępiają, wskazując na granice, w których wszelka szczerłość uczucia winna się ukrywać, próbował uwolnić się delikatnie z uścisku.

— Czy mój mąż jest miły? — — — zapytała Zula.

— Bardzo — musiała być odpowiedź.

— A czy ładny?

— Ależ Zulu... przerwał delikatnym głosu wyrzutem kłopotliwe milczenie...

— Pani niema pojęcia, ile ja mu zawdzięczam pod względem malarskim... on mnie nauczył porządnego rysunku... przy tej pochwalę wtuliła się jeszcze bardziej, opierając mu o ramię swą pierś.

Szepnął, że już odjeżdża i chciał się z nią pożegnać.

— Zostaniesz jeszcze tu z nami na kolacji — zdecydowała.

— Zosiu, o której u was kolacja? — zapytała z nagłą, zaczawszy jej mówić po imieniu.

— O 7-ej — odpowiedziała pani Zofja, nie umiając ukryć uśmiechu, tak ją zaczęła bawić ta niezwykła prostota obejścia.

— Zulu! — jęknął już całkiem przerażony mąż w obawie dalszych nietaktów towarzyskich.

— Wszak zaprosisz mego męża na kolację? — poprawiła się pod wpływem błagalnego wzroku męża.

— Ależ oczywiście — bardzo proszę.

Żona świeżo kreowanego szlachcica, prezesowa Lola Gnicka i żona milionera, pani Pola Gutmanowa pełne były najlepszych chęci — chciały coś uczynić dla nieszczęśliwych, których liczbę powiększała wojna z dniem każdym. Obie były ładne i eleganckie, zimą zazwyczaj jeździły zagranicę, skąd przywoziły sobie kufry całe modnych stroi, mających podnosić i ukraszać ich urodę. Obie miały przy sobie panny służące wyszkolone w czesaniu i przy dzieciach oczywiście angielski, wkoło zaś siebie — flirciki. Były przyjaciółkami. Co je ze sobą zbliżyło? zapewne jednakowa stopa życia, bo

choć fundusze pani Gnickiej były o niebo skromniejsze, to jednak sprytem, efektami i zręcznie zamaskowanym pięciem się na wyżyny, umiała wyrównać wszelkie różnice zarówno z ludźmi bogatszymi od siebie, jak i lepiej urodzonymi. Ton, jaki kto sobie nada w życiu jest najczęściej jego stanowiskiem, a choć na boczeku ten i ów w poczuciu swej wyższości szepnie: „to są dorobkiewiczze” lub „les parvenus”, to jednak zdobytej raz sytuacji to nie zmieni. Oprócz takiego „tonu” zbudowanego na niezbyt uzasadnionej podstawie, ale będącego wykwittem zawsze popłacającej pewności siebie jest jeszcze jedna, o wiele solidniejsza podwalina wielkości, pieniądza. Ludzie bogaci o tyle wyżej stoją od mądrych czy cnotliwych, że mają zapewnioną przyszłość czyli bytowanie (o ile oczywiście nie żyją nad stan). Mamy więc treściwe wytłumaczenie zbratania się pani Gnickiej z panią Gutmanową,—obie były wielkie. Pani Gnickiej pochlebiała bogata przyjaciółka, pani Gutmanowej imponował wykwintny sposób bycia i wytworny akcent angielski przyjaciółki. Celowały obiedwie w przyodziewanie coraz to nowych kostjumów i kapeluszy, to też jedna drugiej nie wstydziła się, jako towarzyszki spacerów. Wielką też korzyścią onej przyjaźni było to, że gdy pani Loli asystował pan mecenas Bielski, to nie razili oni konwenansów chodzeniem en deux po ulicy, gdyż zawsze chodzili we troje, a nawiasem mówiąc, gdy miljonerka miała

adoranta, pana Szpilmana, Lola przyjmowała rolę dyskretnego parawanika i żaden z pokrzywdzonych mężów nie mógł mieć słusznych pretensji. Takie życie dopiero jasno wykazuje, czym jest prawdziwa przyjaźń, od ilu chroni niebezpieczeństw; pomimo, że obie panie nie mogły czuć się pokrzywdzone przez los, to jednak i one lubiły zmiany okoliczności im osobiście nieszkodliwe. Doprawdy, dla wybranych takich istot los jest przedziwnie łaskawy i cierpieniem doświadczając miliony, tym samym nawet potrafi im się przymilić, tak np. wojna, rzecz sama w sobie bezlitośnie okropna — dała tym paniom osobiście część tylko radosną. Nikt z ich blizkich nie poszedł do wojska dzięki gotówce i stosunkom, dyrektor banku był kuzynem, więc im jednym pokryjomu wypłacił leżące sumki i t. d. i t. d. Rzecz najważniejsza, wojna dała możność tym paniom czynienia dobrze. Ochronki, szkoły, bursy, przytułki, to rzecz już teraz przestarzała i jaka banalna, ale szpitale, ranni, lub głodni żołnierze — to nowe pole do działalności, im nieść ulgę w sposób pański, szczodry, to znaczy zajaśnieć na widnokręgu miłosierdza, dać się poznać szerokim masom w filantropijnej aureoli i nagromadzić we własnej duszy całą szpiżarnię zadowoleń z dokonanych czynów, których dumne wspomnienia przeżuwać się będzie przez długie lata. Czyż to mała radość, i jeszcze te plusy, że oto pani prezesowa została wybrana do komitetu obywatelskiego na

przewodniczącą działu sanitarnego, a w dziale żywnościowym zasiądzie pani miljonerowa. Obie drżącym od utajonej dumy głosem odczytywać będą sprawozdania ze swej działalności:

- 1) Zakupiłam materiał na 50 par kalesonów,
- 2) zawiozłam do uszycia do Taniej Szwalni,
- 3) byłam w szpitalu trzecim, dowiedziałam się, że potrzeba wina, może panie obecne zechcą coś złożyć na ten cel?
- 4) zauważyłam, że nasze pielęgniarki zanadto zajmują się rannymi austryjakami — trzeba im zwrócić uwagę...

Przy tych ostatnich słowach pani Loli, w zebranym komitecie zrobi się pełne oburzenia poruszenie. Panie doktorowe, weterynarzowe, które jedynie tym niezwykłym okolicznościom zawdzięczają znalezienie się pod jednym dachem z miljonerką (bo ta ostatnia nie ma wprost granic dla swego poświęcenia) uznają za stosowne wtrącić:

— Niemądre dziewczęta, bawi je mundur austryjacki...

A świętobliwy kanonik, uświęcający swą osobą wszystkie komitety, doda z naciskiem:

— Trzeba skarcić to ostro...

Pani Lola zostaje połączona w ambicji tą ogólną aprobatą swej trafnej obserwacji i zachęca ją do szerszej działalności. Niebawem za jej staraniem zostaje zorganizowana pomoc na stacji dla rannych przywożonych z pociągów. Z początku po-

mocą tą był tylko wielki kocioł herbaty, ale reprezentował on wielką dozę dumy obu pań, które wypieszczonymi rączkami same rozlewały rozgrzewający napój. Na tę uroczystą dobroczynność pani Lola specjalnie wymanikurowała swoje owalne paznokcie, przewidując, że nieodstępny pan Bielski, pojedzie z nimi na dworzec i siadszy opodal na przygodnym siedzeniu (ten wytworny człowiek nawet na pace usiąść umie elegancko), śledzić będzie za każdym ruchem jej ręki.

Wiedziała, jak subtelnym jest obserwatorem, to też wszystkie jej giesty były wystudjowane. Gdy z gorąca wychodziła na chłodniejszy powiew wiatru, czerwieniał jej się nosek, dlatego rannym, nie mogącym wychodzić z wagonu nie zanosila herbaty. Z jakim wdziękiem ona, modna, pachnąca i wysznurowana posługiwała wynędzniałej rzeszy ludzkiej, kobieta bowiem w roli anioła nabiera specjalnej delikatności obejścia. Dla oszczędzenia sukien i jako widomy znak przystąpienia do legjonu samarytanek obie panie przywdziewały białe fartuchy i w kokieteryjny sposób przystroiły głowy chusteczkami. Mundur ten stał się tak modny, że przywdziewały go niejednokrotnie niewiasty nic wspólnego nie mające z pielęgniarstwem. Nawet ćmy nocne uważały, że w białym przyodzianiu widocześniejsze będą wśród mroków i niby jasne motyle wtulały się w mdlawe światło latarni. Oczywiście, że w tym wypadku nie ubranie, lecz intencja zdobiła człowieka i wśród białych aniołów prze-

wijających się ulicami, z łatwością odróżnić można było, których miłosierdzie wynosiło ponad zwykłe niziny. Ustosunkowała się pewna anielska hierarchja: do najwyższej grupy archaniołów z prawa i urzędu (czyli ze stanowiska i bogactwa) przynależała pani prezesowa Lola i pani milionerowa. Pola. One jeździły, zabiegały, czarownym uśmiechem naciągały znajomych na datki, odpowiadające rozmiarom ich wielkości. Panu A. kazały pertraktować z naczelnikiem stacji, obywatela J. wysłały w tużurku do gubernatora, a narodowa demokracja wnet pochwycawszy te usiłowania i przezornie bacząc na to, by żadna akcja społeczna nie obyła się bez jej protektoratu i bez jej godła nie wyłoniła się na widownię, wysłała swego reprezentanta do Warszawy w celu usankcjonowania tego wydziału sanitarnego pod nazwą „Kieleckiego Czerwonego Krzyża”. Sam Puryszkiewicz odwiedzając Kielce raczył się zainteresować tą sprawą i udzielał odpowiednich wskazówek. Dzięki więc temu, że pani milionerowa z przyjaciółką zechciały miłościwie „czynić coś dobrego”, że w tak szlachetny sposób urozmaicały sobie czas — powstała inicjatywa i zapoczątkowanie instytucji okolicznościowej, noszącej miano „Samarytanina” a będącej tylko jedną z licznych sekcji „Cz. Krzyża”. Dalej, dzięki temu, że istnieje u nas wszechmożne stronnictwo N. D., umiejące wszystkiemu nadać właściwy charakter i każdą inicjatywę społeczną nagiąć

do swych tendencji i wykorzystać, dzięki temu i pomoc stacyjna ujęta została w solidne ramy zapewniające jej ściśle prawomyślną działalność. Przy wyborze sanitariuszy był brany pod uwagę czynnik o wiele ważniejszy od ofiarności bezpośredniej, umiejętności, poświęcenia i t. p. Kontrolowano sumiennie, aby miłosierdzie nie przybrało rozmiarów zbyt szerokich, aby lekkomyślno-uczuciowy jaki opatrunek, nie sprzeciwił się politycznemu rozumowi, aby nie marnować gazy na rany, które nie po to zostały zadane, by je tą samą dłonią uleczyć... To wszystko — ta cała programowość w akcji humanitarnej, to jej prawomyślne ujęcie, stało się dzięki dyrektywie i kontroli stronnictwa i jego godnych przedstawicieli. Ludzie wszystkich klas spojrzeli na bezmiernie wielką krzywdę przez ludzkie prawo usankcjonowaną, a która obejmowała wszystkie gatunki istniejących cierpień, począwszy od najprostszych, a bezmiarem swym przechodzących możliwość przetrzymania. Kiedy konający z ran żołnierz przebywał męczeńską swą drogę od pobojuwiska do szpitala, stawał się magnesem ludzkiego miłosierdzia, ciążyły ku niemu wszystkie lepsze instynkta dusz. (Chłopak obszukujący trupy wynalazł go gdzieś w kartoflisku w bruździe krwi strugą nabiegłej i da znać gospodarzowi, który z sąsiadami nosze na kijach sporządził, a potem jedynego konia zagłodzonego przy ciągnięciu furazy za wojskiem, do woza przyprzągnął i jechał mil

siedm, dziewięć do miasta, noga za nogą, aby nieboraka nie urazić; przystawał, słomę mu podtykał pod głowę, z płachty daszek od deszczu robił, gałęziami od słońca cieniował, a w każdej wiosce kobiety z mlekiem wybiegały własnym je dzieciom odejmując, a „soldata” poić, czy to był „nasz” czy „austryjak”, a gdzieś tam na innym „froncie” ich mężom i ojcom odda też przysługę przechodzień miłosierny. Kiedy koła nie mogły uniknąć kamienia, wówczas ze zsiniałych warg jęk szedł nieludzki i oczy błędne szły niewidzące po polnych chatach. Unosił się na łokciu i wymiotował krwią czarnozieloną, znacząc w ten sposób ostatnią drogę przebywaną na ziemi, a też samą, którą niedawno, za czasu spokojnych żniw, ciągnęły złociste zboża fury, plonem tryumfujące i osuwające się ku ziemi jasnymi kłosów smugami. Przystawał gospodarz konia nakarmić, a chleb swój własny rozłamał i do ust rannemu przemocą pakował, mówiąc: „jedz, boć ta i tak twojego niewiela”. Jechali dalej, skoro jęki ucichały, chłop się oglądał pewny, że trupa wiezie; gdy oddech był krótki lub charkotliwy, to na głos modlił się za umierającego, a w parę chwil potym pytał, czy niejadłby kielbasy, lub ogórka, bo miasto jest niedaleczko, a tam wszystkiego dostać można w straganie koło rogatki.

— Jesce sie ta kapecke ze śmircią wstrzymoj, bo już tylko wiorsta będzie do śpitała, a jak cię wez-

mom te siostry w białych fartuchach, a jak cię ułożą, a dadzą jakiego likarstwa, a wody sodowej, to może cię jeszcze uratujom — pocziwie pocieszał.

W mieście otaczano wóz, pytano skąd, z jakiej bitwy, rzucano bułki, papierosy, zaglądano w twarz ziemistą, wykrzywioną bólem, tu i ówdzie baba, lub dziecko zapłakało. Kozak z nahają odganiał i szpital wskazywał, lecz zazwyczaj wóz oczekujący godzinami swej kolejki odjeżdżał, bo miejsca brakło i jechał do następnego, bywało i tu go odprawiają. Noc zapada, a tu na wozie już cicho, cichuteńko i chłop w głowę się drapie, nie wie, co zrobić, bo już i koń całkiem mu ustaje. Do traktjerni wstępuje, a zmacawszy, że ranny jeszcze ciepły, i dla niego herbaty przynosi, z dalszych usiłowań zrezygnowawszy wprost do trupiarni zawozi swego pasażera).

Ileż takich dróg kalwaryjskich przesunęło się przed oczyma tłumu, nic też dziwnego, że z pośród niego wysunęli się do pracy ci, którzy tym cierpiącym z pomocą przyjść pragnęli. Zaludniły się szpitale od sanitariuszy i sanitariuszek, nie brakło ich również na kolei w owym oddziale Cz. Krzyża; między innymi zapisała się także pani Zula Orłowska, zaraz, tego samego wieczora, gdy przybyła do Kielc i zakwaterowała się w mieszkaniu pani Zofji.

Noc zapadła tak ciężka, jakby krwi mgłą oddychały piersi. Nie zamilkły armaty, ale wzmożonym echem zapadają się w dale. Huk taki, jak kamieni sypanych na szaniec, a gruchot każdy opiera się o serce jeszcze żyjących. W ciemności zda się, że ujrzysz widma poległych, że otoczą cię mglistym wieńcem, jak te jesienne widma zmarłych, jak te jesienne na torfowisku opary... Schylasz się, to od ziemi jakby jęk szedł przeciągły, nogi o stężałe zawadzają ciała... Lecz nie, luna zabłysła pożarna i w tym gorącym świetle widzisz ulicę miasta pustą, wyludnioną, o trotuarach zimnych, oślizgłych, wilgotnych, o wytoczonych kamieniach bruku.

Zula idzie i patrzy rozrzerzonymi źrenicami, bo nigdy jeszcze nie przeżywała takiej nocy, zaiste nigdy! Wspomnienia tak szybkim tempem przesuwiają się w jej pamięci, jak w umyśle konającego, ale są pogmatwane, chaotyczne, wszelką bowiem refleksję zabijają wstrząsające wrażenia chwili. Tyle różnych nocy przeżyła i stara się je sobie uprzytomnić, aby zniweczyć w sobie to poczucie, że ta dzisiejsza jest pierwszą, od której właściwie istnienie jej się ma zacząć. Czuje, że dotychczasowe jej życie było tylko gromadzeniem materiału do przeżyć dzisiejszych. Byt ciężkim toporem zamierza się na jej jestestwo, czy zdruzgocze ją na zawsze, czy skruszy w pył ponownej powszedniości, czy tylko odwali z serca ciężką

kamienia bryłę i wydobędzie z samego jądra szlachetny kruszec, czy nie? Jakże duszne, jakże ciężkie powietrze; zda się, że formalny opór stawia ciału w każdym jego ruchu! A może położyć by się można pod krzyżem na tym krwawym zmętnieniu atmosfery i płynąć tak w nieskończoność, a w strefach gdzieś lżejszych, błękitniejszych nastąpiłoby „wniebowzięcie”. Tak, tam niezawodnie, gdzie kończy się obły zapach bratniej krwi, gdzie ustają dymy wiecznych zemst, gdzie pięści jednych nie załamują rozpaczą innych dłoni — tam — jest niebo... Ale czy jest takie miejsce?

Skowyt dziki, ochryply rozdarł ciszę — czy krzyk to żydów na Kalwarji Boga swego krzyżujących? Nie, to tylko kilkadziesiąt żołnierskich piersi idzie bronić państwa, które ciągnie się od Kalisza do Altaja. — Zatrzymała się Zula. Ogarnęła ją zapach dziegciu. Szli nie szeregiem, ale ławą. Zaleli ciżbą trotuary. Ten i ów roześmiał się głupio, po chamsku i szturchnął ją w bok, w ramię, uszczypnął w udo, pociągnął silnie, zajrzał w twarz, splunął na suknię, zarechotał oskoma, nazwał bezwstydnie... Próbowała osunąć się do muru, ale nastąpiło na nią kilku tak, że z falą żołdactwa niewolnie iść musiała kroków kilkanaście wśród ogólnej radości. Zdało się jej, że jest takim samym żołdatem ślepo uległym, na zagładę pędzonym i wyprężyła mimowolnie nogi do marszu, spojrzała prosto w twarz czerwonej łunie, pojęła łomot

głuchej armaty w jej skierowany serce i w piersi towarzyszy i w ich wszystkich imieniu zaintonowała głosem spżowo mocnym: „Boże, cara chrani...” Osunęła się grubijańska ręka za pierś ją łaskocąca, tupot stał się miarowszy, tyły pochodu zrzędy i oswobodziły ją z tłumnego uścisku, a setki głosów podjęły pieśń rzuconą: „Boże, cara chrani”..... Pierwszy raz tego wieczoru zachciało jej się strasznie śmiać. W oświetleniu pożarnym ujrzała ciemne sylwety oddalających się i złane w ponury, wielki kształt, jakby dwugłowego orła czającego się ku zagrożonym granicom zachodu. Jeszcze w nozdrzach Zuli mieszał się zapach dziegiu z ostrą wonią żołnierskiego razowca, jeszcze czuła te ciżbę krwi smakiem rozbestwioną, gdy znów pozostała sama i w dalszą podążała drogę wodząc machinalnie oczyma po domach zamarych we śnie, po oknach zamglonych sypialnianym światłem i po innych świecących czuwaniem. Nerwy jej pracowały w coraz większym podnieceniu. Wtuliła się w skromny szary płaszcz, z pod którego białym rąbkiem wyglądał pielęgniarski fartuch, wydobyla z kieszeni opaskę znaczoną czerwonym krzyżem. Opięła lewe ramię tym znakiem w poczuciu stanowiska, jakie nadawał on kobiecie idącej samotnie nocą przez miasto. To, co się działo wokoło, nie pozwalało jej ani na chwilę wyrwać duszy z przytłaczającego nastroju, przeciwnie nastrój ten się wzmaczał i nabierał cech takiego podniecenia i niepokoju, że

każda najdrobniejsza powszedniość życiowa zaczęła jej się wydawać nie na miejscu, jakgdyby w przededniu takiego kataklizmu, który był światła zmieni raz na zawsze od samych podstaw, a niewęcząc wszystko dawne, każe powrócić do jakiejś słonecznej prostoty czucia, myśli, obyczajów. Zula tęskniła do tego, ale zarazem czuła, że jest opętana tym wyrafinowaniem, jakie nappełniło wszystkie dziedziny życia ludzkiego. Ten barok, wyłaniający się z kultury, nużył ją i męczył, widziała w nim całe steki śmieszności, czuła w nim przygniatającą duszność drobiazgów, miast linji prostej, wyzwolonej, świadomej celu, a kreślącej w prostocie swej piękno wyzwolonego życia.

Huk armat stawał się coraz częstszy i jakgdyby bliższy, szedł powietrznymi falami, szedł głucho ziemią i obijał się o mury miasta z tępą zaciętością, jakby pragnąc zburzyć wszelkie zapory. W przerwie między domami, w morzu płaszczyżnianych zamiejskich ciemności, zapalały się coraz nowe pożary. Snopy iskier strzelały raketami, jak dzikie, zwycięskie „hurra”. W oddali szrapnelle niby komety kreśliły swe drogi złociste. Gdzieś dogasał słomiany ogień sterty, gdzieindziej luna rozszerzała się, rosła, dostawała grzbietów kolczastych, niby olbrzymi smok czołgający się po ziemi spustoszenia, moru, głodu, rozpacz, nieszczęścia. To wioska się paliła, ta sama cicha, skromna, w której latem było tyle pogodnego słońca i tyle

światlnych rozbłysków, dotykających łagodnie i pie-
szczośliwie, to płatków wybujałych, przydrożnych
malw, to lnianych czupryn dziecięcych. Ta sama
wioska się pali! Ginę w pożodze maleńkie obejścia
z chatką, ulami, ogródkiem... Płoty-stróże, do-
bytku pilnujące, zdradliwie ogień przenoszą. Nie
masz już chłopie dachu, nie masz chleba, co nad-
krojony ostał się na stole, nie masz kołyseńki dla
niemowlęcia twego. Ostała się jeno ziemia podepta-
na, zhańbiona i w czarną rozpadlinę, niby w ranę
otwartą, przygarnęła tłum bezbronny i śmiertelnie
wystraszony. Patrzy Zula zdala na dymy i języki
płomienne i domaga się jej dusza, aby te zgłiszczą
coś ze siebie wydały, coś silniejszego ponad zniszcze-
nie, aby powstał na nich idealny falanster, przyby-
tek szczęśliwej równości życia sprawiedliwego.
Łuna to jednak nie ognisk zdobywającego baryka-
dy proletariatu, pożar to nie próżności, blichtru,
tryumfującej nieuczciwości i spodłałych sumień...
Nie, to nie płoną ani Tuillerje, ani Wersal, ani
giełda, ani żadne z haniebnych świata targowisk,
gdzie za pieniądze wszystkiego dostać i wszystko
sprzedać można. Z powierzchni ziemi nie niknie
to, co zniknąć powinno, ale to, co zarodkiem życia
lepszego być mogło. Nad setkami wioskowych zgłi-
szczy nie zastanawia się moc niszczycielska...
A jednak?... W pamięci Zuli nagle staje cała moc
śmiesznych drobiazgów żywiołowych, otaczają ją,
zasypują zewsząd. Widzi nimi napełniony swój dom,

widzi nimi otoczone kochane istoty i dziwny, nieznanym dotąd ból odczuwa, jakby to były powróciła do krwi ściskające ręce, pociski uderzające o sam rdzeń sumienia... Ukazuje się jej bliska postać siostry, taka, jaką zna z codziennego życia, postać młodej, przystojnej panny, wchodzącej w świat, chcącej się podobać i wydać za mąż. Widzi ją wysiadującą godzinami przed lustrem i poprawiającą misterne loki modnego uczesania. Widzi ją uśmiechniętą przed szklaną gablotką, jak pieszczotliwą dłonią układa niezliczone bibeloty; malusieńkie słonie z kości słoniowej, których musi być koniecznie siedem, aby szczęście przyniosły, figurynki z porcelany, posążki z brązu, pudeleczka, wazoniki, jedne misternie rzeźbione, inne inkrustowane, a każde malusieńkie, filigranowe, a jeszcze pełne ledwo dostrzegalnych szczegółów i ozdobień... Widzi dalej siostrę, przeglądającą w albumach krytych pluszem całe setki kart pocztowych, rozdzielającą kolekcje odkrytek z banalnymi kwiatkami od spłodzonych w niemieckich badach tłusto-żartobliwych obrazków. Szafa siostry pełna jest sukien, bluzek, szmatek i wstążek bez liku... Toaleta siostry zastawiona flakonikami, pudłami i maściami różnymi, pokoik przeładowany dywanikami, firaneczkami, robótkami i t. d. i t. d.... A tu wprost niedaleko wioska się pali, i ziemia drży wokoło... Dziwne, dziwne. Mama tam w zasobnym, wiejskim dworze, siedzi w wygodnym fotelu i nie-

wyraźnie tylko pochwytuje uchem strzały armatnie... Jest zajęta, bardzo zajęta, haftuje bowiem ornat do kościoła, na intencję pokoju. Dobiera starannie jedwabie, pośrodku złocisty trójkąt rozchodzi się promieniami. Ma to wyobrazić prawieczne oko Opatrzności, niezachwiane, tak — niezachwianie czuwające nad losami ludzi, oko Tego, bez którego woli włos z głowy niczyjej nie spadnie... Mama haftuje i wierzy i ufa, ach ileż wiary jest w tych jednostajnych ściegach igły! Wkoło symbolicznego znaku mieszczą się kwiaty: lilje niewinności i płomienne róże uczucia... Ileż pracy! Każdy cień na płatkach wyrobiony będzie pajęczą nitką. Czym więcej dorzuca matka ściegów, tem więcej istnień pada hen na polu walki! Bo czas leci i tu i tam!

Wioska wciąż gore!

Ojciec, jako głowa rodziny, myśli nad stu kombinacjami finansowymi, układa sto interesów, oblicza sto spekulacji, odgłosy dalekiej bitwy podniecają go jeszcze w tej pracy mózgu, bo ratować się trzeba majątkowo; na jednym się z powodu wojny traci, na czym innym zyskać trzeba podwójnie... Hm... węgiel... owszem, niczego... dostawy zamknięte, zimna, mrozy tuż.... Fabryka w X. nie idzie... sto wagonów... łapóweczka dyrektorowi, łapóweczka naczelnikowi stacji... łapóweczka dla zamknięcia buzi temu-owemu... Zrobione. Ojciec zadowolony. Dzwoni na służącego.

— Jaśnie pan rozkaże?

— Podajno kawy, likierku... No czegoż stoisz?

— A, bo proszę jaśnie pana, tam za Szydłowcem pali się...

Za oknem widać hen, na krańcach horyzontu słabe łuny odblaski. Ojciec spojrział i nie przerywając miarowego kroku po gabinecie, rzucił nie dbale.

— Wioszczyzna jakaś... mówilem daj kawy... likieru...

— — — — —
W duszy Zuli zaskowyczało coś boleśnie. Zataczała się niemal idąc od pijaństwa czuć wzmożonych, z nadmiaru wewnętrznej wrażliwości.

Od wstrząśnięć zniszczenia, śmierci dygocze świat, a palto ma dwa rzędy rogowych guzików i może się zapinać to w tę to w ową stronę.

Misterne koroneczki obszywają bieliznę, a co dwa centymetry powtarza się ten sam deseń: pajęczek, ząbek, serduszko. Przy podwiązce jest róża z jedwabnych wstążeczek. Ha, ha! Na chustce do nosa monogram spleciony z dwu liter, jedna odrobiona atłaskiem, druga mereżką...

U butów ma być obcas albo wysoki, wygięty czyli francuski, albo prosty czyli angielski... Jakież to wszystko śmieszne, bezgranicznie śmieszne... Najmodniejsza damska torebka nazywa się „Pom-

padour”, może być z jedwabiu, lub z miękkiej skóry, ale koniecznie u góry ściągnięta, na dole zakończona fantazyjnym chwaścikiem. Na ulicy Długiej jest sklep z takimi torebkami. Nawet teraz w nocy można je zobaczyć, bo w sklepie z obawy przed złodziejami światło się pali... Wiszą rzędami torebki i większe i mniejsze, we wszystkich kolorach a niektóre wpólotwarte ukazują łakomym kobiecym oczom lustreczko małeńkie i puszek łabędzi do... pudru...

A wioska w dali dogasa cicho bez skargi. Boże mój. Tam była izba z belkami pułapu, taka uboga, taka prosta! Stół dębowy, ławy, pelargonje kwitnące na oknie... pod stołem, w piasku zagrzebane dzierzki z kwaśnym mlekiem... nad piecem zgrzebne suszyły się koszule...

Jeszcze dymy ostatnie z wysiłkiem ku niebu się podnoszą... miast malw... miast słoneczników... I już koniec... koniec... Wkrótce nowy szrapnel na nową padnie wioskę... aby nie zbrakło pochodni ziemiom polskim. Onegdaj w gazecie obliczono, ile Rosję kosztuje wojna, ile w tym samym tylko pociski armatnie... Przez karygodną redaktora niezręczność zaraz pod tym, drobnym drukiem wplątała się notatka statystyczna o szkolnictwie ludowym, o sumach rządowych płynących na oświatę... Dziwne, że tylu ludzi żyje smutnych, skoro wokół tyle, tyle śmieszności i bezmiernie wielkich i bajecznie drobnutkich... Tyle w życiu uciechy

mieć można za odrobinę zmysłu krytycznego, za szczyptę spostrzegawczości. A ty, człowieku, gdy chcesz się śmiać, idziesz do kinematografu patrzeć, jak kota mielą w maszynce od kawy, albo śpieszysz na farsę do teatru, jakże krótkowzrocznie patrzysz, skoro brak ci do zabawy tematu! Jeżeli uważasz nieprzyzwoitość za rzecz śmieszną, to znajdziesz ją nietylko w podkasaniu spódnic lub grubym słowie, ale stokroć bardziej w sprośności dusz, w nieostrożnym zdemaskowaniu sumień, które kryją się pod tysiącnymi obłonkami. Podobno szaty osłaniające ciało wytworzyły owo fałszywe pojęcie o nieprzyzwoitości nagości. Podobnież dusze przywykły okrywać się tysiącnymi pozorami, i któż byłby tym śmiałkiem, który zechciałby się pokazać w samej swej istocie? Ale ty człowieku możesz innych ludzi nieznacznie podglądać, możesz podkasać ich odzienie, a wówczas ujrzysz nieprzyzwoitość, z której dowolnie możesz się natrzasać. A tyczy się to nietylko dusz pojedynczych, ale i zbiorowych, wszelkich ugrupowań społecznych, ekonomicznych. Podglądaj i baw się do syta, oczywiście sam ze sobą, bo jeśli zabawę swoją zechcesz z kim podzielić, to nazwą cię złośliwym cynikiem, wrogiem ludzkości, albo, co gorzej — rewolucjonistą! Wówczas ludzie w poczuciu, że nastajesz na błogosławiony rzeczy porządek, że im przeszkadzasz, zaczną ci szkodzić, w końcu wygryzą zupełnie. Pocóż się narażać? A Bóg nie-

chaj broni, żebyś się odezwał piórem w prasie lub książce, wnet ukamienują cię samosądem, albo według kodeksu karnego zeszlą do katorgi. Za co? Za to, żeś był zbyt wesoly. Uprawniony bowiem jest tylko smutek i rezygnacja u ludzi pojedynczych, a jeżeli chodzi o rzecz tak wielką i doniosłą, jak państwo, to oczywiście, uprawnione jest wszystko, każdy cel i każdy środek. (Rola bociana, chcącego oczyścić świat jest też śmieszna, bo humorystycznie beznadziejna. Przypuśćmy, że wydziobie on robactwo z jednej kałuży, to w sąsiedniej rozmnoży się ono spokojnie i na podatnym gruncie zawsze się będzie rozwijać). Jeżeli jesteś człowiekiem poważniejszym, którego niedosyc bawią nieprzyzwoitości, to niechaj wesolości źródłem staną ci się niezliczone życia paradoksy. Śmiać się, tylko się śmiać; śmieje się życie z twego serca, że je posiadasz, że nim czujesz, śmieć się ty sercem z życia.

I Zula się śmiała. Dlatego, że wioska spłonęła, że armaty huczały, że ludzie ginęli, że siostra jej lubiła bibeloty, że matka haftowała ornat, że żołdactwo śpiewało na cześć cara, śmiała się... dławiała się od śmiechu, że te torebki Pompadour tak efektownie były rozwieszzone w witrynie sklepu, że prostytutka monotonna chodziła rogiem ulicy... że gdzieś w mdłym świetle sypialni, za tym i innym oknem tworzone, zapoczątkowywano nowe życie... Śmiała się z siebie samej, że tak, jak

w życiu, jak i w sobie nie umiała odnaleźć linii dostatecznie prostej i jasnej. Że jest sama jakimś fermentem przesyconej bakterjami kultury, że nie może dostatecznie wyzwolić się z pod pręgierzy, że widzi w sobie fizyczne i moralne znamiona degeneracji, a obok nich taką bezgraniczną tęsknotę do prostoty życia, czucia i obyczajów, że wskutek tego szamocze się w poplątanej jak kołtun sieci szaleńca. Śmiała się tak, serdecznie, jak wówczas, gdy wystawiła malarską humoreskę, t. p. „Zuzanna i Starcy”, którą tak na serjo wzięli sprawozdawcy, że aż pienili się z fanatycznego oburzenia. A to była właśnie dusza epoki, śmiesznie jałowa, śmiesznie sprośna, śmiesznie nieartystyczna.

Oj, śmiech, śmiech! Nie ten dziecinno-naiwny, nie ten podlotkowsko-łobuzerski, nie ten bezfrasobliwie-wesoły, nie ten kokieterijno-zaczepny... ale śmiech bezbrzeżnie przez życie uświadomionego człowieka, poruszający wszystkimi nerwami duszy, wszystkimi ścięgnami twarzy. Śmiech, który rodzi się w chwilach najbardziej intensywnego czucia i przesuwają się, jak nicejski karnawałowy pochód, obok mieszkania, w którym leży nieboszczyk. Słyszeliście kiedy taki śmiech?

W chwili, kiedy Zula z tą rozszalałą w duszy burzą uczuć przeróżnych przechodziła odruchowo w poprzek ulicę, z zamyślenia wyrwał ją miękki turkot kół gumowych i tuż obok niej potoczył się

powóz uwożący dwie otulone panie i pana wykwin-
tnie siedzącego na przedniej ławeczce. Przez szczer-
bę między domami wychyliła się ciekawie luna i ni-
by groźny stójkowy kontrolowała przechodniów
bezczelnie świecąc im w oczy, zdradzała wszelkie
incognita, zdierała czarne domina ciemności,
jakgdyby w tę noc pamiętną nikomu nie wolno
było przejść niepostrzeżenie, jakgdyby każdy idą-
cy musiał krwawej poźodze zdawać sprawę z celu
swej drogi. Sanitarjusze na dyżur śpieszący od-
ważnym wzrokiem mierzyli ten nagły snop jasnoś-
ci, czuli się oni niejako kapłanami tego żałobnego
konduktu; zdala, miast dzwonów kościelnych od-
zywał się przeciągły świst pociągu Czerwonego
Krzyża. Do stacji już niedaleko. Kiedy gorejąca
wioska oczyma swymi z płomienia sprawdziła
z kolei trzy istoty jadące gumowym powozem,
zdziwiła się idąca obok Zula, poznała panią Lolę
i panią miljonerową Gutmanową; obie miały na
głowach białe z batystu chusteczki, niby skrzydła
gołębie, na koźle spoczywał wielki kosz z watą,
bandażami etc.

— Zadne niewiasty — pomyślała Zula — i one
niosą swą cząstkę ofiary, późno w noc, miast wy-
poczywać wygodnie...

Oddając im tę sprawiedliwość, Zula ani na
chwilę nie pomyślała o sobie, to bowiem, co czy-
niła, wydawało się jej tak odruchowym, tak ko-
niecznym, tak prostym, że musiało pozostawać

poza wszelką pochwałą, poza wszelkim mianem cnoty — to była jej wewnętrzna potrzeba, a zarazem czysto fizyczne wyładowanie energii.

W ostrzejszych jeszcze blaskach pożaru zapalił się na chwilę rembrantowskim, czerwonym refleksiem dość ładnie skreślony profil pani Loli. Twarz siedzącego na ławeczce pana znalazła się nagle, jakby odarta ze skóry, ociekająca krwią, zatopiona całkowicie w czerwonej plamie światła. Tuż koło brody zaświeciła jeszcze srebrna gałka laski, a w dole na skraju stopnia pękaty nos lakierowanego amerykana zaśmiał się złośliwą iskierką — bo był bajecznie szklący czyli nieschodzony. Powóz wtoczył się za olbrzymi parawam domostw i znów ciemności osłoniły dyskretnie go. Oczy pani miljonerowej okrągłe, nieinteligentne i bezduszne szukały coraz bardziej melancholijnego wyrazu, możliwe, że okoliczności nasunęły jej na myśl złowróźbne przysłowie szanowanego proboszcza i spowiednika: „proch jesteś i w proch się obrócisz!” — „Ale złoto zostanie” — dodawał wówczas żartobliwie pan miljoner — jej mąż.

Zula znalazła się wreszcie na obszernym placu opartym o szare plecy typowej miejskiej stacji. W czasach wojennych wszystko na opak: gwar a raczej hałas i rumor, gdzie zwykła cisza, a kędy spokój nieznany tu, dziś ani znaku życia. Poszarpany kołami dorożek bruk wypoczywa. Na charakterystycznym ganeczku ani jeden tragarz nie wycze-

kuje. Drzwi nawet, te wielkie, obdrapane, wiecznie rozhuśtane przenoszonymi ciężarami, teraz zamknęły znużone powieki w niezwykłym letargu. Pociągi nie idą, nie idą te smoki dyszące, niezmordowanie pracowite, ciągnące ciężkie tułowia codziennie po tych samych szynach, w te same godziny i minuty. Komunikacja została przerwana i rozkład kolejowej jazdy nagle unieważniony. Jedni drugim powtarzali w tajemnicy, jakoby sąsiednia stacja w kierunku Miechowa była już zajęta przez „nieprzyjaciela”. Jedyna pracująca lokomotywa szła ze strony przeciwnej i wiozła rannych z pola bitwy koło Małogoszcza.

Ospałym, znużonym krokiem przechadzał się żołnierz z karabinem. Ponura jego sylweta to nikła całkiem w ciemnościach przystacyjnego zaułka, to znów wydostawała się w plamy świetlne, jakby znagła wyrastając z pod ziemi. Za życia już wydawał się być jakimś widmem pozagrobowym, marą świeżo poległego, strzegącą wejścia do Ogrójca cierpień i mąk nieludzkich. Zula spytała go o drogę do baraku Czerwonego Krzyża. Nic nie rzekł, a tylko szerokim ruchem ręki wskazał kierunek wzdłuż szyn kolejowych. Trzeba było iść z pół wiorsty. Grunt pod nogami stawał się sypki i miąłki od grubej warstwy węglowego pyłu. Wokoło coraz gęściej pojawiały się nieruchome cienie przeróżnych pak, ciężarów, ładunków. Droga wreszcie stała się nie do przebycia. Kilka dorożek i powozów musiało się

tu zatrzymać i porzucić pasażerów własnemu przemyślowi, czekały więc puste. Konie prychały i przestępowały z nogi na nogę, zaznaczając w ten sposób swoją w ciemnościach obecność, dorożkarze zaś zeszedszy z kozłów zgromadzili się koło jednego z kolegów, który, siedząc na stopniu swego narzędzia zarobku, czyli przyrządu do wytrząsania wnętrzości z delikatniejszych pasażerów, częstował tytoniem i bibułką. Skręcali papierosy i wiedli aktualną pogawędkę. Właściciel obdrapanej dryndulki, jako najbardziej obdarty, był przedstawicielem zdrowego rozsądku. Od początku swego zawodu nie zmieniał sukna na siedzeniach i lakieru na pogiętych wachlarzach, twierdząc, że „jak kto ma pilny jenteres, to na jelegancję nie patrzy”. Widać miał słuszność, bo wiodło mu się dobrze, choć na kursowe dwudziestokopiejkówki składało się zwykle czterech przygodnie spotkanych pasażerów, z których każdy mógł wydać tylko pięć kopiejek, a miał jeszcze po parę paczek lub dziecko na kolanach. Właściciele szykownych dwukonek (co miały nawet derki z czystej wełny), choć pogardliwie mijali Macieja na głównych ulicach i nazywali „żydowskim omnibusem”, to jednak w nudnych chwilach długich wspólnych postoi i wyczekiwań szli do niego po „najświeższe” wiadomości, bo on pierwszy wszystko wiedział, co się w Kielcach stało, był jakgdyby domorosłym redaktorem lokalnej gazetki, ba, nawet puszczał się na swego

rodzaju kaczkę dziennikarskie, opowiadając w wielkim zapędzie nawet to, czego zgoła nie było, ot tak, dla wypełnienia szpał jednostajnego dorożkarskiego życia. A że nic za to nie brał, a jeszcze tytoniem poczęstował, więc nazwać go można filantropem i cichym idealistą: gdy gadał, zapomniało się jakoś o chłodzie i deszczu, w nocy. Bywało, pasażerowie w teatrze siedzą i wypatrują oczy na ażurowe pończoszki młodzusięńskiej artystki, która podobno jeszcze „nie tego...” Artystka i „nie tego”, pączuszek, lilijka, Boże drogi, lat szesnaście, mamusia odprowadza ją za kulisy... Boże drogi... śliczniutka... Któż będzie tym szczęśliwym?...

Maciej śmiał się, aż się pod boki brał, i z tych szesnastu lat i z tego wszystkiego... Pewnej nocy sam wioził ją do garsonjery bankiera, a mamusia jedynaczkę odprowadzała do dorożki i przestrogi dawała, ha, ha, ha...

— Co, może twoją dryndą jechała? — zakrzy czeli koledzy.

— A moją. Taka tyż na jelegancję nie patrzy, jak ma pilny jenteres — ha, ha...

Tak rozweselał Maciej zwykle towarzyszy. Zwykle, ale nie dziś, bo i on, mieszczuch najprościejszy, nieprawy syn praczki, najpierw ulicznik, a potem i do końca życia dorożkarz, i on właściciel połamanej dryndulki czuł powagę tej chwili, jej niezwykłość. Czytał nawet przez austrijacki aeroplan porzu-

cone odezwy, zapraszające mieszkańców Kielc na niedzielę do katedry na godzinę dziesiątą na nabożeństwo dziękczynne. Tak, niezawodnie, dzisiejszej nocy coś się rozstrzygnie. Nie darmo wielkie ilości wojska przerzucono od strony Małogoszczy pod Kielce, a gdy przez miasto ciągnęły, sam wódz naczelny, Wielki Książę, stał z jenerałami przed hotelem Bristol i przegląd czynił. Rozmowania swe strategiczne Maciej zakończył tym frazesem:

„Jeżeli „nasi” rady austryjakom nie dadzą, to musi uciekną, ale pobić się nie pozwolą”.

W gruncie rzeczy było mu obojętne, kto zwycięży, tak, czy owak, zawszeć ze swoją dorożką jeździć będzie, brał on życie ze strony praktycznej, a o honor nie dbał.

Zula słyszała całą tę rozmowę, bo wązkie przejście zostało całkowicie zatarasowane, i z konieczności zatrzymać się musiała. Wielkie towarowe pociągi stały nieruchomo, a między nie wjeżdżał powoli cały sznur chłopskich wózków, wiozących rannych, którzy już w szpitalach miejskich pomieszczenia nie znaleźli. Wśród ciemności nie można było dojrzeć tych, co tam leżeli nieruchomo i cicho, jak trupy. Od czasu do czasu odzywali się tylko woźnice napółsenni, niby ponurzy Charoni, przewożący dusze na drugą stronę Styxu. Tajemnicze zewsząd ciemności wśród złowrogo piętrzących się cieniów były jakby podziemną krainą

zatrważającego Hadesu. Za jednym z wozów siedł pies jakiś przybłąkany, czy też chłopka wiozącego nieodłączny towarzysz. Skulony, z podwiniętym ogonem, zatrzymał się tuż koło Zuli, i wyprężywszy kudłatą szyję w przestrzeń wyc zaczął straszliwie.

„Krew świeżą czuje” — zauważył spokojnie Maciej.

„Gdy człowiek umiera, psy wyją” — wtrącił inny dorożkarz.

Zula zatrzęsła się cała. Wokoło błdził Tanatos — nieubłagalny śmierci bóg, a wraz z nim Hekate wieńcem dusz zmarłych otoczona. Czarne ciemności zasłony, niby ciężkie opony zasłaniające w świątyni grozy i lęku miejsce święte — świętych, rozdarło na chwilę światło puszczanego gdzieś z wieży reflektora. Kilku żołnierzy szło od strony baraku i wplątało się między wozy.

„Odsuńta się — w bok!” wołał jakiś chłopiek, chcący wydostać się naprzód.

„Dorożkarz na prawo!”

Maciej wskoczył na kozioł i zakręcał, najechał prawie na jednego z żołnierzy.

„Uważaj — przejedziesz” — strofował go któryś kolega.

„Toć to i tak na zabicie”, odparł z filozofją.

Zula poprosiła kogoś z żołnierzy, by ją przeprowadził kawałek, bo wśród ciemności i zamieszania straciła kierunek drogi. Przy jego pomocy wyminęła szczęśliwie wozy i pozostawiła ten smutny

sznur poza sobą w beznadziejnym oczekiwaniu na opróżnienie zajętego przez wagony toru, który był jedynym przejściem do baraku. Pociągi te całe stały nieruchomo, jakby wbite w ziemię swym ciężarem. Były to wszystko wagony towarowe, takie, którymi za dobrych czasów wożono paki, bydło, worki i tp. Zuli zdawało się, że z jednego z nich dolatuje coś, jakby jęk. Przybliżyła się. Słuch ją nie mylił. Wielkie drzwi wagonu były rozsunięte tak, że prawie brakło całej ściany. Z brzegów tej ciemnej paszczeki wymykała się słoma, a głębiej dojrzeć było można nogi ludzkie leżące jedno przy drugich. Ranni, znowuż ranni.

— Czy opatrzeni? — zapytała.

— Da, da — odpowiedział żołnierz po rosyjsku.

— A gdzie ich wiozą?

— W Kijew. —

Czekać mieli w tych wagonach, dokąd komunikacja nie będzie przywrócona.

Żołnierz dostawszy złotówkę odszedł. Barak był już naprzeciwko, ale, aby się do niego przedostać, trzeba było przejść wpoprzek parę stojących pociągów. Nie było to rzeczą tak łatwą, gdyż wagony te były niezmiernie wysokie. Zula zobaczyła jakiś cień niewieści, który błędził od wagonu do wagonu bezowocnie przymierzając nogi do powierzchni platformy. Podeszła do nieznamomej, i w prostocie swej bez słowa wzięła ją na ręce, pod-

niosła lekko jak piórko i postawiła na najwyższym stopniu.

„Dziękuję” — odpowiedział młody, ciepły głos — . „Boże, jaka pani silna!”

Zula sama jednym sprężystym krokiem oparowała trudną do zdobycia wysokość. Widząc zakłopotanie towarzyszki przed zejściem po drugiej stronie wagonu w nieobliczalną ciemność wyprzedziła ją i skoczyła śmiało, poczem znów na ramiona ją wzięła i zniosła. Poczula tę drobną, wiotką postać kobiecą, jako coś przedziwnie delikatnego i stawiała ją na ziemi z ostrożnością twardych dłoni, które dotykają się misternego cacka. Ten lęk przed przeszkodami, ta nieśmiałość w ruchach były cechami zwykłej kobiecości, wymagającymi opieki i osłony silniejszego ramienia. Zula przeciwstawiła swoją siłę, energję, śmiałość, zdobywczość i wraz z fizyczną przewagą doznała uczucia tkliwej pieczołowitości. Obudziła się w niej świadomość pewnej wyższości, poczuła pewność i stalowość swych kroków, żelazne muskuły w ramionach i tytaniczność kształtów. Nachyliła się szybkim odruchem i sama nie zdając sobie dobrze sprawy z tego co czyni, pocałowała nieznajomą w twarz. Ta, zaskoczona, odsunęła się gwałtownie z pewnym przestraczem.

„Niech się pani nie gniewa—pani taka mała—ka, miła, drobna — jak dziecko” — „Przepraszam” — dodała Zula z pewnym smutkiem w głosie.

Nieznajomej żal się zrobiło szorstkiego ruchu, pomyślała, że może to w tak niezwykle sposób objawiło się jakieś nagłe uczucie przyjaźni, więc zapewniła serdecznie:

„Doprawdy ja się nie gniewam, nic nie szkodzi”. Zula tymczasem odbiegła myślą daleko. W Paryżu, na poddaszu nędznej malarzkiej pracowni odnalazła pamięcią swą ukochaną koleżankę — malarzkę, z którą tyle chwil przedziwnych przeżyły. Miała ona ten sam miękki kobiecy głos taki puszysty i ciepły jak futerko angorskiego kota, ten głos wprost wtulał w siebie i cała była jak koteczka, och jaka!

„Musimy się zapoznać” — proponowała nieznajoma — „nazywam się Irena Zawadzka”.

„Zula Orłowska” — podały sobie ręce.

„Pani widzę też sanitariuszka. — Czy pani umie już opatrywać?”

„Domorosły ze mnie medyk — samouk, na wsi to nieraz potrzebne... W baraku będę po raz pierwszy...”

— „I ja... chodziłam na te trzydniowe kursa pielęgniarstwa, ale wiadomości to tylko zasadnicze, najniezbędniejsze, czysto teoretyczne, nie wiem czy będę je umiała przystosować, boję się, aby chcąc pomóc, nie zaszkodzić komu, to wielka odpowiedzialność”....

Z ostatniego wagonu, który mijaly, wydobywały się liczne stłumione jęki i czyniły wrażenie,

jakgdyby szły z pod ziemi, z mogił zasypanych nad żyjącymi jeszcze.

Irena nerwowo schwyciła towarzyszkę za ramię.

— Boże, jak tu strasznie!—szepnęła i dygotała cała z wrażenia, a zęby jej zaszczękały ze zgrozy, jak poruszany szkielet.

— Może tu, między tymi rannymi i trupy leżą?

— Prawdopodobnie — odparła twardo Zula i dodała — śpieszmy się, barak już widać.

Była to wielka, podłużna drewniana szopa, bez okien. Przez drzwi wielkie, jak wrota stodoły, szedł zewnątrz snop światła i oświetlał cały szereg przygotowanych noszy, wśród których kręciły się cienie ludzkie w niespokojnym oczekiwaniu. Nisko nad ziemią ciężkim lotem błoniastych swych skrzydeł przesunął się nietoperz. W powietrzu z niewysłowioną żalością odezwał się świst zbliżającej się lokomotywy. Ruch zrobił się wokół. Ostre, krzykliwe głosy rosyjskich siestryc wydawały rozporządzenia posługaczom tonem wieczyście kłótlwym.

Irenie dech zamarł w piersi, poczuła, że zbliża się straszliwy kondukt. Z pogrzebową powolnością posuwał się pociąg, niosąc przed sobą żałobne pochodnie świetlnych oczu.

Zula poczuła przyływ wzmagającej się energii—do czynu... do czynu!

— Prędeż, prędeż!—zawołała i w biegu dopadła drzwi onej stajenki, gdzie Jezusowe pano wało ubóstwo.

Na ziemi wzdłuż obu ścian podłużnych leżała słoma zbrukana, z wygniecionymi śladami ciał, które tu spoczywały, a miejscami rozpostarta była tak cienko, że ziemia goła wyglądała czarniejszymi plamami. Całą przestrzeń oświecała jedna wielka latarnia zawieszona u pułapu na podobieństwo tych, które świecą nocami w budynkach folwarcznych. Przez szpary w ścianach wiało i przeciąg potrząsał tym skąpym oświetleniem. Nieco w bok od wejścia stał stół zbity z desek, a na nim leżały stosem bochenki czarnego żołnierskiego chleba i paradował dymiący kocioł czyli zasługa i duma pani milionerowej. W odległym kącie baraku coś zamigotało. Zapalono tam prawdziwą naftową lampę i Zula ujrzała w jej świetle całą grupę osób, tam się więc skierowała. Było to miejsce, mające służyć za salę operacyjną. Na stole leżały całe stosy waty, bandaży i śnieżną swą białością świadczyły duchowe pokrewieństwo z sanitarną bielą fartuchów. Pękate flaszki jodyny patrzyły groźnym marsem w stosy sond, peşetek i innych narzędzi chirurgicznych. Dyżurny doktor, wysoki mężczyzna o twarzy surowej, ostrym spojrzeniu i szorstkich ruchach, przeglądał wszystko, badając, czy niczego nie brakuje. Rękawy miał podwinięte do łokci i ukazywał ręce silne, obrosłe, żyłaste. Nieco dalej

stał inny doktor i uśmiechnięty rozmawiał z paniami. Był to popularnie zwany w mieście: „przyjaciel kobiet”. Oczywiście akuszer i ginekolog. Mały, drobny, lysy od czoła ze śpiczastą blond bródką, o płowych oczach starego dzieciaka, wiecznie zadowolony, nieco figlarnie uśmiechnięty, w obejściu delikatny, gadatliwy do niemożebności, zresztą człowiek o złotym sercu i wielki dziw natury, bo lekarz wojskowy, a nie łapownik. W całej gubernji nie było niewiasty-inteligientki, którejby nie znał, z którąby nie miał do czynienia, wiele najskrytszych tajemnic było mu powierzanych, powiernikiem był wyrozumiałym, subtelnym, dobrotliwym. Szalenie zapracowany w szpitalu, wpadł tu tylko na godzinkę, zobaczyć, co się dzieje, dopomóc, przy sposobności poobserwować panie pracujące i wynieść trochę ploteczek. Spotkał tu oczywiście znajome, bo gdzież ich nie miał, pani miljonerowa była też z grona jego pacjentek. Otoczony przez panie, opowiadał im o swoim pobycie na wojnie japońskiej, gdyż specjalność jego nie przeszkadzała amputowaniu rąk i nóg. Z równą też powagą i sumiennością towarzyszył odchodzeniu z tego świata, jak i urodzinom.

— Pod Mukdenem — ciągnął miły doktorek — walczył między innymi sławny śpiewak Szalapin, przyjechała za nim księżna Urusow, pielęgnowała go, gdy był ranny. Dość powiedzieć, że w ogromnej sali, gdzie leżeli chorzy, łóżko swe przystawiła do

jego łóżka i ogrodziła specjalnie zakupionymi, japońskimi parawanami...

Opowiadający i słuchaczki uśmiechnęli się dwuznacznie.

Za rozmawiającymi, z tyłu, w malutkich, bocznych drzwiach baraku ukazał się z całą powagą swej statecznej osoby pan prezes Knicki, osobiście, umiejąca się zawsze zachować z godnością, ogólnie szanowana, pomimo że wspomiano sobie na ucho pewne moralne nieczystości jego życia w morzu zasług społecznych. Był to jakgdyby nestor obywateli miasta, nietyle w leciech, co z urzędu, prezes tak czcigodnej instytucji, jak Towarzystwo Ubezpieczeń, które choć było tylko filją warszawskiej centrali, to jednak dumnie podnosiło czoło ponad wszelkie samoistne instytucje miasta, gdyż się wszyscy ubezpieczyć musieli. Pan prezes przewodniczył zawsze wszelkim poważniejszym zebraniom, pan prezes przodował zawsze we wszelkiej akcji społecznej. Gdy było potrzeba, ratował pogorzalców, kiedyindziej sankcjonował swoją osobą kwestę pań w cukierni, to znowu na wyścigach patrzył przez lornetkę z łoży gubernatora, to jechał w powozie (z pledem na nogach) za znakomitym pogrzebem, to znów w mundurze szlacheckim (choć był synem organisty) witał nowe władze, to organizował zebrania, jednym słowem był powagą miasta, zawsze godnie reprezentującą chwilę bieżącą, tymbardziej, że prezes Towarzystwa Kre-

dytowego Ziemskiego był za stary, a inni prezesi wieczyste siedzieli albo w cukierni Smoleńskiego, albo w klubie przy kartach. Przybył więc i tu na punkt sanitarny z opaską Czerwonego Krzyża na ramieniu. Stał spokojnie, w przyzwoitym odosobnieniu i wzrokiem przejrzawszy obecnych nieznacznie, z góry wiedział, jak kogo powitać. To ciche „entrée” miało jednak swój majestat. Uczynił się szmer i ruch na jego przywitanie.

— Prosimy... prosimy...—zachęcała z wdziękiem pani miljonerowa, która czuła się tu upoważnioną do czynienia honoru domu.

— Winszuję pięknej inicjatywy — odrzekł prezes, ściskając jej śliczną rączkę.

Splonęła zadowoleniem i objaśniała z dumą:

— Tam mamy bufet: kapuśniak, chleb, herbata... tu, gdzie stoimy, jest miejsce operacyjne...

— Pięknie, pięknie — powtarzał prezes — ślicznie zorganizowane i w tak krótkim przeciągu czasu... podziwiam...

— To jeszcze nie wszystko... tu, w całej tej części będzie rozpostarte linoleum, również na stole opatrunkowym...

— Co za energja, co za ofiarność... pani jest rzeczywiście zdumiewająca...

W zupełnie ciemnym kącie, gdzie na gwoździach wisiało kilka okryć, siedziała na pace pani prezesowa Knicka. Była w całkowitym stroju sa-

нитарjuszki, w którym jednak przebijała wykwin-tna staranność. Trzymała na kolanach ogromne pudełko najlepszych cukierków i delikatnie przewracając srebrnymi szczypczykami wciąż wybierała i jadła. Ze stojącym mecenasem Bielskim zamieniali nieznacznie zdania ciche, urywane. Ona zdawała się być zaabsorbowana całkowicie cukierkami, on—papierosem.

— Niech pan się nie dziwi, że tyle jem—dodała głośniejszym głosem — doprawdy nie miałam dziś nawet czasu na obiad.

Z wejściem męża zamknęła pośpiesznie pudełko i zawiązała wstążeczką. Pan Bielski nie spuszczał wzroku z jej rąk, z palców długich, cienkich, o paznokciach różowych, kształtnych, błyszczących. Upajał się każdym ruchem, każdym ułożeniem tych łapek rasowych, wypieszczonych, zwinnych, które pod światło miały barwę płomienistą kwiecia granatu, a tak nie zgadłbyś, że krew w nich płynie, bo białość przechodziła w jakiś cień niebieskawy, przedziwnej delikatności, niby cieplarniana tuberoza.

— Czy pani rzeczywiście trwa w zamiarze opatrywania rannych? Brudno tu, niewygodnie, zimno, to nie dla pani, wróćmy lepiej.

— Czemu?

— Szkoda przede wszystkim tych pani rąk ślicznych do tej grubej roboty, zniszczy je sobie pani sublimatem...

— Wolałby pan, żebym dzisiejszy wieczór spędzała w domu, z mężem i dziećmi? Ręce by wówczas pozostały nietknięte... — dodała dwuznacznie.

— Żartuje pani. Ja błogosławię tę wojnę, tych rannych, tę budę... to wszystko, bo to nas właśnie zbliżyło... dało cudowny pretekst... uczucia humanitarne, które się rzeczywiście na coś przydały... Gdyby nie to... Ja wiem, że dla ciebie w gruncie rzeczy żadnego zainteresowania nie mogą przedstawiać ci ludzie, którzy żywi, bądź umarli zalegną tu za chwilę brudną słomę, przeciwnie, ty, jako urodzona estетка, musisz się wzdrygać przed całą obrzydliwością tych ran i nędzy. Cóż ciebie może obchodzić ten cuchnący mółloch żołdactwa...?

— Panie...

— Tak, nie gniewaj się, Lolu... Ty jesteś typ kobiety „par excellence égoïste” — to nic złego, przeciwnie, to nawet jest twój wielki urok. Ty jesteś po to stworzona, aby żyć sobą i dla siebie, wyłącznie dla siebie, jesteś piękna, to ci wolno, a nawet źle, abyś czyniła inaczej. Zostaw słabym, tkliwym, mazgajskim duszom roztkliwianie się nad cudzą biedą, to do ciebie niepodobne. Nie po to tu przychodzisz, ale jedynie dla mnie, dlatego, że lubisz być podziwianą, że bawi cię i interesuje nasz wzajemny stosunek, że jesteś ciekawa dalszego ciągu... Tak, Lolu, przysłaś tu dla mnie...

— Prosiłam już o nienazywanie mnie tak; że

pozwalam na niewinny flirt, nie znaczy to, abym była pańską kochanką...

— Ale nią będziesz, nie dziś, to jutro, a może nawet prędzej, niż sama przypuszczasz... Zresztą... zresztą... może nią już i jesteś...

— Dość tych drwin... bezczelny pan jesteś...

— To nie są drwiny... to znaczy tylko, że ja ciebie, czy też panią Knicką — — a właściwie ładną kobietę (ta tylko nazwa określa istotę rzeczy) już posiadam, t. j., że ona jest już na tej drodze, którą można nazwać posiadaniem...

Pani prezesowa odeszła z dziwnym uczuciem, była obrażona, zdenerwowana i... dziwnie zadowolona zarazem. On został w swym kącie i śledził ją spojrzeniem: twarz jego o krótkich, stanowczych rysach silnego bruneta miała wyraz wielkiej pewności siebie, przy pewnym znużeniu i zbławowaniu. Stojąc oparty całym ciałem o ścianę, nogę miał założoną i lekko zgiętą, w górę puszczał dym z papierosa.

Pani Lola tymczasem witała się z mężem.

— I ty tutaj... brawo, brawo, nasze panie.

Zula tymczasem od pierwszej chwili swego tu przybycia wzięła się energicznie do roboty.

— Czy nie trzeba wygotować narzędzi, rękawic?—zapytała dyżurnego lekarza.

Ten spojrział na nią bokiem z widoczną nieufnością, jakby chciał powiedzieć: czyż wy cokol-

wiek potraficie dobrze zrobić? i wzruszając ramionami rzucił szorstko:

— Pewnie, że trzeba.

Widząc jednak, że Zula zabiera się do rzeczy z wielką pewnością i zręcznie, nabrał zaufania i popatrzywszy się chwilę na jej robotę, wydał parę poleceń, zawsze w sposób lapidarny i stanowczy. Takich wstępów, jak: „proszę pani”, albo: „jeśli pani łaskawa”, nie używał zupełnie. Irena stała obok niepewnie, nie wiedząc do czego się zabrać, ten ostry człowiek do reszty odebrał jej odwagę, na twarzy czcze jej drobnej, w oczach zdziwionego dziecka malowało się zakłopotanie.

— Czy pani uważa, że za mało tu próżniaków? — zagadnął ją doktor — albo się wziąć do czego, albo iść sobie i nie zawadzać tutaj.

Słyszając to, Zula przywołała skonfundowaną do reszty towarzyszkę i dała jej waciki do cięcia, za co dostało jej się dziękczynne spojrzenie.

Na widownię przybył nowy osobnik, był to młody student z „Piotrogradu” Bijakowski, kreowany dziś na doktora. Człowiek ten zaasymilował przeróżne fizjonomje i cechy charakterystyczne różnych zwierząt. Twarz sprawdzała niejako teorię Darwina, nierówno rosnąca broda przypominała kundla. Ruchy znów miał ostrożne, skradające się, lisie; postać krępa, niewyrośła, skarłowaciała, miała w sobie coś i z muła i z jamnika. Oczy

były krowie, ale z tych krów inteligentniejszych, które wiedzą, czyją przeżuwiają paszę, u czyjego żłobu stoją, obora ta bowiem była niebylejaka—endecka! Kto w niej raz racicami o bruk stukał, ten już był znaczony literami N. D. Był w niej i ciełtnik spory, gdzie drobną rasę zwaną „starozarzewiacką” na dojne krowy hodowano. Byk rozplodowy nazywał się Dmowski, krwi był nietęgiej, ale silny i z ognistym temperamentem, gdy pędzono do niego jałówki ryczał okrutnie, to jedno można mu było zarzucić, że miał dziwne fizjologiczne zboczenie do rysaków, wmawiał nieraz w swoje stado, że są końmi i marzył o tak idealnym ustroju podwórkowym, gdzieby krowy z końmi sprzęgano i gdzieby krowy chodząc w maneżu mlóciły owies dla koni i mlekiem swym je poily, miast wody, wzamian za co konie uczyłyby krowy rzeć, ponieważ ryczenie jest zgoła niepotrzebnym językiem. Otóż z tej sławnej obory, gdzie ów byk - marzyciel był szefem rodu, pan Bijakowski wyniósł wyraz swych oczu. Wydelegowany był on do baraku sanitarnego nie tylko w roli doktora, pracując miał pilnie kontrolować, czy nie dzieje się tu nic takiego, coby przyjaciół—rysaków razić mogło. Wszedłszy, uklonił się wszystkim, pośpiesznie zdejmował palto i nakładał fartuch.

— Cóż gorąco dzisiaj, armaty nie ustają—zagadał mały, miły doktorek.

— Jutro będzie chłodniej — odpowiedział student z miną człowieka, który jest o wszystkim najlepiej poinformowany.

— Gdyby austryjacy weszli do Kielc, to byłoby straszne...—wyrokowała pani miljonerowa, choć dla czego „straszne” nie umiałyby określić.

— Może się pani nie obawiać—pocieszał Bi-jakowski.

— Rosjanie nas tak łatwo nie oddadzą—zresztą żołnierz rosyjski jest niezwykły—co za wytrzymałość—prawił doktor.

— A wojna japońska?—pytała pani Lola.

— To, co innego, tam nie było idei, a tu każdy z zawziętością idzie bić „giermańca”, tego odwiecznego wroga nas, słowian.

Pan prezes nie brał udziału w dyskusji, wołał nie akcentować swego stanowiska politycznego, nie będąc pewnym, kto zwycięży.

Zula zwróciła się półgłosem do Ireny:

— Co, może pani życzy zwycięstwa tym azjatyckim hordom?

Dobre, łagodne oczy zagadniętej oderwały się od roboty i spojrzały czysto, szczerze.

— Na polityce się nie znam, chciałabym, żeby było Polsce, polakom jak najlepiej, a wszyscy mówią, że to tylko możliwe po zwycięstwie Rosji...

— Biedne, małe dziecko—nie może się zdobyć na sąd samoistny... a więc ja dziecku powiem, że ta polityka ugodowa nie jest wyrazem uczuć

ogółu narodu obok Dmowskich i Jarońskich są jeszcze tacy, co miast lasić się w tę czy inną stronę, śmiało domagać się tego, co im się słusznie należy—niepodległości.

To mówiąc, Zuła poczuła na sobie ciężki, ponury jak kamień Syzyfa, wzrok studenta Bijakowskiego, który stoczył się po niej i poszedł dalej.

Ten człowiek wygląda na szpiega—pomyślała, kto może to być?

W tej chwili weszło jeszcze kilka osób. Jakiś felczer, paru studencików, mających mu pomagać i ośmieszony w mieście weterynarz Ćwierciak, beznamiętnie głupi człowiek, a mający pretensje do wielkiego rozumu. Przyjechał też na chwilę pan radca Łęski, zobaczyć, jak jego żona się poświęca.

Przez główne drzwi wpadła zadyszana „siostryca” i zaczęła wołać, że ranni już przyjechali, że jest za mało noszy, za mało posługaczy, że najcięższej chorzy sami wychodzą z wagonu, że krzyczą: „jeść, wody, doktora”, że wreszcie połowa przybyłych to już trupy, że leżą jedni na drugich, że brak jest światła i żywych od umarłych odróżnić nie można... Z zewnątrz rzeczywiście dochodziły jęki, wołania i zamieszanie. Wszyscy obecni się poruszyli, urwały się rozmowy, każdy chciał coś zrobić, ale dokładnie nie wiedział, czego się chwycić, brakło organizacji. Jeden tylko pan Bielski stał niewzruszenie w swym kącie i ćmił papierosa z zupełną obojętnością.

Weterynarz Ćwierciak zapalił jakąś porzuconą latarnię i biegł przyświecać, zaledwie jednak dopadł drzwi, ktoś z zewnątrz krzyknął, by się na bok odsunął, stanął więc nieruchomo przy wejściu, rękę ze światłem podniósł, a wychyliwszy głowę, czekał, jak człowiek, który zapatrzywszy się w czarną otchłań nie może oderwać oczu od paraliżującego go widziadła. Wszyscy spojrzeli w tę stronę i każdy znieruchomiał, zamarł w ostatnim swym ruchu. Steroryzowani byli przez oczekiwanie, przez świadomość, że za chwilę ujrzą coś, co wyobraźnia ich przedstawiała sobie najokropniej. Byli oni jak ci widzowie w teatrze, którzy w wygodnych rozsiadszy się fotelach, drżą przed ostatnim aktem dramatu. Tajemnicze drżenie przeszło przez wrażliwsze serca kobiet, ciekawość ujęła w stalowe obręcze skupienia mózgi mężczyzn. Czekali. Na tle ponurej, ubogiej szopy, nieruchoma sylweta stojącego z latarnią dodawała grozy obrazowi. Zdawało się, że to jakieś święto umarłych, że żywi oczekują trwożnie duchów-widziadeł. Gdzieś obok otwarto, poruszono wielką, zbiorową mogiłę...

Zbliżały się jęki...

Irena uczepiła się kurczowo ramienia Zuli.

— Już... już...—szeptała.

Latarnia, wisząca u pułapu, zachwiała się, jakby od silnego prądu powietrza, zapiszczały, zazgrzytały zardzewiałe zawiasy wielkich podwoi pod naporem wchodzących.

Napężenie nerwów, uczucie lęku, grozy, skręcone niespodziewanym widokiem, wypaczyło się w śmiech, a raczej w karykaturę śmiechu. Do wnętrza wpełzło dwóch ludzi, obszarpanych, prawie nagich. Pierwszy szedł na czworakach, bo ranny był w krzyż, drugi włókł się bokiem po ziemi, niby wielka szara liszka. Za nimi ukazali się tacy, co skakali na jednej nodze, drugą unosząc w powietrzu. Inny jeszcze twarz miał całą zbezkształconą, nabrzmiałą, jak jeden wrzód ohydny, i nic prawie nie widząc szedł jak ćma za światłem wyciągając przed siebie ręce chude i osmolone. Wszyscy razem wyglądali jak stado szaleńców. Z tego poszarpana odzież spadała, inny okrywał się w białą szmatę, tamten miał głowę okręconą kolorowym galganem, to znów błękitny szynel austrijacki naciągał—jedyną z pola walki zdobył. Postaci pokurczone, powykręcane, ruchy oszczędzające miejsc obolałych, twarze obłąkańców... Wyszczrzyli zęby białe, zdrowe, jak psy obite i okaleczone, które kąsać chcą ostatnim samoobrony wysiłkiem. Poruszali rozdętymi nozdrzami, wężąc zapach obły własnej krwi i wnetliwą woń kapuśniaku. Nieśli przed sobą ręce zdruzgotane, napuchłe, przypominające polcie nadgniętego mięsa w jatce żydowskiej. Muchy obsiadały rany i lepily się do nich. W samych głębinach rozdartych ciał poruszało się robactwo i łaskotało boleśnie. Zasypane ziemią strupy czynily wrażenie zgnilizny. Oczy śmiertelnie zmęczonych rzucały wokoło

spojrzenia nieprzytomne, obłąkane, szukające wypoczynku i pomocy. Na samym progu zwałił się ciężko wielki chłop o czarnej brodzie, typ rosyjskiego kacapa. Rzęzał w agonji, ciałem swym wejście zagradzał. Poskoczył ku niemu posługacz, zdrowsi towarzysze dopomogli kopnięciami nóg, i ciało olbrzyma wytoczono na zewnątrz, aby w baraku nie zajmowało miejsca tym, którzy jeszcze do życia mieli słuszne czy niesłuszne pretensye. Zgraja kulawych odsadzała się jedną nogą od ziemi i tak skacząc posuwała się w kierunku czarnych chlebów zdaleka już wyciągając ręce. Szyje naprężały się żarłocznie, z piersi jednego wydobył się głos podobny do wycia wygłodzonego wilka, który nocą pod ludzkie podchodzi sadyby. Skakało też dwóch razem, złączonych widocznie dla większej równowagi nierozzerwalnym braterskim uściskiem, obejmowali się ramionami ostrożnie, z pieczołowitością.

Zula nie powstrzymywała śmiechu.

— Witajcie żołnierze!.. witajcie bohaterzy!..— mówiła cynicznie.

— Armja, siła, potęga, obrona wielkiego państwa... i w cóż obrócić się może? Złe plany, złe obliczenia, omyłki wodzów lub zdrada jednego wystarczy, aby z tysięcy zdrowych i silnych istnień ludzkich nie pozostało nic zgoła prócz gnijących w ziemi szkieletów i obłąkanych bólem męczenników, kalek bezużytecznych.

— Ha, ha, ha...

Irena dostała również nerwowego, męczącego śmiechu; kurcze twarzy i spazm jakiś wewnętrzny bez możliwości wydobycia głosu. Do przytomności przywiódł ją dopiero ostry głos dyżurnego lekarza...

Ciężko rannych zaczęto wnosić na noszach i układano ich rzędem obok siebie na słomie. Zrobił się wkoło nich ruch graniczący z zamętem. Siestryce latały z basenami i kapuśniakiem równocześnie. Wlewały jedzenie nieraz przemocą i wprawnie obnażały ciało chcąc zadość uczynić najpilniejszym potrzebom. To ostatnie stało się rzeczywiście nagłym. Zewsząd odzywały się głosy: „moczytsa, moczytsa...” Pani Lola i pani miljonerowa splenęły mieszczańskim wstydem i odwróciły się dyskretnie. Cały ten „high life” patrzący ogarnęło pewne zażenowanie. Jedna tylko Zula energicznie wzięła się do roboty. Jakiemuś oficerowi z poturbowanym pęcherzem zakładała kateter. Dystygowane panie, pomimo, że były starannie odwrócone, jednak dostrzegły to niewiadomo jakim sposobem. Szmer oburzenia przeszedł między nimi, zaczęły sobie szeptać coś na ucho.

— Kto to?... kto to?... — zapytywano.

— Pani Orłowska.

— !!!

— Znana erotomanka — żartował mały doktor. Panowie uśmiechnęli się dwuznacznie, panie

zapałały jeszcze większym oburzeniem, bo w charakterze niewieścim leży na tym zwłaszcza punkcie wielka bezwzględność w stosunku do innych kobiet, a rozczulająca wyrozumiałość dla siebie samej.

Zula tymczasem nie podejrzewając nawet, że w chwili tak doniosłej wagi ona może być przedmiotem ogólnej uwagi i rozmowy, przeszła już do innego pacjenta i przygotowując go do opatrunku, porozkrywała całe ciało biedaka poszarpane w kilku miejscach.

Przeszła koło niej pani miljonerowa i tonem pełnym autorytetu zwróciła uwagę:

— Możeby pani zechciała trochę wziąć pod uwagę skromność i przyzwoitość...

Zula spojrzała zdziwiona. W pracowni malarzkiej tak przywykła do aktów, że nie mogła w tym dostrzec najmniejszej obrazy moralności, a w przystosowaniu do danych okoliczności wydało jej się to kołtuńską małością.

— Nie mam zamiaru oszczędzać pani wstydlivosti — odparła z pogardą — biorę jedynie pod uwagę potrzebę i użyteczność.

Do osoby tak bogatej pierwszy raz w podobny odezvano się sposób, uznała więc ona za stosowne pokazać swoją sponiewieraną wyższość narazie przez wyniosłe milczenie, a w przyszłości przez odpowiednie użycie swej władzy. Oburzonym spojrzeniem porozumiała się tylko z nadchodzącą panią Lolą, która musiała słyszeć odpowiedź Zuli.

— Niechno panie na drodze nie stoją — odezwał się zirytowanym głosem doktor dyżurny, śpieszący z opatrunkiem.

— A cóż pan nam każe robić? — zapytała z ironią pani Lola.

— Przedewszystkim obciąć do samej skóry te wyszlifowane paznokcie — bo to nie żaden raut i ręce muszą być do pracy, a nie do flirtu, a potem rozejrzeć się inteligientnie dokoła, zajęcia nie brak tutaj — to mówiąc doktor nachylił się nad chorym i sondował ranę, szukając kuli, a Zula, zgadując jego myśli podawała odpowiednie narzędzia.

— Ils s'entendent bien, les deux brutes — rzuciła Lola przez zęby i odeszły obie w stronę t. zw. bufetu rozdawać herbatę.

Zula wkrótce zaczęła robić opatrunki samodzielnie i dochodziła do coraz większej wprawy i śmiałości.

Irenie trudno było oswoić się z widokiem całego morza cierpień ludzkich, było wrażliwe serce, oczy mgłą zachodziły przy ranach cięższych, potokach krwi, ropie, gangrenie, pogruchotanych i na wierzch wychodzących kościach, ale nad tą tkliwą kobiecą wrażliwością górowała jednak chęć przyjscia z pomocą cierpiącym. Przezwycięzała się jak mogła. Cicha, spokojna, łagodna krążyła od jednego do drugiego, spełniała żądania, niosła ulgę. Kobięcym instynktem przeczuwała, co komu

potrzeba. Dość jej było jednego poruszenia warg, jednego spojrzenia. Ręce jej miały w sobie przedziwną delikatność, macierzyńską tkliwość, brakło im nieraz siły. Chłopy to wszystko były ciężkie, jak-żeby ich unieść mogły takie wątłe ramiona... Podsuwała pod głowę słomę brudną, wydeptaną—innej nie było. Podawała zgłodniałym razowiec kwaśny, prosili o chleb biały — nie było. Dygotał jeden z zimna w gorączce, aż zęby mu latały, błagał, by go okryć, ale czym? Sam chory podał projekt:

— Zobaczcie siostró, może tam jaki umarł, dajcie mi jego szynel.

Nie trzeba było szukać daleko, o parę ciał dalej leżał już trup o twarzy sinej, jak błoto, w której połyskiwały białka wywrócone i zęby w otwartych ustach. Mieli go właśnie wynosić na ten stos wspólny przed barakiem. Irena dopadła i prosiła posługaczy o palto.

— Niech pani bierze sama, my ta nie mamy czasu się bawić.

— Muszę — powiedziała sobie, jak i powtarzała dziś co chwila i nachyliwszy się pośpiesznie, jakby w obawie przed wszelkim wahaniem, dotknęła się trupa poraz pierwszy w życiu...

Zimno straszne, zimno pozażyciowe przeszło od jej palców aż do stóp i wróciwszy do głowy mrowiem ściągnęło czaszkę. Z ręki sztywnej jak kłoda z trudem ściągała rękaw, wydało jej się, że trup bezwładem broni się temu pośmiertnemu rabunko-

wi. Obejrzała się za posługaczami, czy jej nie pomogą i tuż obok w ciemniejszym kącie ujrzała rzecz straszną. Jeden z posługaczy, żołnierz, rosjanin, nachylał się nad konającym i jedną ręką usiłował zamknąć mu jeszcze ruchliwe powieki, a drugą zanurzał kolejno we wszystkich kieszeniach umierającego, który na tę przedwczesną operację odpowiadał cichym, żalonym rżeniem. Wszystka krew uderzyła Irenie do głowy, głosem drżącym od oburzenia zawołała: „precz — złodzieju!”

Ale żołnierz spojrział obojętnie i spokojnie, kończył swoją rewizję mówiąc.

— Nie gniewajcie się siostryca, u nas to takie koleżeństwo, wot wy takóž zabieracie szynel dla żywego. Tamtemu potrzeba szynela, a mnie pieniądze, to umarły mnie oddaje, po co jemu? Jutro ja umrę, to znów oddam innemu. U nas testamentu nie trzeba, kolega oddaje koledze...

Irena nie próbowała dysputować... kolega — koledze, towarzysz — towarzyszowi, człowiek — człowiekowi... może to i racja większa, moralniejsza, niż ta, która każe wyrzec się po to, aby ukradł ten, któremu mniej potrzeba... Smutnie zamyślona odeszła z szynelem. Odtąd szło jej to już sprawniej. Gdy potrzeba było jakiej części garderoby, biegła wprost poza barak do onego stosu trupów. Spotykała tam Zulę, która po opatrunkach wciąż koszul potrzebowała. Widziała z jaką energją ta ostatnia ogałacała nieboszczyków. Brała ich na ręce i roz-

bierała, jak manekiny, nagich odrzucała na jedno miejsce, upadali głucho na innych. Wyraz twarzy Zuli przy tej robocie był straszliwie stępiały, wyglądała, jakby w żółtej karnawałowej masce. Pewien grymas pogardy i smutku, który był jej właściwy i wyrażał się charakterystycznymi linjami koło ust teraz spotęgował się aż do śmieszności. Wogóle pewna karykaturalność jej twarzy zarysowała się mocniej; czyniła wrażenie kłowna, który dlatego jest smutny, żeby wszystkich rozśmieszyć, a dlatego się śmieje, żeby głębsze poruszyć struny, ale w gruncie rzeczy jest mu wszystko obojętne... Oczy Zuli przybierały swój wyraz stallowy, nieubłagany, chwilami jednak patrząc na trupy, powracały do tej naiwno-dziecinnej ekspresji, zdawało się jej wówczas, że jest tą małą dziewczynką, która bawi się lalkami i próbowała przemawiać do nich z macierzyńską pieśczołliwością:

— Daj rączkę, mój maleńki, bądź grzeczny, daj się ubrać...

— No, czemuż tak patrzysz nieruchomo na mamusię, uśmiechaj się — zamknij buzię, nieładnie tak trzymać otwartą...

— Zamknij synku oczki i śpij spokojnie...

— A a a... kotki dwa... — nuciła odchodząc.

A Irena bliska płaczu, z sercem w strzępy starganym, z twarzą kurczowo wykrzywioną błagała:

— Dość już, dość już tego... pani Zulo, li-
tości!!

Z całą powagą zabierała się Zula do nowego opatrunku. Delikwent leżał na brzuchu. Ranę postrzałową miał w tyle (częstą u rosyjskich żołnierzy) w ten sposób zadaną, że zanieczyszczał ją kał w kiszce odchodowej. Trzeba było to wszystko jaknajstaranniej oczyścić. Woń rozchodziła się tak przykra, że przechodzące panie zatykały sobie noski uperfumowanymi chusteczkami.

Zaledwie Zula skończyła swoją funkcję, gdy napływać zaczęli ranni austrijacy, których na sam koniec pozostawiono. Szopa była już tak naphana, że nie mieli miejsca leżeć, ale siedzieli pokurczeni, nie śmiąc prosić o cokolwiek, w niepewności, czy wogóle zechcą ich zaliczyć do potrzebujących ratunku. Nie omylili się zbyttnio, nikt do nich nie podchodził, wszyscy zajęci byli rosyjskimi żołnierzami. Jedna Zula ogarnawszy wnet sytuację, postanowiła im wyłącznie się poświęcić i pociągnęła za sobą Irenę. Przywitały ich ponure, nieufne spojrzenia, jeden nawet nie dał do siebie przystąpić, w obawie, aby mu nie zaszkadzono. Byli niemcy, czesi, węgry, ale większość polaków. Biedak jeden wył z bólu, głową bił o ścianę, a rękoma chwycił się za międzykrocze, miał bowiem ranę ze wszystkich najboleśniejszą. Dobijcie mnie, uduście! — błagał towarzyszy.

— Zastrzyknij mu morfinę — komenderowa-

ła Zula, sama zaś dojrzawszy u jednego posuniętą gangrenę zaprowadziła go ku ławie operacyjnej, gdzie długim ogonem czekali nieszczęśnicy swej kolejki. Skazaną na odjęcie rękę czy nogę, opierano na onej ławie bez wszelkich ceremonji i odcinano jednym zamachem ostrego narzędzia. Co chwila podnosił się też ryk nieludzki, wstrząsał całą szopą i jak nagle powstał, tak zamierał w milczeniu lub skomlaniu żalonym. Na ławę szedł nowy z kolei. Poprowadzili się tam i owi dwaj żołdaci nierozwalnym połączeni uściskiem. Siadł jeden i nogę zbezkształconą wyciągnął pod gilotynę, towarzysząc troskliwie go podtrzymywał nie puszczać i płakał przy amputacji, chociaż sam delikwent ani pisnął.

— Wy bracia? — zagadnęła siostra.

Spojrzał na nią, jakby się dziwiąc głupiemu zapytaniu i dopiero po dobrej chwili odparł:

— Pewno, że bracia. —

W chwili, gdy Zula podprowadziła rannego austryjaka, przeszło ją ostre spojrzenie Bijakowskiego.

— Ten może poczekać, najpierw naszych — zawyrokował.

— Przeciwnie panie, ten chory czekać nie może, to są ostatnie chwile możliwego ratunku.

— Pani mi uwag niech nie robi, wiem, co mam czynić.

— Jeżeli pan odmawia spełnienia lekarskiego obowiązku, uczyni to kto inny — ja nie ustąpię, tu chodzi o życie ludzkie.

— Ta zabawa może się smutnie skończyć, ratuje pani niby jednego, a naraża tysiące, zamknąć każą barak, o ile będzie miejscem do manifestowania austrofiłskich, niemądrych sympatji — dodał zciszoną głosem.

— Sługa moskiewski — rzuciła Zula przez zęby.

Austryjak tymczasem, jakgdyby przeczuwając, czy rozumiejąc o co chodzi z rezygnacją usuwał się na bok. Twarz miał niezmiernie smutną, ale spokojną. Oparł się o ścianę ociężałym ruchem człowieka, któremu braknie sił, wydobył zgniecioną kopertę i podał ją Zuli.

— List do moich maleńkich dzieci — rzekł po niemiecku. Zulę ogarnęła pasja, przedarła się do dyżurnego doktora i oddawszy mu w ręce chorego sama pomagała przy operacji.

Irena również nie ustawała w pracy. Liczyła puls, mierzyła temperaturę, robiła okłady, cucila zemdlonych, zastrzykiwała rozczyn soli, morfinę, kamforę, dawała narkotyki, nastawiała przy pomocy felczera złamane nogi i brała je w łupki lub w zmoczoną tekturę. Konieczność uczyła ją śmiałości, której byłąby się nigdy po sobie nie spodziewała. Zauważyła, że słowa pociechy, czy tkliwości pozostawały nietylko bez echa w twardych

żołnierskich sercach, ale nawet były wyśmiewane przez rosyjskiego czy polskiego chłopca nieprzywykłego, aby się nad nim kto rozczulał. Tu potrzeba było jedynie niesienia doraźnej, jak najskuteczniejszej pomocy, to budziło zaufanie. Inteligentów spotykało się więcej między austryjakami. Gdy ci ostatni napłynęli do szopy, Zula przejrzała ich baczny okiem, chcąc sprawdzić, czy między nimi niema jakiego polskiego strzelca. Nie wiedziała jednak dobrze, czym różni się ich umundurowanie. Podobno czapki inne, t. zw. „maciejówki”, szukała więc wzrokiem czapek, ale przyszło jej na myśl, że skoro strzelców wziętych do niewoli rosjanie mieli rozstrzeliwać jako buntowników, to niezawodnie każdy z nich usiłuje ukryć i niszczy wszelkie wyróżniające go oznaki. Łudziła się, że może odgadnie po twarzy, po bohaterskim wyrazie, oczach zapalnych, czołach szlachetnych... wiedziała, że większość, to chłopcy wiośniani, jeszcze nawet niepełnoletni... czyżby jednak który wyznał jej swoją słodką tajemnicę... Czyż ci, którzy zetknęli się ze zdradą polskiego chłopca, a przeważną nieprzychylnością polskich w Królestwie dworów, ci, których musiały dojść wieści o moskalofilskich dążnościach i propagandzie narodowej demokracji, ci, którzy musieli słyszeć o ufności narodu do obietnic Wielkiego Wodza, czyż mogli oni jeszcze spodziewać się życzliwości wśród tego swego społeczeństwa?

Młody żołnierz, może lat dwudziestu paru siedział oparty o ścianę i łkał głośno, sino-błękitny mundur jego połachany był, jak odzienie żebraka, ale ręce miał kształtne, pańskie, twarz inteligentną.

— Gdzie ranny? — pytała Irena.

Odpowiedzią był jej szloch jeszcze gwałtowniejszy, wśród którego powtarzał się jeden tylko wyraz: „mamo! mamo!” W wołaniu tym była straszliwa skarga dziecka, które w tej chwili zapomina, że jest żołnierzem i dorosłym człowiekiem, ale czując się synem jedynie, żali się tej nieobecnej, która macierzyńskim sercem przeczuwa nieszczęście i gdzieś daleko targana jest okrutną bezradnością. Bezgraniczna tęsknota jest ich ostatnim pożegnaniem. On boi się śmierci, chce by najbliższe serce dodało mu otuchy, chce wyzyskać iskierkę nadziei w oczach kochanych, chce by go pielęgnowały ręce najczulsze... Nie... już nigdy... nigdy...

— Mamo... mamo...

Na dźwięk tego słowa poruszyło się nieruchome spojrzenie leżącego obok. Był to człowiek już starszy, z silnym zarostem, głowę miał nadłupaną i mózg na wierzchu, oprócz tego kilka ran pomniejszych. Wzrok tępo w jeden punkt utkwiony zmiękł, zciepłał, cichym rozrzewnieniem, wargi poruszyły się bezdźwięcznie. Może ostatnia, przedśmiertna świadomość zwróciła się do tej, co kie-

dyś na świat go wydając, marzyła, by szczęśliw żył długie lata.

Nieopatrznie rzucone słowo: „matka” ludziom-półtrupom wionęło w serca i w tę noc straszliwą stanęło u barłogów cierpienia, niby słodka, anielska wizja.

Żołnierzyk wciąż szlochał.

Chłop z pod Tarnowa, tęgi blondyn, stękał głucho, jednostajnie wyrzekając:

— Po co to wszystko?... ludzi mordują... serca im wrywają... po co to? Na co?

— Nie wstyd ci się mazgaić — upominał inny towarzysz żołnierzyka. — Umrzesz, to umrzesz, nie ty pierwszy, nie ty ostatni... ale nasi zwyciężą!

— Cóż prędko przyjdziecie do Kielc? — zagadnęła go Zula cicho.

— Jutro — pojutrze — mówił z zapalem. — a pani wie, gdzie my jesteśmy? o cztery wiorsty stąd... o cztery wiorsty — powtarzał z naciskiem.

Irena zawołała Zulę do oficera austrijackiego, który mówił wyłącznie po niemiecku i zrozumieć nie mogła, czego żąda. Poprowadziła ją w odleglejszy kąt, gdzie chcąc się przedostać między leżącymi, trzeba było przejść przez kałużę krwi, tak, że buciki im przemokły i do pończoch się lepily.

Oficer leżał sztywno ze zdrętwiałymi członkami i szyją naprężoną, szczęki miał zaciśnięte tak, że mówił z trudem i ledwo go można było zro-

zumieć. Oczy miał śmiertelnie wystraszone, zdając sobie widocznie sprawę z tego, co się z nim dzieje. Zula spostrzegła odrazu, że był to tęzec, rana musiała zetknąć się z ziemią.

— Czego pan sobie życzy?—zapytała.

— Proszę mnie ratować, za wszelką cenę ratować, ja mam swoje pieniądze, zapłacę za wszystko, proszę mi sprowadzić najlepszych doktorów, ja muszę żyć nie dla siebie, ale dla niej... — mówił urywanymi zdaniem.

— Mogę zastrzyknąć panu surowicę.

— Tylko na litość boską prędzej... potym może być zapóźno... Ratujcie mnie... Pani jako kobieta zrozumie, odczuje... Ja mam narzeczoną... względem niej wielkie zobowiązania... widzi Pani, ja muszę żyć... ja nie mogę umierać...

Zula poszła po surowicę, z góry wiedząc, że tu już nic nie pomoże. Los jest nieubłagany.

Książd i pop krążyli między konającymi, eksponując na śmierć. Lampa u pułapu paliła się już słabiej. Ustała energia śmiertelnie znużonych sanitariuszy. Nastrój stawał się coraz bardziej grobowy, powietrze wprost trudne do oddychania.

Zula ani na chwilę nie ustawała w pracy, niezliczona ilość opatrunków była dziełem jej rąk, z zadowoleniem patrzyła, jak wokoło niej w miejsce ohydnych ran, bieliły się śnieżnej czystości bandaże, wiedziała, że pod nimi zaczną się odrodcze procesy gojenia. Czuła, że gdyby choć na chwilę spoczęła, nie

mogłaby już powrócić do tej sprężystości w udzielaniu pomocy, bo choć wielkie były jej siły fizyczne, to jednak nerwy tylko ustawicznym zajęciem utrzymywała w równowadze. Irena, jak dobry duch, cicho przesuwiała się od chorego na dysenterję do biedaka krwią zieloną wymiotującego, do innego, leżącego nieprzytomnie z zapaleniem mózgu, lub mającego przestrzelone płuca. Nie wyliczyć tych wszystkich nędz, którym ci ludzie podlegali.

Tu trzeba było obciąć kolejno wszystkie palce ręki słabo tylko na skórze się trzymające, tam śpieszyć do nieszczęśnika, który konał z pragnienia, a wlewana mu w usta woda wylaływała dziurą w przelyku.

— Ja — mówił chłopak o niebieskich oczach, słowianin — umrę w to święto Matki Boskiej, kiedy dzwonić będą na mszę św. Ja wiem... Wiedziałem, kiedym szedł na wojnę, śniła mi się Najświętsza Panienska...

Typowy rosyjski muzyk siedział z odkrytym brzuchem i z głupkowatym uśmiechem, łapał palcami kulę, która mu wędrowała pod skórą w okolicach pępka. Ci, którym kule z ran wyjmowali, chowali je sobie na pamiątkę.

Wśród tylu rannych jeden był tylko kozak. Zdaleka odróżnić go było można po czerwonych lampasach na szerokich spodniach. Leżał ciężko, nieprzytomnie, olbrzym o twarzy tej barbarzyńcy. Wrodzonym instynktem nienawiści omija-

ła go Irena i Zula, dla obu był on upostaciowaniem dzikości i okrucieństwa. Im, ofiarnym i poświęconym, które z równą starannością, choć z mniejszym uczuciem, pielęgnowały rosjanina i polaka, wydawało się, że nieść pomoc temu, który od czasów powstania pozostawał ucieleśnieniem nahałów w stosunku do polskiej ludzkości i był jej wiecznym, bezlitosnym postrachem, to znaczy to samo, co skrecać bicz na plecy rodaków. Irena pierwsza w poczuciu humanitarnego obowiązku zbliżyła się do kozaka. Ta twarz nieugięta, zezwierzęciała, silne szczęki pierwotnego człowieka, kolosalne bary siłacza, wszystko to budziło w niej lęk, połączony z odrazą. Jak zbliżyć się do tego człowieka, jak przemówić? Trzeba chyba specjalnego doboru słów bezwzględnych, grubych i twardych, jak natura tego dzikiego. Może śpi tylko i zbudziwszy się złorzeczyć będzie, że mu ta śmieszna, drobna i łagodna istota przerwała wypoczynek. Zdało się Irenie, że coś mówi, może jeść chce, lub pić, nachyliła się więc, by lepiej słyszeć żądanie.

Drgnęła cała twarz wątlej, nerwowej kobietki. Czyżby jej się zdawało? nie! słyszy wyraźnie, słyszy majaczenie ciche... majaczenie tak rzewne, jak powiew wśród stepowej trawy:

— Roż szumit...

Przykłęka koło niego i zmartwiała cała w zdziwieniu i zasłuchaniu. Tak żegnał się kozak z życiem! Kołysały go pola, najcudniejsza, najsubtelniejsza

pieśń na świecie... poszum zbóż zaszedł aż tak głęboko w jego duszę. Ziemia... ta bezkresna, w świetlanej aureoli horyzontów ziemia-rodzicielka, chlebem swym karmiąca, ma mowę swą dla wszystkich, dla wszystkich oczu cuda swe otwiera i każdy dla niej równy. Ona nie sądzi, ona tylko daje. Kozak też był jej dzieckiem. Umierał. Nie było dlań ludzkiego serca. Serce ziemi pozostało mu wierne. Konając, uśmiechał się do łąnów srebrzystych.

— Żyto szumi... żyto szumi... — powtarzała Irena i szlochała cicho wszystkimi niewyplakаныmi łzami tej nocy.

* * *

Już świtało. Nowi sanitariusze napłynęli, a ci spracowani powracali do domów. Zula nie żegnała się z nikim, rozpięła ją coś w piersiach, na pokrwawiony fartuch narzuciła palto i wybiegła przed barak. Ujrawszy wojskowy samochód, skierowała się wprost ku niemu i z wielką pewnością siebie wydała szoferowi rozkaz, by wiozł ją pod wskazanym adresem. Ten, myśląc, że ma do czynienia z jakąś damą rosyjską z t. zw. kaufmanowskiego oddziału Czerwonego Krzyża, w jednej chwili zakręcił motor i ruszyli.

Pęd powietrza oświeżał rozgorączkowaną twarz Zuli. Poranek wstawał trwożny, nieśmiały, mglisty; dłonią delikatną, ostrożną, zdejmował mroki z miasta. Ucichły straszliwe gardziele ar-

matnie, jakby w obawie przed nowego dnia jasnością. Po niespokojnej groźnej nocy nadchodził odpoczynek. Czy spokój ten niespodziewany miał być zapowiedzią większych zmian? Czy nadeszły jakieś wiadomości stamtąd, z pola bitwy? Ledwie przebudziwszy się pytać wszyscy będą: co się stało, co będzie dalej? W miejsce krwawych łun niebo zapala się liljowo-błękitną jutrzeńką.

Bruk tak był miejscami powyrywany przez armaty i jaszczyki, że jechać trzeba było wolno, oszczędzając opon i resorów. Na ulicach pustka była najzupełniejsza. Zula spostrzegła panią prezesową i mecenasa Bielskiego, jak szli razem pod rękę, przyciskając się niemal do siebie. Wyszli oni wcześniej, przed godziną dyżuru, aby być niespostrzeżonymi przez nikogo. Nadjeżdżający samochód stropił ich trochę, ale uspokoili się, spostrzeższy, że wojskowy, wgłębionej zaś w siedzeniu Zuli nie poznali. Zatrzymali się przed porządniejszym domem, rzucili poza siebie sprawdzające spojrzenia i pan, wyjąwszy z kieszeni klucz od zatrasku otworzył i pchnął drzwi, puszczając Lolę przed sobą, sam za nią pośpiesznym wśliznął się ruchem.

— Kochają się — pomyślała Zula, nie widząc w tym nic złego — ale — krytykowała — czemu nie robią tego jawnie, czemu się ukrywają? Pani powinna wyznać mężowi, rozwieść się z nim i żyć swobodnie, legalnie, z tym, którego woli, który jej więcej odpowiada.

Przejeżdżali kolo szpitala miejskiego, zatrzymały ich na chwilę wozy, wyczekujące z rannymi. Z przybytku cierpień o szarych smutnych ścianach szedł nastrój tego, co wewnątrz dzieć się musiało. Dzwon odezwał się wolno, poważnie, z wieży kaplicznej. Kwiaty w małym dla rekonwalescentów ogródku podnosiły zaroszone głowy. Na trawie gazoniku zapaliły się lzy, w krzakach zbudzone zaświegotały wróble. Ręce jakieś troskliwe otwierały okna w salach, na umęczone czoła wpuszczając powiew poranku... Z ulgą odetchnęły zasepio-
ne mury, że noc udreki minęła. Z drzwi wybiegła sanitariuszka młoda, smukła, o twarzy wymęczonej czuwaniem, oczach od bezsenności czerwonych. Zbliżyła się do pierwszego wozu i pomagała zejść rannemu, ale ten zachwiał się i usunął w jej ramiona. Uniosła go nadludzkim wysiłkiem, przyczym rozwiązał się jej węzeł włosów i ruda fala popłynęła plecami. Słońce świetlane palce swych pierwszych promieni zanurzyło z lubością w tę żywą kaskadę krwi i miedzi, pieściło miłośnie głowę poświęcającą się młodości. Po tym najpierwszym najczulszym powitaniu blaski stopniowo rozchodziły się wszędzie. Rosło, ogromniało światło. Sanitariuszka odwróciła głowę w jasność nadchodzącą, obie kobiety tym samym duszy instynktem spojrzały ku budzącemu się słońcu. Obejrżeli się w tym kierunku i ranni z wozów. Z okien szpitala poczęli wyglądać chorzy, beznadziejni, smutni...

Wszyscy patrzyli, a w źrenicach ich migotały prze-
różne serca odczucia: marzenie, tęsknota, otucha,
nadzieja, pragnienia...

Największy cud wszechświata, gieneza jego
życia i piękna, słońce, ukazywało się na dalekim
horyzoncie i płynęło cicho po niedościgłych wyży-
nach wśród nieba stref przejrzystych.

Stała Zula na samochodzie, wyciągnęła rę-
ce do odwiecznego bóstwa i zawołała głosem pełnym
głębokiego brzmienia: „Zwycięstwa!”

Była pewna, że wezwanie to powtórzyły za
nią wszystkie serca.

* * *

Powróciwszy do mieszkania państwa N. za-
stała dom cały jeszcze uśpiony. Wsunęła się do swe-
go pokoju i próbowała także zasnąć. Próżno jednak
kręciła się na łóżku i wtulała w poduszki, sen nie
przychodził, a dręczyły wspomnienia i uludy. Z naj-
większą drobiazgowością widziała kolejno wszystkie
nocy tej opatrywane rany, wszystkie twarze wy-
krzywione cierpieniem. Słyszała wkoło siebie wciąż
jęki, czuła zaduch, miała wrażenie tego kurczowe-
go uścisku, którym przyciągnął ją do siebie jeden
z konających. W przerażeniu zeskakiwała z łóżka,
chcąc się oswobodzić z tych zimnych ramion tru-
pa, ale zdawało się jej znów, że brodzi w kałuży
krwi, że ręce jej w gnijące zapadają się ciało, że
na podłodze leżą stopy amputowanych nóg... Teraz

dopiero pojęła całą grozę swych ostatnich przeżyć. Ach, zasnąć! zasnąć! zapomnieć!... Zmęczenie rozchodziło się po ocieężałych członkach. Równe, monotonne, przedśmiertne rżenia utrwalone w słuchu miały ją ukołysać; już, już zamykała oczy, gdy wydało jej się, że przykłada usta do otwartej rany i zgangrenowaną krew wypija. Okropną lepkość poczuła na języku i w całych ustach, dławienie w gardle... Zakrztusiła się od tej ciepłej fali, zalewającej jej wnętrzności, skurcz obrzydzenia wstrząsnął żołądkiem i mdłości podchodziły do przelyku. Wróciła do świadomości, otworzyła szeroko oczy i siadła na łóżku... Śliny kwaśno-słone napływały jej do ust, dreszcz wstrząsał całym ciałem. Krew... krew... Zerwała się i otworzyła okno. Zapomnieć... za wszelką cenę zapomnieć... Popieścić się z kim... zacząłować w miłości, utopić krwawe widziadła, oderwać myśl, oszołomić, wrażliwość w inną skierować stronę. Ale nie... zawsze pozostanie to najsilniejsze... na całe... całe życie, nigdy nie zatrą się okropne obrazy. Krew... krew... lecz poco ja jej się boję, brzydzę? doprawdy poco? Krew soki życia. Krew—rubinowe źródło energii, siły, miłości, krew gorąca, pożarna, obiegająca ciało, sercu bratnia... Krew w szkarłatnych kropelkach, w falach przyplływających. Krew zapалу, krew ofiary, krew zmysłów.

Dreszcze, dreszcze utajone szły od tajników życia. Przymrużyły się płowe, dziecinne oczy Zu-

li, mgłą zaszyły, wydeły się jej wargi, bo oto poczuła w nich krew tę samą, krew napływającą. Ze słodką lubością wpiła zęby w usta i szkarłatna kropelka spłynęła jej po brodzie. Krew.... krew....

Zapukał ktoś do drzwi delikatnie...

„Proszę....”

Weszła pani Zofja w ślicznym różowym szlafrocuku. Była wyspana, wypoczęta, świeża, z buzią kolorową. Czarny warkocz spleciony był z miękkimi wstążkami jedwabiu. Oczy zielone, koloru morza, patrzyły ciekawie i migwały iskierkami wrodzonej wesołości. Szlafrok miał kołnierz koronkowy, spięty był broszką, odsłaniał szyję delikatną i dekolt gładki, równy, bez kości. Zapach perfum szedł wraz z jej krokami. Nie była ładna, ale pełna kobiecego powabu, zalotności i interesująca. W rozdętych nozdrzach i wykroju ust było dużo zmysłowości tej rozbudzonej i drażnionej przez pierwsze lata małżeństwa. Był to specjalny wyraz młodej żonki, bardzo kochającej i jeszcze zaślepionej, okropnie lubiącej spać razem z „mężusiem”, mogącej się całować do nieskończoności i jeszcze nierozumiejącej, że są inni mężczyźni na świecie.

„Pani nie śpi? przyszłam się dowiedzieć co słychać — jakże tam było na stacji!”

Zula była nawpół rozebrana, w spódnicy, pomiętej matince, z włosami poplątanymi i rozrzuconymi w nieładzie, niby grzywa młodego konia.

Spojrzała na wchodzącą i nie odpowiadając na pytanie rzekła:

„Zosia jest śliczna”...

„Tak nieprzywykłam do komplementów” odparła ze skromnością.

„Siądź Zosiu tu koło mnie blisko — bliżusieńko. Mnie jest tak źle... tylu strasznych napastryłam się rzeczy.....

„Dużo było rannych?”

„Oj bardzo dużo. A lepiej teraz o tem nie mówmy. Opowiem Ci kiedyś, gdy pierwsze miną wrażenia....

„Bardzo pani zdenerwowana?”

Zula patrzyła na Zofję długo, jakby chcąc ją do głębi przeniknąć, poznać. Widać było, że absorbuje ją coś więcej, coś innego; ostatniego zapytania — jak gdyby wcale nie słyszała. Wolno, z pewną nieśmiałością zaczęła rozplatać warkocz Zofji, rzuciła krucze włosy i układała je w miękkie fale, drapowała niby płaszcz, gładziła dłonią.

* * *

Cały dzień Zula była smutna i jeść nie chciała; nad wieczorem podążyła do biura „Komitetu obywatelskiego” gdzie miała dostać legitymację stałą, jako sanitariuszka. Nocy tej znów wybierała się do baraku. Idąc spotkała Irenę, ta pierwsza do niej podeszła z wyrzutem: „Nie pożegnała się Pani nawet ze mną dziś rano”.

„Nie mogłam”

„Niech mi Pani powie jedną rzecz... czy pani nie wie komu asystuje pan Bielski, czy pani prezesowej, czy pani milionerowej? — znów przed chwilą widziałam go z obu paniami? A na stacji widziała go Pani? —

— Czy Panią to doprawdy interesuje? Czyż to nie wszystko jedno?

Weszły do biura. Siedziała tam pani Lola, ale tym razem z prezesem. Śmiałym wyniosłym spojrzeniem zmierzyła Zulę, nie przypuszczając, że zna ona jej tajemnicę.

„Przychodzę prosić o moją kartę legitymacyjną”

„Żałuję bardzo ale dać jej pani nie mogę” odparł prezes.

„Dlaczego?”

„Wszystkie miejsca sanitariuszek zajęte, jest ich aż zbyt wiele”.

„Brakło ich jednak wczoraj”. odparła Zula złośliwie, zaczynając się już domyślać o co chodzi.

„Doktór dyżurny sam je sobie wybrał na dzisiaj, ja tu nic nie mogę”—kłamał prezes niezręcznie, mimo znaków dawanych mu przez żonę.

„Doktór dyżurny dziękował mi za pomoc i powiedział, że mianuje mnie sobie stałą asystentką”.

„Jakieś nieporozumienie...” bąknął zmieszany. W tej chwili pojawiła się i pani milionerowa.

„Musimy pani stanowczo odmówić legitymacji”, potwierdziła z wyższością, rada, że może się zemścić za wczorajsze zlekceważenie.

— Chcę jednak wiedzieć dlaczego?

— Pan Bijakowski mówił, że pani naraża organizację — wtrąciła Lola, — ale umilkła znów pod srogim spojrzeniem prezesa, który uważał, że nie należy demaskować taktyki swego stronnictwa.

— Wszystko jedno, musiała pani być za mało użyteczna, chyba nie jestem obowiązany do tak długich wytłumaczeń!

— Być może... za mało użyteczna... — powtórzyła Zula ze swym smutnym uśmiechem. — A pani — zwróciła się do prezesowej — czy będzie dziś w baraku?

— Oczywiście — odparła chłodno.

— To proszę łaskawie uprzedzić dyżurnego doktora, aby mię nie czekał... Do widzenia.

Zuli nawet nie przyszło na myśl, że mogła się zemścić straszliwie na dwojgu ludziach, którzy ją odsądzili od prawa wspomagania cierpiących. Jedno słowo wystarczało do odsłonięcia tajemnicy, jej tylko znanej, nie przyszło to jej nawet na myśl... odchodziła niepomszczona i bardzo smutna.

Na ulicach panował względny spokój — roznoszono nadzwyczajny dodatek. Zula kupiła i czytała: „Wielka klęska austryjaków! Niebezpieczeństwo minęło! Wojska nasze posunęły się naprzód!

i t. d. i t. d. A więc stracone! Boże, Boże... tyle pogrzebanych nadziei... Dusza załkała zawodem...

W domu pani Zofja powitała Zulę jeszcze bardziej drwiącym uśmiechem. Było już po kolacji. Zula siadła sama do stołu.

— W tych dniach pewno wrócę na wieś—rzekła.

— A właśnie mój mąż mówił, że... pokoju Pani będzie potrzebował na kancelarję, nadal więc nie możemy służyć pani gościnią.

— Ach... tak.

— Już widzę, nie będzie pani pracować na stacji?

— Tak... nie będę.

— Był tu u mnie doktor Lipiński, ten mały doktorek, wie Pani — i mówił mi, dłaczego.

? ? ?

— Podobno pani zdradzała słabość do nieprzyzwoitych opatrunków — wszyscy oburzeni...

— Ach więc i to jeszcze...

— Rozeszło się to po całym mieście.

— To jest nieprawda—odrzekła głosem zdławionym i prosiła: Zosiu, siądź tu przy mnie, nie odtrącajcie mnie tak wszyscy... siądź, bo nie będę jadła kolacji.

— To niech pani nie je — rzekła szorstko Zofja i odeszła. Zula łokcie na stole oparła, głowę na dłoniach i zapłakała cicho, rzewnie, głęboko...

H A L A. Ludzkości, ty rodzie Kaina!

Dziś sądzą Halę w Moskwie... Kto to jest Hala? To siostra takiej pani z Radomia, która w tej chwili obiera nieskończoną ilość gruszek na kompoty, a od czasu do czasu biegnie do sypialni, aby uspokoić płaczącego „Koteczka”. Hala, to siostra tej pani, a „Koteczek” to jej synek, tego ostatniego mamusia nazywa także „Lalą”, bo jest głupiutki jeszcze, a śliczny, najładniejszy i najrozkoszniejszy ze wszystkich dzieci na świecie. „Koteczek” czegoś dziś rozkapryszony, nie chce spać, rozkopuje kołderkę i krzyczy. Mama zaczyna się niecierpliwić, bo nie zdąży przygotować kompotów, które „Pipuś” (mąż mamy, a tym samym oczywiście tatuś Koteczka) tak lubi i ma na obiad dostać do skosztowania zamiast leguminy. Ciężkie teraz czasy, cukier podrożał i słodkie dania bywają tylko od wielkiego dzwonu, gdy trzeba przyjąć jakąś osobę, na której zależy, bądź bogatą, bądź sprytną, bądź dobrze postawioną, lub skoligaconą. Siostra Hali rozmyśla głęboko nad dzisiejszym obiadem, a niewieści jej umysł, niezmiernie pod względem

gospodarczym praktyczny, pracuje nad przystosowaniem do potraw jak najtańszych produktów spożywczych. Praca to umysłowa, w swoim rodzaju, podwojona w swej intensywności na skutek wojny. Historia, która notować będzie wypadki obecnej doby i wspominać o wysiłkach naszych niepowszednich jednostek w celu osiągnięcia maximum przyjacielskich stosunków z nieprzyjaciółmi, też sama historia zamilczy o bohaterstwie kobiet polskich, które za rubla dziennie potrafią poprowadzić obfitą i wykwinną kuchnię. I to w czasach, kiedy chleb dochodzi do 10 kop. za funt, a mięso na targu kupowane bywa drogą licytacji! Czyż ciche wysiłki siostry Hali w kierunku obiadowym nie są godniejsze uznania i owocniejsze od dążeń np. pana Jarońskiego posła do czterech dum, prowincjonalnego dyktatora partji? Zapytanie to spróbujemy spokojnie rozważyć:

Siostra Hali myśli, kombinuje, pracuje dla swej rodziny. Przy obiedzie obiera gorsze kęski, aby dla wszystkich starczyło; pan Jaroński działa i dysputuje dla swojej partji, ale spodziewany w przyszłości najlepszy kęsek — sobie obiecuje. Któż więc z tych dwojga zasługuje na większe uznanie?

Siostra Hali postępuje szczerze, bo dla nie-nagannej korzyści swej rodziny. Dla niej robi kompoty, czy też ekonomiczne ciasteczka. A pan Jaroński wraz ze swymi współkuchtami wypieka

w tajemnicy wielki tort z insygnjami monarszymi i namawia naród do wręczenia takowego bez skosztowania, ani przed ani potym; zapomina, że ciasto zazwyczaj szybko się starzeje i że sam monarcha powstydzi się taką zjełczołością poczęstować swoje przybrane dzieci i powie: „Kochani synowie, lukier jeszcze trochę świeży, możecie go zlizać”... Doprawdy, siostra Hali jest o wiele przeznniejsza, nie oddaje ona nigdy sukni do szycia tej szwaczce, która jej już raz kawałek materiału z kostjumu ukradła sobie na gietry. W tym wypadku nie powoduje się sercem, ale rozważą.

Notuję to wszystko mimochodem w tej myśli, aby podnieść na światło dzienne ciche zasługi siostry Hali, a że wybrałam ku temu metodę porównawczą, z konieczności jedna strona na tym zyskała, druga straciła.

Dla sprawiedliwości należy jeszcze zaznaczyć ujemną stronę charakteru pani, otóż jest nią zwykły zresztą u kobiet sentymentalizm, i tak w chwili bieżącej nie jest ona w stanie zwalczyć nasuwającej się myśli: „dziś sądzą Halę”. Jakże to się stało, że tej głupiej siostry nie wyrzuciła jeszcze całkowiec z pamięci? Zębatym nożykiem obiera gruszkę po gruszcze, myśli, jakby to przymówić się o masło krewnym ze wsi, skąd dostać chleba, skoro dziś zawartość wszystkich piekarni zarekwirowana jest przez wojsko, a jednocześnie jakiś odległy głos dzieciństwa szepcze jej: „dziś sądzą Halę...” To

dziwne, skoro przez pół roku, które siostra spędziła w więzieniu myślała o niej tak niewiele, wprost nie miała kiedy wśród zajęć domowych, zresztą uznawała, że na los swój zasłużyła. W dzień, kiedy przyszła wiadomość o złowieniu jej przez władze, wszelkie możliwe współczucie utonęło w oburzeniu. Zaaresztowanie bowiem skompromitowało jeden z najbogatszych na Litwie domów, gdzie Hala w charakterze gościa bawiła. „Pipus” z pogardą statecznego obywatela wyraził się o rozpalonej głowie, porywającej się z motyką na słońce i poradził żonie, aby natychmiast zdjęła wiszący w buduar-ku szkic głowy siostry, znajdujący się tam zresztą tylko dla pięknego profilu i ołówka znanego rysownika. Nie wypada, aby w solidnym domu narodowego demokrata wisiał portret bezrozumnej buntownicy. Pani Lila z właściwym sobie wdziękiem wykonała radę męża i zwinąwszy w rulon kompromitujący papier schowała głęboko. Od tej pory nie mówiono w domu o Hali. Kiedy ktoś ze znajomych zasiadł w salonie na empirowej kanapie, gdy w sposób kondolencyjny wspomniano o siostrze pani domu, wówczas ta ostatnia bagatelizowała niemiły ewenement wymownie niedbałym ruchem małej rasowej rączki.

— Oh, chère Madame, ce n'est rien, croyez moi, elle a bien merité son sort... Ale ten Łęski nieszczęśliwy, to jest rzecz nie do darowania, cierpi przez tę lekkomyślność, za przechowywanie

jej w swym domu; skazany na wyjazd w głąb Rosji, człowiek Bogu ducha winny, jak zresztą oni wszyscy na Litwie, rozumnie pojmujący sprawę narodową.....

....A tak, zdaje się, że pan Łęski należał nawet do tych, którzy swego czasu zamawiali nabożeństwo za nieodżałowanej pamięci Stołypina...

— Tego nie wiem, ale chère madame, w każdym razie człowiek bardzo szanowany, bogaty i taki skandal go spotkał, ja nie wiem, jak mu się na oczy pokażę.. jesteśmy oburzeni.. oburzeni... brak słów oburzenia dla tej warjatyki....

Siostra Hali drżała, aby sprawa ta nie nabrała rozgłosu i nie zaszkodziła karierze jej męża. Co się tyczy tej ostatniej, nie wiedziała ona wyraźnie, do czego zdąża „Pipuś”, jakie na przyszłość zakreśla plany, ale intuicją niewieścią czuła, że działa, że przygotowuje coś wielkiego i duma rosła w jej sercu, a pierwszy kielek takowej powstał w chwili, gdy mąż jej (z górą rok temu), przyłączył się do założycieli partyjnego „Klubu”. Od tej pory zaczęły się mgłą tajemnicy owiane narady klubowe, a pani geometrowa Drygalska nabierała wprawdy w wypowiedaniu mów. Zaiste, w braku Emilji Plater zjawiała się ta dzielna bojowniczką idei. W każdym razie trzeba przyznać, że o ile początki były niewyraźne, to z chwilą wybuchu wojny w „Klubie” usłyszeliśmy zupełnie wyraźne „Objawienie”. Mało wyraźne osobistości nabierały

żywego zabarwienia od tej jutrzni, którą powitały na Wschodzie jaśniejąca. Odtąd „Pipus” stanął w aureoli swej polityki i zaczął swe żmudne dla przyszłości wysiłki; jakie wydadzą one owoce, czas wykaże. To pewna jednak, że dawniej ludzie czynu wyrastali z tego co ich bolało i stąd spojrzenia na sztandar mieli zwrócone, dziś zaś powołanymi czują się dorobkiewiczze i sybaryci, czy więc jeden wyzwolony duch „Pipusia” zdoła czegoś dokonać? Jednak nie traćmy nadziei, choćby sądząc z tego angielskiego uśmiechu, jaki ten człowiek ma dla swych wrogów, to dowód wysokiego zmysłu politycznego. Dżentelmen z krwi i kości nie pokpi sprawy narodowej, bo kiedy zwrócą się do niego o nakreślenie granic jego kraju, on przez wysoką kurtuazję opuści granice wschodnie. Dżentelmen prawdziwy postąpi, jak Marja Antonina i narodowi swemu wchodzącemu na szafot każe jej słowami przeprosić nadeptanego na nogę kata: „pardon monsieur, j'espère, que je ne vous ai pas fait mal?”

Wierzmy więc razem z panią Lilą w zwycięstwo „Pipusia” i innych naszych „Pipusiów.” W coś przecież wierzyć trzeba, cieszymy się więc choć tą nadzieją, że niebawem wyższe urzędy obsadzone będą przez polaków—„Pipusiów”

Siostra Hali bezwzględnie zrobiła dobrą partję, tymbardziej więc dziwi się tej marnej części obranej przez siostrę. Czyż można porównać?

Przez ubiegłe dwa miesiące wojny ileż ona przeżyła wrażeń szczęśliwych, kiedy mąż zmęczony dysputami w cukierni wracał z radosną nowiną: „Austryjacy pobici—odepchnięci... Nasi się posuwają.. Nasi idą na Galicję... Nasi wzięli Lwów, wezmą Kraków”... W porywie radości brała wtedy siostra Hali syna na ręce i tańczyła z nim po pokoju śpiewając.

A Hala przez ten czas gnęła w więzieniu. Chorobliwa jej wyobraźnia przebywała w oddalonym obozie wśród szarobłękitnych mundurów. Nocami przeżywała całe bitwy, broniła sztandaru do upadłego, do ostatniej kropli krwi... Widziała obok siebie wszystkich swoich kolegów i towarzyszek spisku, widziała ich lot bohaterski poprzez zdobywane szanse... była z nimi i śniła zwycięstwo. Po przebudzeniu uderzała głową w mury więzienne i szarpała duszę tęsknotą nadludzką. A potym szmat gazety rosyjskiej dostawał jej się do rąk i obłąkane rozpaczą źrenice przywierały do wyroków śmierci wydawanych co raz nowym szmatom ziemi przez losy wojny. Wydawało się Hali, że gdyby ona tam była, nie dopuściłaby do tej hańby, że walczyłaby za milion i za milion zwyciężała, lecz wnet innym czucia odruchem śmiała się ze swojej i z Legjonu całego bezsilności. Widziała nie tylko wkoło siebie, ale zewsząd piętrzące się nieprzeparte, niezwyciężone mury więzienne. Krzyczała z rozpaczą, to znów kamieniała bólem, lub

rozplywała się w dziecinnie bezwładnych łzach. A dni za dniami płynęły, niby krzyżowa na Golgotę droga. Dochodziły ją raz wraz wieści o upadkach zda się beznadziejnych i znów zalegało milczenie złowrogie, zda się wiecznotrwałe, ale które jednak czegoś lepszego domyślać się pozwalało.

Hala przestała być człowiekiem, żył w niej duch jedynie i obcował z „Konradem”. Obojętny jej był dzień osobistego sądu, ona wyglądała i czekała wyroku dziejów, jedno jedyne pragnienie żyło w niej tak niepodzielnie, że własnego nie wyodrębniła istnienia. Rodzina jednak poczuła się do obowiązku wyszukania jej obrońcy, ona tego nie chciała, bo w danej chwili jakże śmieszną rzeczą była obrona człowieka! Znaleźli się jednak opiekunowie. Projekt obrony został przesłany do oceny mężowi pani Lili, „Pipusiowi”. Jako człowiek ukształcony, miał on umysł jasny i giętkość w nakłanianiu faktów, to też odrazu pojął jaką drogą może jedynie zbawić buntownicę. Rzecz bowiem ma się tak samo do jednostki, jak i do całego narodu. Okazywany dawniej brak zaufania należy wynagrodzić wrogom przez całkowite oddanie wiernopoddańcze, to ich ujmie i zjedna dla sprawy, a gdy zapytają o przyczynę metamorfozy odpowie się: „Zmiana sytuacji, zresztą przejrzelismy”..... Zatym Hala stawiona przed sąd, ma powiedzieć: „grzeszyłam, przyznaję ale dziś widzę jasno, że mylną drogą dążyłam do wyzwolen mego narodu, byłam w błędzie i żałuję, gdyż działalność moja

złe mogła pociągnąć skutki, upamiętały mię, wyprowadziły na światło wypadki obecnej doby. Odezwa Naczelnego Wodza otworzyła mi oczy i wdzięcznością dla Rosji napełniła serce. Wiem teraz, gdzie i w jakim przymierzu należy zbawienie ojczyzny, dziwię się długotrwałej ślepotcie ojców i dziadów naszych, potępiam z głębi duszy buntownicze intencje, pragnę służyć wiernie naszemu Monarsze i u stóp jego tronu składam wszelkie moje uczucia. Niech żyje Rosja, patronka i opiekunka Polski!”

To ma być credo Hali, tak jak i całego narodu w chwili obecnej. Akt ten oddania się *bez zastrzeżeń* zbawi ją i sprawę narodową zarówno.

Ale czy Hala zechce posłuchać rozumnej rady „Pipusia”? Wątpliwość tu zakrada się jednak w serce pali Lile i nęka ją, mimo wszystko w czasie nabożnej czynności obierania gruszek na zimowe kompoty.

Z zamyślenia wyrywa ją głośny płacz syna. Młoda latorośl narodowo-demokratycznego rodu stanowczo dziś spać nie chce. Mamusia bierze go na ręce i podchodzi do okna. Ulicą ciągną od rana wojska za wojskami. Od dwóch miesięcy snują się szare ponure pochody. Wieczny turkot wrósł w uszy mieszkańców. Jednostajny, głuchy tupot, drażniąca woń dziegciu— —to piechota. Ostre tępe uderzenia kopyt o bruk — to kawalerja. Gruchot ciężki powolny, miażdżący ziemię—to jaszczyki z amunicją lub nieco bardziej chrobot-

liwy— armaty. Leniwy, nieśmiały, ostrożny ruch kół z kamienia na kamień — to chłopskie wozy, zwykle przeładowane rannymi, rzadko wiozące furaze. Gburowate warczenie motoru — to wielkie samochody sanitarne, które trzęsą niemiłosiernie, obijając się bokami, robiąc wrażenie, jakby lada chwila zawartość swoją miały na bruk wysypać. Niekiedy wplącze się w to wszystko dożka z oficerami, której turkot prawie zagłuszony jest w ogólnej wrzawie, jak równie wiejskich powozów wiozących trwożliwych obywateli wraz z dobytkiem do miasta.

Tak trwa już to wszystko od dwóch miesięcy. Mieszkańcy z początku wylegający do okien i bram teraz przywykli, i otrzaskali się z tym wiecznym ulicznym tumultem. Nawet szybkobieżne samochody sztab wożące uwagi niczyjej nie zwracają prócz strategików wieczyście w cukierni narożnej obradujących. Ci wciąż walczą palcami na mapie i niepokoją się, czy „nasze” zwyciężają wojska. Poza tym życie wewnętrzne miasta nie uległo wielkim zmianom. Banki tylko nie wypłacają od czasu wypowiedzenia wojny, sąd jest nieczynny i podatki coraz nowe obciążają i tak niepełne kieszenie, Szkoły zorganizowały komplety, bo gmachy ich zajęte są przez szpitale. Ofiarność społeczna ma szerokie ujście bądź w niesieniu pomocy rannym, bądź głodnym i pracy pozbawionym robotnikom, bądź bezdomnym pogorzelncom wiosek okolicznych,

Przed chcącymi patrzeć, stoi żywy album grotge-rowskich rysunków, wstrząsających wojny obra-
zów. Przeżyliśmy pożogi, pobojowiska, rabunki
i żyć będziemy nadal wśród tego wszystkiego, nie-
wiadomy nam jest kres niszczycielskiego dzieła.
Widok natłoczonej żołnierstwem ulicy, to tylko
symbol wojny, znak wiecznie widomy, a treść
jego bezmiarem nieszczęść przeciążona zwłaszcza
dla tych, którzy w idących do boju masach rozpo-
znają twarze rodaków, lecz nie widzą ojczystego
sztandaru...

Przed oknami mieszkania siostry Hali prze-
ciągają kozacy, na cześć Rosji dzikie podnoszą gło-
sy, skłania się w ich rękę cały las pik. Prowadzi
ich oficer o twarzy w okrucieństwie skamieniałej,
ogorzałej, nieugiętej i roznamiętnionej krwi zapa-
chem. Stary już z niego wojak. Po polskim powsta-
niu, w którym, jako młody chłopiec brał udział,
przywiózł kilkaset zrabowanych złotych zegarków,
jako wojenne trofea. Pewnym wzrokiem wodzi
dokoła i spojrzenie jego trafia w okno, gdzie stoi
siostra Hali z synkiem.

— No, „Koteczku”, powiedz „pa” ofice-
rowi...

Rozkoszna dziecina przesyła niewymownie
wdzięczny ukłon drobniutką łapiną...

Mamusia jest zachwycona i całując pociechę,
zapomina, że „dziś sądzą Halę”.

ZMARTWYCHWSTANIE.

Mecenas wstał od wybornego obiadu, otarszy starannie wąsy, złożył na wypieszczonym ręku małżonki pocałunek poważny i pełen szacunku, następnie z uśmiechem, jaki miewają ojcowie dla jedynaczek, pochylił głowę ku córce, która z delikatną pieśczołliwością dotknęła wargami jego czoła; z synem, trzymającym się nieco na uboczu nie zamienił nawet spojrzenia — widocznie nie wchodziło to już w zakres domowego ceremonjału. Panie lekkim niewieścim krokiem oddaliły się do swych pokoi, mężczyźni obaj przeszli do salonu i ulokowali się w dwóch przeciwległych kątach. Mecenas zasiadł w fotelu. Fotel to był obszerny, kryty ciemną skórą, miękki i wygodny nieskończenie, nietylko dopasowany był do zewnętrznej postaci pana domu, ale wydawał się wprost stworzonym dla niego, jakby związanym raz na zawsze i nierozzerwalnie z istotą jego wewnętrznego życia. W tym fotelu mecenas od szeregu lat przywykł snuć plany, projekty i marzenia, tyjące się swej rodziny, jej dobrobytu i życiowych awansów.

W tym fotelu czytając dzienniki i paląc papierosy (później cygara) nauczył się mecenas „polityki”. W tym fotelu wreszcie zmęczony przyjmowaniem klientów drzemał z jedną ręką zaciśniętą na pugilaresie, a z drugą osuniętą bezwładnie na żołądek. W miarę, jak zużywała się skóra na fotelu, (w miejscach, gdzie stykała się z nieeteryczną postacią) wzrastało w mecenasie poczucie własnej godności. W ostatnich czasach jego pewność siebie wzmogła się niesłychanie, a przyczyną ku temu była podobno wojna. Rzecz to zupełnie prosta i naturalna, bo tak silne i do postaw wstrząsające kataklizmy dziejowe zwykle wysuwają z tłumu „silniejsze” indywidualności. Powtóre pan mecenas należał do stronnictwa, które było w możności zamanifestować swoje przekonania i tym samym dać się poznać ogółowi i ocenić należyście.

Owego dnia, owej poobiedniej godziny, kiedy nieomal przedstawiciel narodu zasiadł w wygodnym fotelu, z tego rozkosznie miękkiego węgłobienia snuły się powolnie i spokojnie jego obywatelskie myśli, a plotły się one z jego życiem rodzinnym i towarzyskim w misterne ogniwa. Umysł jego, praktyczny, nie tak dawno jeszcze zamykający się w domowych ścianach, teraz emanował coraz dalej i dalej w dziedzinie polityki. Myślało się przedtym, czy sąsiad nie zamurował w swej kamienicy okienka na wschód wychodzącego, dziś lęk

bierze, aby jaka nieproszona granica nie zamknęła horyzontu, przedewszystkim zaś nie zubożyła ekonomicznie. Dawniej on i ona zabiegali o stosunki nie tyle z ludźmi inteligentnymi i zacnymi, ile dobrze postawionymi, t. zw. zwycięzcami życiowymi — dziś rozszerza się to samo usiłowanie, ta sama aspiracja. Nie dziw, że tak po praktycznej drodze spokojnie równo biegną myśli i że nie zdołają ich wytrącić z równowagi nawet najbliższe, najświeższe przykłady.

Oczy mecenasa, duże, trochę szkliste i bezbarwne, przechadzają się po salonowym otoczeniu, po tych wszystkich niezliczonych przedmiotach, bez których zamożny inteligent wprost żyćby nie umiał, a więc po firankach, dywanach, gracikach przeróżnych... to wszystko jest jego... to wszystko jemu służy, jego bawi, to jest jego „domowe ognisko”. Każdy z tych przedmiotów, większy, czy mniejszy, bardziej, czy mniej użyteczny, kupiony jest za jego pieniądze i zużywa się służąc jemu i rodzinie. Powoli, powoli, dochodziło się do tego całego zasobu, do całego tego bogactwa, to też ceni się je, jako wartość największą, a jednocześnie marzy się i żyje po to, by mieć jeszcze i jeszcze.

Poza oknami tego ciepłego domu, pełnego wygody i dobrobytu, jest ulica, a na niej kamienie twarde i zimne, deptane dzień w dzień tysiącnymi stopami tłumu. Tak, tłumu, bo choć znamy

X. i Y., choć często te same spotykamy twarze i w oku naszym utrwalają się pewne pojedyncze postaci, to wiedząc, że ów jest doktorem, a ów subjektem, że ta całe dni szyje, a tamta pierze, wiedząc to wszystko, nic zgoła o nich nie wiemy. Nieświadomi zwłaszcza jesteśmy tego, co dzieje się w tej czy w tamtej duszy zwłaszcza teraz, a nie kiedyindziej, teraz, kiedy w narodach krzeszą się przedziwne iskry ducha, kiedy uszlachetnia i wzmacnia walka podjęta dla idei. Tłum szary, ulicami krążący, wydaje się bierny, codzienną zaprzątnięty biedą, błahymi ambicjami, ciasnym czuciem. Tych wszystkich pragnie wyręczyć pan mecenas, wygodny inteligent, praktycznie kombinujący.

Lecz w przeciwległym rogu tego samego salonu siedzi człowiek inny — to syn jego. Siedzi oparty przy mahoniowym stoliku i pochyla się nad starym albumem — własnością babki. Młodzieniec to jeszcze, wzrostem nadmiernie wybujały, szczupły, w piersiach nierozrośnięty, o twarzy ściągłej, rysach regularnych, pięknych owalnych oczach w ciemnej rzęs oprawie. Zewnętrznie cechuje go to samo, co ojca: elegancja ubioru, staranność uczesania, przytym ręce ma białe i wypieszczone, ale w twarzy jest tchnienie inne, w oczach myśl inna, w subtelnej linii ust cierpienie utajone. Z czułością przewraca on stare, pożółkłe karty, z których patrzą na niego twarze inne od tych spotykanych codziennie. Wszystko to są fotografie

przyjaciół i kolegów jego dziadka, towarzyszy jego doli wygnańczej. Czoła szlachetne, otwarte, szczerre, godności pełne, oczy śmiało w przestrzeń patrzące, daleko widzące. Postaci zrazu ogniste i stalowe, potem przygarbione wiekiem i próbami twardego losu, ale zawsze nacechowane hartem woli, głębokością ducha. A dziś? dziwna małość rozpasła się wśród ludzi i jakże tu żyć między nimi, w tym miękkim, wygodnym puchu, przy stołach zastawionych, gdy cała przeszłość czeka i patrzy, gdy ze starego babki albumu idzie i drga dawnych serc bicie.

Spojrzał Zdzisław na swego ojca, siedzącego w fotelu, i poznał, jak dalece, jak zupełnie człowiek ten mu jest obcy.

W sąsiednim buduarku dźwięczały głosy kilku pań, było to posiedzenie jakiegoś dobroczynnego komitetu. Matka rozprawiała tym samym bezbarwnym głosem, którym stalowała suknię, lub dysponowała obiadem kucharce. Wszakże czyniła dobrze z mody, czy z miłosierdzia, ale dobrze... ale on tej filantropji znieść nie mógł...

Przybył do ojca pan jakiś, gentelman nieskończenie wytworny i nie siadając nawet zamienił w pośpiechu zdań kilka.

Zdzisław usłyszał urywane słowa: „ważna osobistość... przywitanie na stacji... wspólny obiad... wobec zaciśnięcia bratnich węzłów... mowa odpowiednia danej chwili... i t. p.”... Wszystka krew

uderzyła mu do głowy, pohamował się, pięści zaciskając i gryząc wargi; po odejściu gościa spojrział ponuro na ojca, pytając urywanym od wzruszenia głosem:

— Ojciec pójdzie? — to było jego ostatnie wyzwanie. Mecenas podniósł na syna wzrok napół obojętny, a napół szyderczy:

— Co, może zechcesz mi towarzyszyć?

Zdzisław porwał się z miejsca ruchem człowieka, który obelgę posłyszawszy rzucić się chce, ale opanował się znów, bo ojca miał przed sobą, a głos swój do spokoju nagiąwszy odparł.

— Tak, ojczy, wyjdziemy razem, ale w dwie przeciwne strony...

— To, idź... niech cię życie nauczy cenić domowy spokój, który mi tu wciąż zatruwasz scenami...

— Niech mnie życie nauczy cenić domowy spokój?! — doprawdy ojczy w słowach tych straszliwe mieści się przekleństwo... nie przypuszczasz sam nawet, jak wielkie... przekleństwo, które może naród cały w mrokach pogrążyć... Ale nie, ono mnie nie dosięgnie przenigdy.

— Kto wie? — rzucił mecenas z ironją.

— Przenigdy — powtórzył Zdzisław z mocą i ogarnąwszy wzrokiem całe swe otoczenie poczuł, że są to wyschłe jałowe piaski pustyni, gdzie niema czymby się żywić, dziwić się zaczął dotychczasowemu życiu swemu, które płynęło wartkim pot-

kiem wśród tej czczości, i zapragnął całkowitego wyzwolenia.

Wbiegła siostra Zdzisława, panna młoda, ładna i rozkosznie zalotna. Szczęście i wesołość jej towarzyszyły, bo i czegoż brakować jej mogło. Miała narzeczonego, robiła świetną partję. Ślub będzie dopiero po wojnie, bo narzeczoney wstąpił do wojska „bić Niemców”. Oto teraz zwycięską swą szablę przesyła z Galicji do stóp ukochanej. Szabla jest mocno wyszczerbiona.

— Powiedz tatusiu, czy kiedy jaka panna dostała jak królewski podarek?

— Pewnie, że nie, pokaż, pokaż, kochanie!

* * *

Minęły miesiące od kiedy Zdzisław opuścił domowe ognisko. Dokąd poszedł, co czynił, nikt nie wiedział, imienia jego nie wymawiano w rodzinie, ojciec przed znajomymi sprytnie zatuszował to niemiłe wydarzenie i powoli, jak wszystko na świecie, tak i to szło w zapomnienie.

Nadeszły święta Wielkiej Nocy i jak corocznie przybyła z Litwy matka mecenasa, staruszka-babunia. Kochała ona jedyne wnuka, widząc w jego duchowej sylwetce żywy obraz męża swego. Widziała ona, jak w pacholeciu odzywały się te wszystkie pierwiastki, które zamarły w średnim pokoleniu, utonęły w zmaterializowaniu, sybarytyzmie i zacieśnieniu uczuć. Po pierwszych słowach

powitania zapytała o niego. Chciano oszczędzić jej bólu i, ukrywając prawdę, powiedziano, że wyjechał do znajomych. Serce jednak staruszki odgadywało... przeczuwało. Noc całą, nie śpiąc, z przeróżnymi biła się uczuciami. Tęskniła, drżała z niepokoju, błogosławiła... tak jak niegdyś z mężem, przeżywała powtórnie to dawne, to odległe, i tak, jak dawniej czuła, że tak, a nie inaczej być musi. Tak samo nieznanymi drogami za tularczem bezdomnym szła jej dusza—wierna niedoli towarzyszka. Ta tylko była różnica, że oczy przenikające dalej nie z młodej twarzy patrzyły, lecz z maski człowieczej zżółkłej zmarszczkami poornej. Wiedziała, że jeszcze raz przeżywać to będzie—choć syn jej był tak inny... ale utajone tlić muszą iskry pod twardą stagnacji i znieczulenia skorupą.

Wielkanoc, raniutko wstaje staruszka, do kościoła iść trzeba. Okno jej pokoju z parteru wprost na ulicę wychodzi. Stała chwilę i patrzy. Na trotuarach jeszcze pusto i cicho, niektóre za ledwie okna podniosły szare sztor powieki. Słońce podnosi się, oświetla coraz śmielej, niedługo rozbłyśnie w całej pełni.

Wtym pod przeciwległym murem idzie ktoś krokiem szybkim i w palto nędzne, wytarte wtula się przed chłodem poranku. Biedak to jakiś bezdomny, zmarznięte członki usiłuje rozprostować po nocy bez dachu spędzonej. Buty schodzone, czapczyzna na głowie wymięta. Taki, cò nie zna

miękkiej pościeli, ani zimnych mięs do śniadania w pierwsze święto. Zwolnił kroku, obejrzał się i oczy owalne, przepaściste, głębokie spojrzały na te właśnie okna na parterze, ot tak sobie, jak nędzarz patrzy na mieszkanie burżuja, bez zazdrości, o bynajmniej, tylko tak sobie z dołu do góry, ale może nawet z dumą. Kto wie, może z dumą.

Zadrżała babunia i o parapet okna się schwyła, a dłonią jak w febrze dygoczącą, ogarniała firankę, aby jeszcze widzieć.

— Babciu, mazurki świetnie się udały, jaki babcia woli, makaronikowy czy czekoladowy?— spytała wnuczka, wbiegając wesoło do pokoju.

Babcia, wciąż od okna nie mogąc się oderwać zdawała się kreślić krzyżyk za kimś odchodzącym, łzy spływały bruzdami po twarzy, a usta szeptały cicho: Zmartwychwstanie!

WE DWORZE.

(Fragmęnt z niedokończonej powieści).

Podano obiad. Przy ciemnym dębowym kredensie ciocia rozlewała zupę, którą Franciszek roznosił, a Halszka stojąc obok wścibskim swym noskiem próbowała zajrzeć do wazy, ale wysiłek ten okazał się ponad jej wzrost, więc zadawała się kontrolowaniem zawartości talerzy, aby w każdym z nich sprawiedliwie było po cztery francuskie kluski. Ciociu, ciociu, jeszcze jedna tu się należy — pilnowała bacznie — a dla mnie mogą być tylko dwie, bo ja jestem mniejsza — zawyrokowała w końcu, widząc, że ciocia sięga po ostatni talerz.

W przeciwległym rogu pokoju skupiła się gromadka gości. Byli to sami panowie, a wśród nich odbijała się tylko jedna jasna sylwetka kobieca i widać było, że to ona właśnie pobudza ogólne ożywienie — ponad niższymi głosami górował jej sopran i kaskada śmiechu głośnego, lecz dobrze wycieniowanego, objęła o ściany — w chwilę potem wtórował jej nieco spóźniony basowy śmiech męski w postaci dobrodusznego: he,

he, he; do osoby tej wrażenia słuchowe dolatywały zwykle nie odrazu, a zanim jeszcze spostrzegł żart, mijało chwil kilka, tak, że w towarzystwie zazwyczaj zmieniono już temat rozmowy, gdy on śmiał się jeszcze z uprzedniego — co jednak nie przeszkadzało panu Szczerbcowi bawić się doskonale, choć sam małowównym będąc, rzadko do rozmowy się mieszał. Zgoła inaczej śmiał się pan Bannicki, adwokat z pobliskiego gubernjalnego miasta, blondyn, modnie ubrany, o żółtawej powiędłej cerze, nie mający więcej nad trzydzieści kilka lat. Ten ostatni stał nieco na uboczu, o framugę okna lekko oparty i profilem ku reszcie osób zwrócony. Uderzającą cechą jego powierzchowności była niesłychana, drobiazgowo przesadna staranność w ubraniu, uczesaniu i ruchach. Z wzorową symetrią miał przeprowadzony rozdział we włosach; garnitur leżał na nim, jak na manekinie, każdy zaś ruch najwidoczniej był wystudjowany i utrzymany w tonie całej osoby. Czy zaś ton ten był naturalny, czy była to tylko artystycznie w jednolitości utrzymana poza, trudno było sądzić na pierwsze wejście, w każdym bądź razie sylwetka jego przedstawiała się wykwintnie a i umysł przy bliższym poznaniu nadspodziewanie okazywał się kulturalny. Na twarzy jego przeżycie wyraźne odbiło piętno. Salonowy uśmiech był jego stałą maską, wyraz gentlemana wrył mu się w fałdy skóry, oczy były pełne tych błysków, które w nich wi-

dzieć chciała najbliższa sąsiadka, słowa napozór lekceważące liczyły się jednak w istocie rzeczy z każdym, ucho sprytnie chwyciło nawet to, czego nie było, odpowiedzi powstawały tak kunsztownie, że sztuką mówienia nazywać się powinny, lecz w chwili, gdy czuł się przez nikogo niewidzianym, pozwalał sobie na zdjęcie z twarzy doskonałej powłoki i stawał się człowiekiem bardzo surowym, a tylko nerwowy tik w oku kurczył jak zwykle prawą część twarzy w sposób jakiś przykry, nieharmonijny.

Gdy wówczas takiego przykurzonego w sobie, zszarzałego nagle i postarzałego widocznie, spotkało niespodziewanie czyjeś spojrzenie, otrząsał się ruchem nagłym, przywoływał się momentalnie do porządku, jak złodziej złapany za rękę i już za chwilę w pełnym swym rynsztunku zdawał się zaprzeczać poprzedniej słabości. Okiem znawcy oglądał na butelkach etykiety win, a suknie na kobietach. Burgund pija się tylko ogrzany, kobieta musi być przedewszystkim ubrana do twarzy — dopiero drugorzędną rzeczą jest, gdzie się ubiera. O przygodach swych miłosnych Banicki nigdy nie nikomu nie mówił, zgoła nic o tym nie wiedzieli mężczyźni, z którymi żył najbliżej, wszakże że miał ich wiele nikt by nie zaprzeczył, ale potwierdzić takimi żywymi mniej lub więcej pięknymi dowodami nie podobna było nikomu. Obok więc przydomku „wersalczyka”, jaki nosił, dodawano

jeszcze „dyskretny”. Sztychy i stare meble zbierał namiętnie i z pewnym znawstwem, miłością do koni usiłowywał zdradzać nietyle sportsmana, co z kiwi ziemianina. Wogóle dążył do towarzystwa obywateli i, choć mieszkał w mieście, znał jednak przewybornie okoliczne dwory, ich piwnice, strychy (gdzie zawsze znalazł jakiś stary mahoń lub czeczotkę), stajnie, a czy i do niewieścich docierał tam komnat tego „dyskretny” nie zdradzał.

W Zaleścach bywał Banicki częstym gościem, był na „ty” z gospodarzem domu, panem Romanem Kownarem, którego nawzajem gościł, gdy tenże do miasta przyjeżdżał; wówczas to spędzali razem noce w kabarecie. Banicki, czując się par excellence u siebie stawiał szampana i czynił honory domu. Odkąd w Zaleścach bywać zaczęła pani Pela, coraz częściej zbierało się tam zwykle kółko sąsiadów — dla wszystkich bowiem ten dość nieposzedni typ kobiecy był pewnego rodzaju atrakcją; swobodne zachowanie się jej, oczywiście nie pozbawione kokieteryj, ale nacehowane jednocześnie miłą, bezceremonjalną kamaraderją, pociągało tych wszystkich, którzy głębiej zajrzeć nie umieli. O Banickim mówiono, że się w niej kocha — ale któryż to z nich nie wpadł w te czarowne sidelka! Osoba bowiem była rzeczywiście piękna, o postaci wybujałej, cienkich regularnych rysach i w turbanie złotych, a jak pela miękkich włosów; jedyny zarzut, jaki można było postawić jej fizyczności,

była to surowa, zacięta linja ust, która jednakże nikła, gdy takowe rozchylały się w uśmiechu. Mała miała w sobie naturalnej kokieterji, ale, gdy chciała, umiała być przemiłą i potrafiła nawet do pewnego stopnia zatrzeć pewną szorstkość, a już całkowicie ukryć złość, która potężnie nieraz wybuchiała w tym pięknym stworzeniu, ilekroć coś lub ktoś jej się sprzeciwił. Wogóle zasadniczą cechą tego typu kobiecego była zdobywczość ściśle egoistyczna — garnęła ku sobie to, co mieć chciała bezwzględnie. Na środki uwagi nie zwracała. Musiała królować i przewodzić i dlatego, aby nie doznać zawodów, lub nie spotkać się z silniejszą od siebie indywidualnością, wolała przebywać w towarzystwie ludzi niższych inteligencją od siebie, a wówczas czuła się u szczytu, bo na piedestale przez swych wielbicieli podsunęty.

Pani Pela była w tej chwili w bajecznym humorze. Opowiadała sąsiadom t. zw. „kawały”, t. j. różne drobne łajdactwa, które kto komu kiedy uczynił i zaśmiewała się strasznie, jednocześnie piła wódkę, którą częstował gospodarz domu, a czyniła to z wielką wprawą i lubością na sposób trochę jednak dorożkarski. Wyciągała kieliszek ponownie, i bez najmniejszych zastrzeżeń co do ilości, komunikowała kawał najkolosalniejszy, który zdarzył się w dalszym sąsiedztwie: właściciel hulaka, w złych interesach, z długami po uszy, woła żydka, aby mu dał 500 rb. Żyd nie chce. „Co

ty Mosiek myślisz, że ja już kredyt straciłem, co u licha! jak zechcę będę miał jutro dziesięć tysięcy!” „Wielmożny pan może mówić, ale i pięćdziesięciu rubli nie dostanie”. „Tak, to kładźmy na stół po dwadzieścia pięć rubli na zakład, że jutro będę miał, ile zechcę”. „Kładźmy”. Wydobywają pieniądze obaj, ale obywatel szybko żydowską dwudziestopięciorublowkę zagarnia, żyda za kołnierz i kolanem za drzwi! Ogólny śmiech, jak i przedtym, odpowiedział opowiadaniu, ale najgłośniej uradowana była sama pani Peli. Banicki, jak zwykle, śmiał się cicho, bez dźwięku, tylko twarzą. Siadano do obiadu, ciocia już oddawna nagliła, niepokojąc się, że rosół ostygnie. Pani Peli zajęła oczywiście miejsce honorowe, dalej lokowali się, jak kto chciał: Banicki, Kulesza (sąsiad najbliższy Zalesiec), Szczerbiec i gospodarz domu, wszyscy z widoczną inklinacją ku zajęciu miejsc koło pani Peli. Cioci nakrycie jeszcze było niezajęte, bo nagle przypomniała sobie, że przygotowane na stół owoce zostały w spiżarni, więc ulotniła się nieznamienicie, gdyż na nią tu najmniej zwracano uwagi wedle domowego zwyczaju spowodowanego jej brzydotą i ogólną niepozornością.

Szczerbiec zawiązując serwetę wkoło grubego, fałdzistego karku, zaczynał się dopiero na dobre śmiać z kawału i co chwila coś śmieszniejszego sobie przypominając do rozradowanego oblicza skierował drżącą od śmiechu rękę z łyżką, tak, że mu rosół

cały rozpryskiwał się po obrusie, a tylko pozostały kawałek kluski, jako część stalszą do ust podniósł, poczym na plamy poczynione zwykłym swym zwyczajem sól wysypawszy, zaczął się sumitować przed „ciocią” (tak ją ogólnie nazywano), która właśnie z owocami nadeszła i pośpiesznie jadła, a czyniła to w sposób mało estetyczny. Wogóle postać cici pozbawiona była wszelkiego uroku: rysy miała nadmiernie grube, usta brzydkie i zbyt wyraźnym okolone puszką, co częstym powodem ogólnej złośliwości bywało, postać cała była przy-sadzista, ręce krótkie a tłuściutkie, strój razil zawsze wielką niegustownością, widać nie dbała zgoła o „szmatki” i wdziewała na siebie to, co leżało pod ręką, nie bacząc, że w ten sposób bluzka bywała zwykle ciemniejsza od spódnicy, albo gryzła się z nią kolorem, przytym w naiwności swojej i nieznanomości czuła się zawsze dobrze ubraną.

Pani Pela z powstrzymanym uśmiechem obserwowała czerwone grochy na żółtym materjale i czarny żabot cici ze starej woalki sporządzony nakształt fantazyjnej kokardy, wreszcie zwróciła się do starej panny z poważnie udanym podziwem: „śliczną ma pani suknię, pozwolę sobie zapytać, gdzie robiona?”. Ciocia, nie zrozumiawszy ironji, przyjęła pochwałę w dobrej wierze i zarumieniła się nawet z wrodzonej skromności. Tymczasem oczy wszystkich zwróciły się na nią i z trudem tłumiona

wesołość wybuchnęła. Jedna tylko mała istotka na szarym końcu się nie śmiała, była to mała Halszka, która wzrokiem swym dziecięcym wszystko pilnie obserwowwała, a w tej chwili ściągnęła w chmurkę drobną twarzyczkę, do końca obiadu siedziała skrepowana, cicha i z ulgą w głosie zawołała, gdy kończono deser: „Ciociu, czy mogę wstać!”? — Wstań dziecko — odpowiedział jej głos łagodny i ciepłe oczy cioci pełne utajonych, a przez nikogo nieczytanych blasków, ogarnęły postać dziewczynki dygającej zdaleka pani Peli i podającej panom malutką rączkę, którą ci skwapliwie ściskali lub całowali. Pan Banicki zerwał się nawet z krzesła, Kulesza z rodzajem zadowolenia spojrział na ładną buzię, bo kilku synów mając, zawczasu już lubiał upatrywać dla nich przyszłe żony. Dla najstarszego faworyta, Włodzia, przeznaczył już w duszy Martę Kownarównę z Dębówki, stryjeczną siostrę Halszki, ognistą bruneteczkę. Jakby pod wpływem tym podobnych myśli, które snuły mu się wraz z kunsztownym wężykiem skórki obieranego jabłka, Kulesza zwrócił się do pana domu z zapytaniem: „Cóż to, sąsiedzie, brat wasz był dziś nie łaskaw, wszak zwykle niedziele razem spędzacie?”

— Tak jest — odparł Roman Kownar nie bez pewnej niechęci, że go o to pytają — brat mój jednak zdziwaczał, towarzystwa unika, odwiedza mnie najczęściej, gdy tylko sam jestem i to wpada

nie nadługo, bo gospodarstwo go całkowicie absorbuje i wychowanie córki.

To mówiąc głośno, w duchu jednak wspomniał pan Roman ostatnią bytność brata Jana i ostatnią z nim rozmowę. Wymknąwszy się z pośród wstających od stołu gości po cygara do czarnej kawy, przypomniał sobie słowa, któremi Jaś mu na dzisiejsze zaproszenie odpowiedział:

— Wybacz, kochany bracie, ale odwiedzić cię wolę kiedyindziej, nie chcę się narażać na spotkanie u ciebie z osobami, z których postępowaniem się nie zgadzam, lub którym zgoła ręki bym nie podał.

Na wspomnienie tych słów, niewiadomo czemu, uczuł pan Roman jakiś niemiły prąd krwi do głowy mu nabiegający, lecz była to tylko sekunda niemiłego wrażenia, nad którą wziął górę zdrowy szlachecki rozsądek i spryt życiowy, który, w przeciwieństwie do brata, kazał mu żyć ze wszystkimi, którzy przez t. zw. opinię publiczną przyjmowani byli, ze wszystkich wyciągać dla siebie odpowiednią korzyść, jeśli już nie ściśle materjalną, to choć tę osobistą, jaką daje wesołe spędzenie czasu w gronie sąsiadów. A czy ci sąsiedzi mają jakie skazki na sumieniu, czy nawet większe plamy, to nie jest jego rzeczą patrzeć na nie przez szkła powiększające. Zresztą, niechaj sobie żyje każdy w swej zagrodzie i w swym kraju, jak chce, taka tolerancja jest koniecznym warunkiem bytu — gdy-

byś chciał powstawać, moralizować, nawoływać, tożby ciebie albo zagryźli, jak obcego psa przybłądę, albo wprost tylko wyśmiali, i ty, niby lepszy, stałbyś się ostatnim z najostatniejszych, wyrz utkiem społeczeństwa niemal, ogół byłby przeciw tobie, ogół obrzuciłby cię błotem, kamieniami, czym kto chce i ty niepowołany reformator stałbyś samotnie obszarpany i opluty i wołanoby, jakim prawem otwierałeś usta, jakim prawem wyciągałeś ręce nie po zdobycz, ale po promienie, które w dłoniach stopiły ci się w krwawy pot duchowego przerażenia; w końcu może samemu przyszłoby ci uwierzyć, żeś złodziej i łajdak, boś chciał społeczeństwu swemu zamącić słodkie wywczasy, boś chciał mu z pod siedzenia wyciągnąć puchowe poduszki, boś chciał z twarzy poździerać te wyśmienite maski i pokazać czym są oni, ci ludzie w istocie, boś chciał zapytać, gdzie jest ich wartość okazując wyjętą z ich dusz kupę zgnilizny. Fe, to cuchnie, zawoła tłum — nie trzeba wydostawać na wierzch, lepiej jest tak, jak jest. Jakże pięknie, wygodnie, można sobie urządzić życie mając pieniądze, tak tego tylko trzeba koniecznie. I jak najwięcej stosunków z ludźmi bogatymi.

Niemądry, niepraktyczny ten Jaś — myśli Roman — on w ten sposób do niczego nigdy nie dojdzie. Trudno, człowiek potrzebuje ludzi, samemu żyć niepodobna, choć prawdą jest, że nikomu wierzyć nie należy i stać trzeba samemu na własnej

straży, by nie dać się wyzyskać, bo bliźni jak szakale wężą wzajem padlinę. A taką padliną innym na pożarcie wydana jest człowiek bez sprytu. Spryt, to największy rozum życiowy, to więcej niż instynkt samozachowawczy, to potęga zdobywczą, bez niej człowiek staje się niczym. Kto nie zdobywa, ten będzie zdobyty, stanu pośredniego niema, być nie może. Trzeba mieć we krwi zdolności pasorzyta, ale na to trzeba jeszcze jednej sztuki, której nauczyć się możemy przez prostą obserwację od przyrody: jest nią zdolność przystosowywania się do otoczenia, odpowiedniego zmieniania barw dla oszukania nieprzyjaciela dla ukrycia się przed wrogim spojrzeniem... nie rzucaj się nikomu w oczy niemile, zwłaszcza zaś silniejszym od siebie, tym, którzy z wyboru lub wypadku stoją na wyższych szczeblach i z łatwością z tego wypływającą mogą jednym skinieniem dłoni zepchnąć cię niżej, a co gorzej jeszcze, mogą ten ruch nieprzychylny wykonać tak niespodziewanie, że z nagłą zaskoczony możesz stracić równowagę choćby chwilowo, lecz wobec niepewnych a zawsze licznych widzów bardzo kompromitująco, a przytym świadkiem twego upadku będzie zawsze zbyt wielu, wylizą ze swoich jam, kryjówek przeróżnych, wychylą głowy z poza węglów swych domostw, a mowy będą mieć różne. Jedni nie zdołają ukryć śmiechu szyderczego, inni spojrzą z politowaniem zabójczym, lecz większość, przeważająca większość zachowa się

zupełnie obojętnie i ta obojętność będzie dla ciebie piekącą zagadką, będzie maską gładko, ślicznie do ludzkich przylegającą twarzy, lecz pod którą domyślać się będziesz licznych niewidocznych skurczy tych przechodniów oblicza. Poważnie oddany ci ukłon poczujesz, jak wymierzony sobie policzek; kiedy serdeczny znajomy zaprosi cię na obiad, wyda ci się to wielką złośliwością i idąc do niego z miną pewną i śmiałą postawą, przystaniesz jednak przed każdym lustrem, aby po sto-kroć się przekonać, czy nie jesteś śmiesznie umazany na twarzy. Wówczas napewno żona gospodarza domu będzie dziwnie powabna i powie ci coś bardzo miłego; powstaniesz, skłonisz się i odpowiesz z zawstydzoną skromnością „o pani!” — a w duszy wypada dodać: „Nie jestem godzien...” wszystko się przeciw tobie sprzysięże, skoro raz tylko stracisz pozorną równowagę, tego ci więc nie wolno. Obcasy trzeba nosić dość równe, proste i niewysokie, aby nie mówiono, że się chcesz podwyższyć, a korki można włożyć i wewnątrz buta. Krok musi być stanowczy i pewny siebie; jeśli się skradasz, zdejm obuwie, idź cicho, niepostrzeżenie i uczyn się małym, niewidocznym tylko jednak dlatego, aby ta twoja konieczna rola była nikomu nieznaną, byś w tym negliżu nikomu się nie ukazał przez nieostrożność, tak jak gdy wchodzisz do restauracji w celu spożycia doskonałego obiadu, nie możesz pokazać kelnerowi pustej portmonetki. Trzeba

zakosztować wszelkich przysmaków, pozwolić sobie na wszelkie zbytki, trzeba nadewszystko umieć sobie zadysponować, a po spożyciu wszystkiego na miękkiej kanapie w odpowiednim oświetleniu i przy bogatym stole — trzeba z pańskim ruchem kazać to zapisać maitre d'hôtel'owi na swój rachunek i wyjść powoli, przyjmując zewsząd uniżone ukłony. W ten sposób żyje się na swój własny rachunek i ma się wielki kredyt i ludzki szacunek, a nie trudno jest umieć umrzeć bez spłaconego rachunku — wówczas można co najrychlej przyznać się w agonji: taka to była marna restauracja, płacić jej nie warto, dawano wino fałszowane, wprawdzie pijąc je nie miałem pretensji, lecz teraz czuję się w obowiązku zdemaskowania tej prawdy sam przed sobą; nie podam skargi do sądu, bo cenię spokój wszystkich i chcę zostawić po sobie dobrą pamięć, nie uczynić nic złego nikomu... biedni ci właściciele restauracji, oni sami nie wierzyli w to, co dają, dobrze choć, że na pociechę dorobili się majątku... Chcę umierać spokojnie i z zadowoloną ambicją.

Tak rozumując po raz już niewiadomo który, p. Roman machinalnie przebierał między pudełkami cygar, a były ich całe stosy różnych rozmiarów i opakowań. Gatunki najrozmaitsze, lepsze dla gości wybredniejszych, rzadszych, a zwłaszcza możniejszych, gorsze dla stałych, domowych, przyjaciół i rodziny, najgorsze dla krewnych ubo-

gich, do których nikt nie lubi się przyznawać i których wizyty z biegiem czasu i okoliczności wypadają zwykle wtedy, kiedy nikogo więcej się nie spodziewano. Cygaro takie ofiarowywało się gościem niedbałym i wspaniałomyślnym zarazem, jako rzecz wielce kosztowną, a która zapewne będzie niedoceniona ustami profana. Ubogi krewny, brat, je nieśmiało, z pewnym zażenowaniem i poprawiając się na krześle wachał, oglądał, obracał, i delikatnie ściągnąwszy obrączkę, chował takową do bocznej kieszeni kamizelki, aby powróciwszy do domu za imponować nią kolegom pracy, lub sąsiadom przez sień. Wówczas, jakby od niechcienia, podawało się mu ogień w srebrnej zapalniczce; ubogi krewny cmokał, cmokał, wreszcie wydobył niebieskawy dymek zwolna paląc, myślał o tym, aby resztę schować sobie na później, gospodarz zaś w bujającym fotelu kołysał się z pańskim rozleniwieniem, uderzał pierścieniem w kaboszonie w mahoniową poręcz i wpatrzony w koniec lakierowanego buta, rozważał w myśli o sprowadzeniu jeszcze tańszych cygar, a jednocześnie pytał gościa. „No co, smakuje”?

W danej chwili wybór był trudny. Szczerbiec i Kulesza zadowolą się łatwo, ale Banicki znawcą był, a przytym właśnie sprawę pana Romana miał prowadzić, więc choć stary znajomy i dawny kolega z warszawskiego uniwersytetu, tym razem wyżej oszacowany być musiał. Wyjął więc pudełko

nowe, nierozpieczętowane z dwudziestofenigowymi cygarami, które mu onegdaj z Prus żyd przeszwarcował, a pozatym jedno hawańskie cygarko, noszące napis „Fleur de Jawa”, poczym zamknął dokładnie szafkę kluczykami, które zawsze nosił przy sobie. Przypomniawszy sobie, że niedawno dobierał się do nich chłopiec kredensowy, za co nawet w cztery oczy kijem go poczęstował, musiał pan Roman od drzwi się zawrócić i dobrze zamek sprawdził.

Z za okna doleciał go gwar rozbawionych głosów z miłym sopranikiem na czele. Wyjrzał. Całe towarzystwo wstawszy od stołu szło oczywiście w stronę stajni oglądać konie. Mówiono o różnych kupnach, sprzedażach, zamianach, o wadach końskich i t. p. Pani Peła szła przodem, wysoka, zgrabna, w białej lekkiej sukni, pod którą sprężyście i zdrowo rysowała się jej figura. Całość stanowiła sylwetkę jasną i śmiało zarysowaną. Pan Roman przymrużył oczy z pewną lubością i goniąc za nią wzrokiem, stał chwilę w oknie nieruchomo, jedną ręką usuwając firankę, a drugą ostrożnie między palcami trzymając hawańskie cygaro. Uśmiechnął się. Zęby miał zdrowe jeszcze o żółtawym odcieniu kości, silne, trochę drapieżne, nad nimi rysowała się gruba, lecz kształtna warga, amerykańskim wąsikiem przystrojona. Wąsik ten utrzymany był z wielką starannością i dzielił się cieniutką, białą wystrzyżoną linią. Uśmiech przeszedł. Usta lubież-

ne zapadły się w linję spokojną, owiał je cichy cień zarostu, a na twarzy przemknęło się coś w rodzaju budzącej się chęci czy nieświadomionego jeszcze zupełnie postanowienia. Tuż koło pani Peli zdązał drobniejszymi a więc szybszymi krokami Banicki. Przegięty był zlekka w jej kierunku i znać było, że emabluje ją, ale w starannie utrzymanym trzyma się dystansie. Po chwili oboje znikli za grupą topoli, które podwórzowej pilnowały bramy. Szczerbieć dążył za nimi z trudnością na zbyt krótkich nóżkach. Pan Roman patrzył na jego niezgrabne i nierasowe ruchy z pewnym zdziwieniem, jakby po raz pierwszy to zauważywszy, myślał: „Wszak szlachcic to z dziada pradziada, bogaty, szanowany ziemianin”, wtym, niby przykry zgrzyt zabrzmiało mu w uchu słowo brata, zwięzłe osobistość tę określające: „sprzedawczyk”, tak, oczywiście, Szczerbieć sprzedał był obcym jeden ze swych folwarków i to tuż koło granicy leżący. Lecz, Boże drogi, czy on jeden to uczynił, rzecz na porządku dziennym. Ukazała się gdzieś, w jakimś postępowym piśmie czarna lista. Było co odczytywać, Całe kolumny nazwisk i to pierwszorzędných. Byli ci, będzie takich i coraz więcej. Czyn niepiękny, prawda, lecz winić znów bardzo nie można, warunki na wsi coraz cięższe, robotnik drogi, urodzaje zawodzą, ceny marne. Jest że w tym co dziwnego, że każdy woli majątek inaczej, niż w ziemi lokować? Ręchunek to zupełnie prosty. Ziemia da-

je dochodu trzy procent, a kapitał można z łatwością na sześć procent na pierwszym numerze hipoteki ulokować. Jest że w tym wina sprzedającego, że obcy najwyższą daje cenę? Znów stanęła Romanowi w pamięci postać brata, chuda, koścista; twarz ogorzała, a w niej oczy niebieskie, niby wypłowiałe południową spiekotą bławaty w dojrzałym zbożu o miedzianym połysku. Dziwnie często zjawiała się przed nim twarz ta i choć nie umiał odczuć jej wyrazu, lecz niejednokrotnie w lepszej jakiejś, przytłumionej życiem cząsteczce jestestwa odnajdywał zdolność odczytywania w tym obliczu silnych wrażeń. Bywało w takich chwilach, że obaj milczeli: Roman tym spokojem obojętnej fali życia, której niedbałym jest widzem, Jan zaś milczał głęboko, potężnie, czuciem wezbranym, którego jest zbyt wiele, aby wypowiedzieć się mogło. Mózg i serce Jana pracowały krwawym znojem, czoło Jana fałdowało się to groźnymi, powichrzonymi bruzdami, to ogromnymi lukami zamyślenia, to drobną, zmudną siecią troski. Oczy Jana to tliły się żarem, to wybuchały płomieniami, których nikt nie umiałby spodziewać się, sądząc po zwykłych, spokojnych i skupionych jego źrenicach; usta i cała twarz Jana drżała, rysy to napinały się nieugięte, hartem duszy i jej prostolinijnością wspierane, to nagle spadały pod wpływem przerażającej wobec zła niezaradności.

A kiedy po policzkach spłynęły fale krwi, kie-

dy rozproszyły się z wolna zmarszczki, wówczas wracał spokój na twarz, a tylko usta nieraz długo linję bólu nosiły.

Bywało zaś to zawsze, ilekroć jakaś ludzka nieprawda, fałsz jakiś, lub wiarołomstwo zasad uczciwości stawały przed oczyma czystej, wyjątkowej duszy Jana. Bo dusza ta była sama w sobie, jako kryształ czysty, który przejrzeć można, skazy w nim nie znalazłszy, a w którym jasność prawdy tysiącnymi malowała się barwami. Lecz dusza ta była sama w sobie. Nikt jej nie znał, nikt nie rozumiał. Była ona widzem życia i jego sędzią, lecz stała na uboczu, a ktokolwiek się zbliżył, mówił: „oto jest człowiek poczciwy” albo „wielki idealista”, albo „stare dziecko”, albo najczęściej „dziwak i odludek”. Nie był nikomu szkodliwym, więc nie było powodu go unikać. Nie dał się do stanowisk, nie wydierał ich nikomu, więc tolerowano w okolicy jego skromną, drewnianą siedzibę. Dawniej, zajmowano się nim wiele, krążyło nawet wiele plotek z powodu jego tajemniczego rozejścia się z żoną, lecz z czasem wszystko umilkło, a Janowy dworek oplotła niby pajęcza przędza zapomnienia; o tym, że żył, wiedzieli tylko najbliżsi sąsiedzi, o tym, że myślał i bolał—nikt nie wiedział. Roman, w rzadkich widzeniach się z bratem, starał się unikać drażniących tematów, ale życie samo lazło w oczy z nagą swą brutalnością. Twarz brata, jego słowa, stawały przed Romanem czę-

sto, niewiadomo skąd, rzadko próbował z nimi polemizować, zwykle machał ręką, jako na zbytne ludzkie sentymenty, lecz parę razy w życiu zdarzyło mu się, że twarz ta zaglądała do jego mieszkania jakimiś wrotami, a co dziwniejsze, jakby do duszy jego spojrzeć chciała i wówczas jej nienawidził i nienawidził brata — gdyż przeszkadzał mu żyć, jak on chciał i musiał, aby iść wyznaczonymi sobie szlakami.

W chwili, kiedy zdawało się Romanowi, że za przysadzistą postacią Szczerbcia snuje się przyjemny gardłowy dech Jana, wydającego ze ściśniętej odrazą krtani dźwięk złowrogi, nienawistny: „sprzedawczyk”, w tej samej chwili dziwacznej tej myśli zaśmiało się miłe, radosne zjawisko, poprzedzone rączym tupotem zwinnych końskich nóg. Na wybrukowanym podjeździe pod ganek od strony podwórza opadł gorący, lotny tuman kurzu. W prześlicznym koczku siedziała, a raczej lekko na siedzeniu się unosiła pani Pela. Wprawną, silną ręką trzymała rącze rwące się konie. W całej jej postawie malowała się lubość, z jaką ujarzmiła rasowe zwierzęta. Przez włosy jej przeświecało słońce, lekki pęd powietrza unosił jasne kosmyki, które migwały, niby świetlane nici. Twarz zarumieniła się, oczy rozbłysły; w szyi cokolwiek wyciągniętej i naprężonej, w twarzy mocno zarysowanej ujawniała się wola silna, do zwycięstwa przyzwyczajona. Widać było śmiałość, z jaką dyktowała ko-

niom drogę, sprawność rąk przywykłych do rozkazywania. I zdawała się być potężną panią przestrzeni — była nakazująca i słuchana, swobodna, jak ptak, i lotem swym tryumfująca. Zaturkotały koła po bruku znów i cicho zapadły się w piasek alei. Objeżdżała pędem ogromnym gazon grupami drzew przybrany.

Pan Roman był już na ganku i wraz z trzema stojącymi tam panami utkwiał wzrok w jasny pojazd, migający między plamami zieleni. Po chwili konie silnie w miejscu osadzone zatrzymały się przed samymi stopniami. Pani rzuciła lejce chłopcu stajennemu. Cisnęli się panowie, aby pomóc jej wysiąść. Podała mięką dłoń gospodarzowi domu i zeskoczyła lekko, swobodnie. „Brawo, brawo!” — wołał Szczerbiec, klaszcząc w ręce.

Banicki podszedł do koni i oglądał je ze znawstwem. Kulesza zaś szczegółowo rozpatrywał zgrabny koszyk, pragnąc go skopjować w domu za pomocą miejscowych sił kowala i kołodzieja, lubił bowiem mieć wszystko tanim kosztem. Był to człowiek praktyczny, ściągający wszystko do swego gniazda, nie znający innych celi poza granicami swej rodziny, swego majątku, typ dość bierny, pospolity; od szeregu obywateli wyróżniała go jedynie szalona blaga, która niemal przysłowiową się stała, a miała na względzie wychwalanie tego, co swoje. A więc nigdzie nie sypało tak zboże, jak w Wólce, nikt nie osiągał tak wysokiej, jak

on, ceny sprzedażnej i t. p. Dawniej sąsiedzi, przed którymi tak szeroko się wychwalał, wierzyli. Z czasem, gdy miara blagi przeszła wszelkie prawdopodobieństwo, łatwo się spotrzeżono i wyśmiewano go na boczku. Jednej rzeczy tylko Kulesza nigdy nie wychwalał, to swej służby, z doświadczenia wiedząc, że takową zaraz mu odmówią.

Gospodarz domu nawoływał gości na czarną kawę, która stygła w saloniku. Sam poszedł na-przód z panią Pelą, która opowiadała o kurtyzowaniu koni i prosiła, aby do niej przyjechał uczestniczyć przy tym zabiegu, który ona sama z lubością wykonywała. W drzwiach minęli się z cicią, biegnącą z cukrem dla koni. Nie zwrócili na nią uwagi i weszli do niewielkiego pokoju, gdzie służący właśnie stolik do kart rozstawiał, nieomieszkując nigdy przypomnieć państwu tej rozrywki, jako, że karty od niego kupowano. Salonik umeblowany był zamożnie z widoczną chęcią wywołania efektu, gromadziło się w nim, co było najlepszego, a czym dalsze i mniej przez gości nawiedzane pokoje, tym były skromniejsze, a były nawet i takie, które zgoła niezaprawiane miały podłogi i obdrapane piece. Tu zaś stał gdański kominek piękny i kosztowny. Dostał się on do Zalesiec z Ząbkowic jak to mówią zbiegiem okoliczności. Ząbkowice bowiem należały do wesołego i dość lekkomyślnego szlachcica, który okrutnie lubił hulać i na różne ekscesy sobie pozwalał. Pańskie rozrywki i za-

chcianki rozumie się wiele potrzebują grosza, za-
tym powstawały i mnożyły się długi, dziedzic
wciąż się bawił, do wspaniałej rezydencji pradzia-
dów, o świetnej przeszłości szarzejącymi, gadają-
cej kątami, sprowadził sobie aktoreczkę wspaniałą,
cacy kobietkę, o mocno malowanych oczętach i fi-
glarnej buzie. Sadzał ją sobie na kolanach,
poił szampanem, oprowadzał po komnatach, stare
pokazując portrety. A ona śmiała się pospolitym
głosikiem z poważnych i skupionych twarzy an-
tenatów. Jakże śmieszyły ją figury i suknie pra-
babek i ten sztywny ruch, z jakim jedna z nich,
żona koronnego pisarza, trzymała różę. Jakże ina-
czej trzyma kwiaty kobieta współczesna! Chcąc
uwydatnić ową rażącą różnicę, aktoreczka zrywała
najpiękniejszą różę z ogrodu, a pod portretem sta-
jąc, najpiękniejszą i najwdzięczniejszą stroiła min-
kę, dziedzic wpadał w zachwyty, rzucał się na kola-
na przed najpiękniejszą, a potem unosił ją w swe
objęcia. Stary zegar z nad szpincyku odzywał się,
wtedy dźwięcznie, a jękliwie gadał, coś gadał
o babuni. Szalał rodu wesoły potomek, beztroską
wielką hodowany, a długi rosły.

Aktoreczka chciała mieć rzeźby w parku
i żywą menażerję. Dziedzic stawał na balkonie
i poprzez starych dębów wierzchołki widział swe
pola i łąny — widział w nich nieprzebranych swych
bogactw skarbnicę. Stało się wkrótce inaczej. Są-
siad, pan Dzikowski, z pomocą żyda weksle dzie-

dzica wykupił, a potem mu majątek na licytację wystawił i za tanie sam nabył pieniądze. Pan Roman o całym tym sprytnym manewrze wiedział dobrze, szeptali też o tym i inni, ale dziwnie prędko zapomnienie nadeszło. Nowonabywca zaś w ujmującym liście, podnosząc znawstwo pana Romana, ofiarował mu stary gdański kominek, jako dla niego bez zbytnej wartości przy rozbiórce starego pałacu z XIV wieku, którego wspaniałe głazy i ogromne belki pod budowę gorzelni użyto. Taka to historia kominka. I oto pani Pela, siedząc na banalnej kanapce z czarnego drzewa, mogła bawić oko barwnymi kaflami, czyniła to jednak całkiem bezmyślnie i w ciemnym wgłębieniu nie grał dla niej płomieniem dawny ogień polskiego ogniska, nie odzywały się w pamięci dawne kobiece postaci, od których typu tak krańcowo odbiegła. Wzrok jej natomiast dłużej zatrzymywał się na portrecie niewieścim, a raczej powiększonej fotografii na ścianie wiszącej. Spostrzegł to pan Roman i nie wiadomo czemu pomyślał, że trzeba będzie podobiznę tę do dalszych przeniesć pokoi. Był to portret zmarłej żony jego, matki małej Halszki. Pani Pela znalazła wielkie podobieństwo dziecka do nieżyjącej. Uwagę tę pan Roman zagadał. Wówczas sprytnie oczy kobiety zwróciły się na niego i spojrzenia ich po raz pierwszy znacząco się spotkały.

— Piękna — wyszeptał nieskłamany uwielbieniem.

Była to sekunda, przejście jakiegoś drżenia. Drżenie mężczyzny wobec nagle zbudzonego pożądanego; drżenie kobiety, która zyskuje świadomość nowego wielbiela. Poczym jasna głowa odwróciła się obojętnie, sztywnie i nieprzystępnie. Romanowi wydało się, że popełnił jakąś niewłaściwość, zdawało mu się, że wstanie i odejście bezpowrotnie tym krokiem szorstkim, stanowczym, nie kobiecym, takim, jakim codziennie chodziła w pole kontrolować roboty.

Otworzyły się drzwi. Wszedł rozśmiany i zadowolony Szczerbiec, potym Kulesza i Banicki cały rozgorączkowany rasowością koni, w których nie znalazł najmniejszej wady.

— Panowie, kawa zimniusieńka — zawołał gospodarz, — a likierki przednie i cygarka mam doskonałe, markowe... — błagował, podsuwając pudełko.

Szczerbiec przysiadł się do pani Peli. Któż nie lubi pięknych kobiet! Bywalcem zresztą częstym był w najprzedniejszych domach okolicy i umiał kunsztownie oprawiać niejedno słodkie słówko, co jemu samemu i miłości własnej dużo zadowolenia przysparzało. Czym dusza bogata, tym rada — należałoby zmienić przysłowie. Brzuszek wypukły, dobrze nakarmiony, trząśł się częstym wewnętrznym chichotem, nieznośne brzmienie wydostawało się gardłem. Na dewizce bujała się niedbale, niezmeniając kutej fizjonomji, złota świnka, podobno

nieomyślne porte-bonheur. Kulesza z drugiego końca pokoju obserwował figurę pani Peli i zastanawiał się nad tym, czy nosi ona gorset, bo kształt jej i linja wydawały mu się bardzo swobodne, jakby w fiszbinowe nieujęte kleszcze — przypomniła mu się Eryka, niemka jego dzieci, która nosiła sznurówkę z samych tasiemeczek. Dziwną miał on słabość do wszystkich wychowawczyń młodego pokolenia i to od najwcześniejszej młodości. Ongiś własna francuska sztuki kochania go uczyła, potem cudzoziemki sióstr, a teraz znowu własnych dzieci jego mistrzyni. A propos — w tych dniach dom jego oczekiwał przybycia nowego „ciała pedagogicznego”, jak to nazywał syn jego najstarszy Władek, nie domyślając się oczywiście, że ten pierwszy wyraz narkozą był dla papy nie bez znaczenia.

W toku tych banalnych rozmyślań sąsiada, pan Roman wciągnął Banickiego pod okno i tam w cieniu mizernej palmy stojąc, rozmawiali o paru drobnych sprawach sądowych, których nigdy nie brakło gospodarzowi.

— Sprawa kowala Rolki?—pytał Roman.

— W pierwszej instancji przegrana — sąd mu przyznał wynagrodzenie i ordynarję do końca roku — jako, że umowa z twej strony zerwana.

— Jak to? z mojej? — oburzał się — złodziej był, wygoniłem.

— Niema świadków.

— Słuchaj, Zygmunt, musisz mi poradzić, jako prawnik czynny, bo ja to już nie bardzo pamiętam. Widzisz, jest taka rzecz... nie jestem bardzo zadowolony z mego rządcy obecnego, przytym trafia mi się lepszy, chciałbym zmienić, a tu umowa roczna...

Banicki puścił dymek z cygara i gdy takowy snuł się lekkim obłoczkiem między wzorami firanki — zapytał:

— Słyszałem, że rządcą ten austrijacki podany?

— Tak.

— Rzecz bardzo prosta. Obcopoddanym u nas rządcami być nie wolno, sprowadź pisarza gminnego i zarządź wydalenie rządcy.

— Przednia kombinacja, dziękuję ci mój drogi — cóż cygaro smakuje?

— Owszem—dobre. Przyjedź jutro, Romek, do miasta. Będzie doskonała partja pokiera. Przyjedzie Dzikowski, ten ma kieszeń zawsze pełną, a te rubelki w godniejsze powinny przejść ręce.

— Tymczasem siądźmy do bridge'a.

NA POSADZIE.

Dworzec kolejowy. Budynek szary, brzydki, nadmiernie wydłużony, nikogo na dłużej nie goszczący, prócz rodziny zawiadowcy, mieszkającej na górze, nad przedsionkiem, w środkowej nawie. Wszystkie okna jakieś złowrogie lub obojętne ludziom, którzy przesuwają się za nimi... Tylko w tych kilku, ku górze, kobieca ręka zawiesiła firanki i ustawiła wazoniki z kwiatami. Dziwnie pomyśleć, że tam jest jakieś mieszkanie, może nawet bardzo ciepłe i przytulne, gdy tu na stole i wokoło taka obojętność spowija ludzi, a wrzawa zagłusza ostatnie słowa pożegnań. Twarze posługaczy nieprzychylne, język obcy, urzędnicy niegrzeczni i pełniący swój urząd, jakby dla własnej fantazji, a nie dla wygody podróżnych. W salach i przejściach to głucha pustka, to ścisk nadmierny. Kurzem sady spowite wszystkie ściany, wilgocią i pyłem zamglone szyby, na podłogach tysiączne stopy rozdeptują błoto. Paki i kufry leżą stosami. Na tobołkach w kącie przysiadły baby. Żydzi chałatowi przeróżne dźwigają bagaże, głównie przedmio-

ty swego przemysłu. Rozgląda się chłopisko w szarej kapocie i wielki chleb ściska pod pachą.

Na wspaniałym kufrze z żółtej skóry widnieją kolorowe nalepianki, ochraniające dumą turysty. A więc na czarnych konturach Colosseum złotymi zgłoskami wypisał się rzymski hotel. Tuż obok hotele szwajcarskie reklamują się kolorowymi kartkami, gdzieniegdzie napisy konkurencyjnie na siebie nachodzą, pełno ich na wszystkich bokach, na wieku zaś, obok czarnych liter, rzuca się w oczy jasna karta z okrętu „Norddeutscher Lloyd”.

Uporczywym wzrokiem odczytuje Zofja historję tego kufra, próbuje skupić na nim całą swą uwagę, broni się nim przed smutkiem chwili i powtarza w myśli: Palermo, hotel Trinaclia... Roma... hôtel de Russie... Genua... Naples... Zürich... tak Zürich, miała tam być w uniwersytecie, a tymczasem... I oto nawet z kufra wyjrzała ku niej rzecz-wistość... z kufra, obijanego żółtą skórą z amerykańskim zamkiem... Doskonały kufer, odporny na wszystkie przeprawy, wszędzie był, a zużył się tak mało, tylko okucie gdzieniegdzie pogieęte — — dobry kufer, przydałby się taki zamiast koszyka. Zresztą, po co? Droga znów nie tak daleka — — godzin? — godzin — — ile? Zdaje się sześć czy siedem — — — samej, samej... Coś nerwowo skurczyło się w gardle, jakiś spazm wewnętrzny, więc znów myślą przypadła do kufra, jako do deski ratunku. Nice... Nice.... Jaki hotel? Niewiadomo,

kawał kartki oddarty, właśnie z hotelem. Co w tym kufrze musi być rzeczy strojnych, pięknych, pewnie jakaś matka z córką podróżuje... Córka niedawno skończyła pensję, tak, jak ja... i jedzie, jedzie dla dokończenia edukacji... ale nie, właśnie powróciła z podróży pełnej wrażeń i teraz wraca z matką do domu. Do domu?... O mój Boże, do domu... Znowu bolesny kurcz i coś piekącego w oczach. Trzeba być dzielną. Nie można się roztkliwiać.

— Zośka, uważaj, odsuń się — woła Witold, nadbiegając i chwytając ją za ramię, bo oto posługacz o mało nie przygniótł jej drobnych stóp ciężką walizką. W tej samej chwili mężczyzna wysoki, elegancki, zbliżył się do żółtego kufra i położył na nim neseser.

— Tolu, masz bilet?... Trzeciej? —

Nie, drugiej. Trzeba wygodniej — tyle godzin, zmęczyłabyś się...

— Ach tak, przyjechałabym wyczerpana, znużona, blada. Wzięto by mnie jeszcze za anemiczną istotę, bez energii. Uprzedzonoby się do mnie od pierwszego wejrzenia.... — To mówiąc uśmiechnęła się gorzko.

— Odwagi Zośka, wszystko będzie dobrze. Tylko odrazu się postaw i miej swoje wymagania. Trzeba sobie nadawać ton wobec ludzi, od tego zależy stanowisko, jakie się zajmie. Postarasz się być użyteczną, z czasem niezbędną i wówczas

będiesz mogła dyktować warunki. Zażadasz podwyższenia pensji....

— I zamiast trzydziestu rubli miesięcznie będę mogła przesyłać wam czterdzieści, albo jeszcze więcej ...— kończyła spiesznie jego myśl, jakby przeczuwając, że niedokończy jej wypowiedzenia.

Witold przyjął pewien melancholijny wyraz twarzy, poczym znów z westchnieniem jakby szczytnej zazdrości zwrócił się do siostry.

— Szczęśliwą jesteś — mówił, próbując ją jednocześnie wbić w ambicję — że możesz już zająć niezależne stanowisko i przyjść z pomocą ojcu.....

I wam — znów utajoną odrobiną myśli jego podniosła...

— I nam — powtórzył spokojnie, jakby nie rozumiejąc ironji sytuacji. Nastąpiła chwila milczenia. Stali obok siebie, odgradzeni od burzliwej fali spieszącego się tłumu stosem drewnianych pak i barykadą tłumoków. Zofja pochyliła jasną dziewczęcą głowę, spuściła powieki w cichym zrezygnowanym zamyśleniu i jęła machinalnie rysować parasolką gzygzaki. Bezmyślnie ściągnęła na jedno miejsce jakiś tarzający się sznurek, opalek papierosa i czerwony płatek róży spadłej z bukietu przechodzącej damy.

W skromnej postaci dziewczyny była utajona wielka poezja. Sylwetkę miała smukłą, skromne

szare ubranie; czarny kapelusik niczym nie przybrany zdobił ją nieskończenie swoją prostotą. Suknie były dla niej tłem tylko, z którego wyłaniała się twarz jasna, świeża. Cóż szkodzi, że tło było nieomal ubogie; promień słońca, gdy zjawia się na szarych polach, urok im daje. Tak i ona zdobiła sobą suknie. Kto spojrzał na nią, rzadko widział źle skrojoną spódniczkę, zbyt ciasną bluszczyne, lecz chwycił w siebie z niej urok wiosny. Zwłaszcza ludzie życiem zmęczeni patrzyli na nią z lubością, jako na czarujący obraz młodości. Rzecz prosta, budziła w wielu pożądanie, jak kwiat piękny, którego posiadaczem rad by został każdy przechodzień. Brat jej podobny był do niej, lecz to, co w niej wielki czar stanowiło, mianowicie wielka kobiecość, to właśnie było wadą jego twarzy o zbyt delikatnej cerze i bezwolny nadawało jej charakter.

Witold nie wychodząc z przyjętego, melancholijnego nastroju ciągnął dalej, nawpół mówiąc do siostry, a nawpół sam przed sobą się użalając:

„Prawda to, że ja najstarszy z rodziny, że z tym z przeznaczenia jakoby mnie należałoby wziąć cały ciężar na ramiona, lecz nad życiem moim zawisło jakieś fatum i próżno usiłuję wypłynąć na powierzchnię. W szkołach i dyrektorzy i nauczyciele dziwnie zawsze do mnie byli uprzedzeni. W gruncie rzeczy bardzo to proste. Byłem tym nieszczęśliwym, który może opłacać tylko

część wpisu, a zatym byłem ostatni. Przytym nie miałem protekcji. A w szkole, jak i w życiu, wszystko robi protekcja. Byłem za dumny i nie umiałem schlebiać. Trzeba się łąsić zarówno do ręki, która nam podaje wiedzę, jak i do chlebobodajnej. Smutna prawda. Ja tego nigdy nie umiałem. Zapóźno zrozumiałem jeszcze jedno, że przez szkołę uczciwie przejść nie można. Moją uczciwość koledzy nazywali niedołęstwem i kto wie, czy nie mieli słuszności. Ci, którzy ściągali ćwiczenia, notowali na mankietach, blagowali, ci dostawali dobre stopnie. Ja zaś ślęczałem nad książką, zostawałem w tej samej klasie na rok następny i to jeszcze zdawało mi się łaską, że mnie ze szkoły całkiem nie wydalą, bo przecież płaciłem tylko część wpisu... Kiedyś zdarzyło się, że i tego nie było czym zapłacić... Co ja wtedy wycierpiałem? Unikałem inspektora, dyrektora. Napróżno. Zapytali mnie o pieniądze raz i drugi i trzeci. Jutro... Panie Dyrektorze... kłamałem. Wreszcie trzeba było do innej szkoły maszerować i tam znów popaść w niełaszkę...

Zofja myślała, dlaczego brat opowiada rzeczy aż nadto dobrze jej znane, dlaczego się żali, wszak i ona niejedną powiedziecby mogła i ona z wysiłkiem zdobywała wiedzę, tylko, że zdobywając, nie traciła ani chwili czasu, pracowicie, jak mrówka, zbierając wszelkie okruchy nauki, budowała z nich gmach, na którym oto teraz miał się oprzeć byt jej rodziny. Przeszła również przez szereg upokorzeń,

lecz posuwanie się naprzód wynagradzało jej wszystko. Była zawsze pierwszą uczennicą, faworytką profesorów. Dlaczego? Mówiły koleżanki, że zdobywała ich sobie urodą i złotymi warkoczami. Lecz ona nie chciała wierzyć w taką ludzką małość. Nie, oni lubili ją za to, że wchłaniała każde słowo, że kochała naukę i chciwie piła z jej źródła. A Witold był leniwy. Pamięta, jak biegnąc na pensję, bez śniadania z suchą bułką w kieszeni, nie mogła go się dobudzić, lub odciągnąć od szafy, gdzie wiecznie, choć napróżno poszukiwał czegoś do zjedzenia, szafa zawsze była próżna, a tylko puszka z herbatą stała na stole. Wszyscy wciąż pili herbatę, cały dzień. Zygmunt taki był mały i wciąż wołał „batki, batki”, a ojciec, powłócząc nogami, człapał wiecznie do pieca po czajnik. W porze egzaminów piło się herbatę mocną, czarnusieńką, przez całą noc. Doktor pensyjny kazał jej się odżywiać, pić śmietankę, zażywać żelazo. Gnębiła ją anemja, wargi miała białe, ale to głupstwo, byle zdać egzaminy, byle zacząć pracować na siebie. Zасыpiając, znużona nad książką, śniła o lepszej przyszłości, gdy za zapracowany przez nią grosz polepszy się domowa dola. Radośnie szła do marzonego celu, lecz oto dziś, gdy staje on przed nią osiągnięty, lęk ją ogarnął przed nowym życiem, nie wie ona jeszcze, jakim ono będzie, lecz zgaduje, że ciężkie. Wróciłaby się chętnie do tych dni szkolnych, a z drugiej strony wstyd jej

tęgo tchórzostwa i otuchy sobie dodać usiłuje. Czuje i widzi jasno, że oto ten dworzec kolejowy podzielił życie jej na dwie epoki. Dzieciństwo jej się skończyło, minęło ono w wyjątkowo ciężkich warunkach, nie należałoby go żałować, a jednak szkoda tego okresu, choćby tylko dlatego, że mieścił w sobie tyle nadziei, tyle marzeń i oczekiwań lepszej przyszłości. Dziś stawia pierwsze swe kroki w życie i pojmuję, że idzie niekoniecznie ku ziszczeniu marzeń, lecz w walkę i borykanie się. Czym bliższa rzeczywistość, tym w realniejszych widzi się ją kształtach. Minęła epoka oczekiwania.

Kolej nadchodzi. Moja kolej. Idzie ze zbożowych pól, z łąk kwiatnych, kędy pierwsze moje hodowało się dzieciństwo. Idzie ku miastu, ku zabudowaniom, gdzie kryje się skromne, przed chwilą opuszczone mieszkanko, w nim długie lata miały. Dwa pokoiki, w jednym ojciec z synami, w drugim jadalnia, salon i moja otomanka. Okno wychodzi na podwórko. Naprzeciw klatka z kankarkiem, na dole przy studni wieczna zabawa biednej dzieciarni. Dostała gałązkę bzu, stawia ją w butelce przy książce i szuka szczęścia w drobnych kwiatach, powtarzając francuską literaturę. Wtym świst pociągu odległy, ale przenikliwy. Sznur wagonów gdzieś mknie... w dal... Niedługo i ja pojedę w świat! A szczęścia w bie jak niema tak niema! La littérature du XIX siècle... Zaskrzybiały drzwi od kuchenki nieśmiało. Ostrożnie wy-

sunął się ojciec bez kurtki z czajnikiem w rękę, powlócząc rozdeptanymi pantoflami. Dziecinnie, bezmyślnie uśmiechnięta, twarz chorego zwróciła się do okna, oczy naiwne spoczęły na gałązce bzu i jękając się z trudem wymówił, stwierdzając fakt doniosły w jego przedwczesnie starczym życiu: wio-wiosna!

— Tak, ojczy, wiosna, niedługo skończą się egzamina, pojedę w świat i przyślę ci staruszkę biedny na nowe pantofle... Et, co tam, na całe nowe pałto... będziesz sobie w nim codzień chodził po ogrodzie... Wiosna, więc niedługo... w świat! Słyszysz świst kolei? Minęła ona już nasze mieszkan-ko i oto na dworzec wjeżdża... wjeżdża... A ja tu stoję i czekam. Ach tak, już, już dawno po egzaminach. Świadectwa tu w mej torebce i już jechać mam, jechać. Zatrzymała się kolej przedemną i czeka. Czas na mnie, czas...

— Zośka, wsiadać trzeba.

Zbliżył się posługacz i podał kwit bagażowy. Witold ujął siostrę pod rękę i poprowadził do poczekalni, gdzie siedział ojciec z Zygmuntem. Chciano biedaka zostawić w domu, ale prosił i po rękach córkę całował, by go zabrała, zdawał się rozumieć ważność chwili. Siedział teraz spokojnie na ławce, gdzie go młodszy syn usadowił i uśmiechał się do przechodniów, w rękę piastował ostrożnie różę. Zobaczywszy nadchodzących, wyciągnął kwiat,

ochraniając go drugą dłonią przed tłokiem cisnących się osób.

— To — to — to — dla Ciebie — wybąkał. Wszystkie panie mają kwiaty, to i ty.

— Skądże ojciec wziął? — zapytała.

— Miała taki duży bukiet — ukłoniłem się i poprosiłem, dała o ta, ta — — wskazał na stojącą damę, rozmawiającą w pobliżu z właścicielem żółtego kufra.

Ręka Zofji spadła bezwładnie, twarz przybrała wyraz przykrego bólu i łagodnym, bezmiernie dobrym kobiecym swym głosem, w którym drżał cichy wyrzut, szepnęła.

— To ojciec prosił dla mnie o różę... nieznajomą...?

— To nic nie szkodzi — tłumaczył się.

W tej chwili Zofja spostrzegła młodszego brata, stojącego obok i czerwonego, jak burak. Był on świadkiem całej sceny z ojcem, widział zrazu zdziwione niechętnie, oczy stojącej pani, a potem ten ruch niedbały, z jakim odłamywała pierwszy lepszy kwiat i ten drwiący uśmiech. Krew uderzyła mu do głowy — odsunął się od starego, chciał zgiąć w tłumie. Zofja zrozumiała, przybliżyła się do ojca, objęła go tkliwie ramieniem i pocałowała w czoło.

— Mój ty biedny staruszk... — rzekła drżącym, nerwowym sercem ptaka, który gniazdo swe opuszczając, zna wszelkie jego bóle i troski.

— Chodźmy, chodźmy — naglił Witold.

Wyszli na peron. Zofja pragnęła im pozostającym powiedzieć jeszcze wiele. Wydało jej się, że oto zabiera sobie z życia jakąś lepszą część, a jest nią ów dalszy lot w przestrzenie, gdy oto ich pozostawia w smutnej starości i samych.

Zapomniała w tej chwili, że stokroć bardziej samą będzie. Nie myślała już o zaczerpnięciu otuchy w pierś własną, lecz o wlanie jej w bliskie dusze. Żal jej nawet zrobiło się Witolda, przebaczała mu jego lenistwo i niedołęstwo, nie widziała w nim starszego brata, który z dłoni swej nigdy silnego nie dawał jej poparcia, ale biednego człowieka, niemającego dostatecznych sił życiowych. Zygmunt patrzył na nią jakoś dziwnie ponuro, spojrzenie jego było tępe i głosem zmienionym, gardłowym wypowiedział twardo, nie zwracając się ku niej:

— Jedziesz na służbę...

Nagle po tych słowach przerażające milczenie zaległo w szczupłej rodzinie, skupionej koło drzwi wagonu. Dwa młode serca Zofji, i Zygmunta, ścisnęły się skurczem bolesnym. Witold zachowywał obojętność i myślał nad tym, jakby powiedzenie brata w żart obrócić. Stary, jak zawsze, nie umiał już duszy oderwać od zidjociałej maski swej twarzy. Postać dziewczyny zwolna się wyprostowała, szafirowe, głębokie oczy spojrzwały w przestrzeń, gdzie nie było ani tłumy podróżnego, ani kolejowe-

go dymu. Wyprostowała skrzydła. Błękitne ujrzała szlaki.

— Praca nie hańbi, przeciwnie, uszlachetnia, duszę jej oddam...

— Duszę oddasz pracy, pieniądze nam, a sama zbierzesz poniżenia, zasyczał złowrogo Zygmunt.

Załamano się coś w piersi Zosinej i ze szlochem prawie zawołała:

— O, nie mów, nie mów tak!

Spojrzeni sobie w oczy. On czternastoletni, przedwcześnie uświadomiony przez życie, ona, niby kłos zbożowy, pełny, wybujały, złocisty, z którego ziarna łuskać miano. Spojrzeli i zrozumieli, że się kochają bezgranicznie. Rzucili się sobie w objęcia i utonęli w gorącym, bolesnym, pożegnalnym uścisku.

Dzwonek zadrgał. Życie ich oderwało. Gorączkowe, pośpieszne uściski z ojcem i starszym bratem. Zatrzepotała się na niewygodnych schodkach, a wnet z okna, niby jaskółka z gniazdka, wyrzała. Stanęli we trzech jaknajbliżej, podnieśli ku niej ręce. Dzwonek trzeci. Dech przyśpieszony, tak niewiele już chwil...

— Czyś nic nie zapomniała?

— Bądź zdrowa, pisz...

— Piszcie, piszcie...

— Adres jaki? Wólka...

— Wólka przez Piaski, państwo Kulesza...

Już, już, rusza... O Boże, jakże się coś ściska, pod sercem. W świat...

— Do widzenia... A jak będziesz dojeżdżała, zmień kapelusz, bo w tym wyglądasz na piętnaście lat, huczał Witold...

— Dobrze, dobrze... bądź zdrow...

— Zośka, żegnaj... przebacz... wołał Zygmunt, wciskając sobie w pamięć jej jasną główkę...

Kolej unosiła ją coraz dalej... Zapatrzył się nawet stary i nieudolnym ruchem chciał wyciągnąć chustkę do nosa, aby nią pokiwać.

Ciemna linja już znikła, a oni wciąż stali, patrzyli.

Odjechała.

* * *

Z chwilą odjazdu zapadło w przeszłość siedemnaście lat jej życia. Tam, na stacji mimowoli ogarniała je pośpiesznym wspomnieniem, teraz, gdy minęła ciężka chwila rozstania, oładnął ją całkowicie szybki ruch pociągu. Przymknęła oczy i wszystkimi nerwami czuła to konieczne i ciągłe posuwanie się w przestrzeń. Ani ci, którzy pozostali, ani ona, która się oddala, nie są w mocy zatrzymać tego równego prawidłowego biegu. Z każdą sekundą powiększa się dzieląca ich przestrzeń i tak właśnie być musi. Tak a nie inaczej. To ustawiczne posuwanie się naprzód — to jest życie. Niema dwu jednakowych chwil, każda jest

nowa, bierze się ją z przeszłości i w przyszłość przesuwają. Snują się, snują, niby ziarenka nieskończonego różańca. Wspominamy minione, tęsknimy za oczekiwanymi i tak między tymi dwoma uczuciami odbywa się mijanie wieczne. Czym dalej w życie, tym więcej wspomnień, a mniej nadziei... Gdy zbliża się upragniona chwila, błyszczą one tysiącnymi barwami naszej wyobraźni. Gdy wreszcie nadeszła, zdaje się blednąć, ale minioną znów rozjaśnia wspomnienie. Często, często przychodzą chwile ciężkie i w przeciwieństwie do radosnych odpychane są w przeszłość samozachowawczym serca instynktem, żegna się je westchnieniem ulgi, że minęły, lecz ślad swój przywykły one ryć mocno, głęboko i idą, następują chwile, które biegiem swym koją i leczą. Z chwil składa się życie. Potężne palce nieskończoności niszczą to paciorki szare i grube, to błyszczące i cenne, człowiek zaś nadaje im swój kształt, urabia je według własnej swej istoty. Taż sama, jedna chwila, jakże przeróżnie ujęta być może. Życie ją podaje, los czyni taką, a nie inną, ludzie ją sobie przyswajają, formują z niej swoją własność i snują z niej swych myśli i swych uczuć przedziwo. Czas idzie wciąż z nieskończoności jednej w nieskończoność drugą, nic go nie zatrzyma, ani największy ból, ani największa radość, jest on posiadaniem każdej bez wyjątku istoty. Jedni czynią z niego skarb, wypełniając go swym dorobkiem, inni własność tę swoją obra-

cają w nicość i niezawsze nawet jest to u nich winą, tak, jak niezawsze winą jest człowieka, że przejdzie koło szczęścia nie zauważywszy go nawet. Trzeba mieć zdolność gromadzenia swego bogactwa. Szczęście, to suma chwil jasnych. Majątek — to życie, produkcyjność taka, jak pojmuje ją dana jednostka. Snują się, snują wciąż sekundy, urastają w minuty, godziny, dni, w życia całe. Naprzód, wciąż naprzód! Wieczny ruch, wieczne życie...

Pociąg leci w nieustannej za przestrzenią pogoni. Zrozpaczony człowiek biegnie położyć się w poprzek szyn. Dosyć ma posuwania się naprzód, chce, pragnie końca. Przejedzie po nim dyszący, czarny smok i niezachwieje się nawet w swym biegu. Po jestestwie jego przemknie wygodnie właściciel żółtego kufra i pani z wielkim bukietem róż i tęga żona przemysłowca, zajądająca wraz z dziećmi butersznyty. Boże pastuchy w polu za bydłem chodzące przysłaniają twarz rękoma i patrzą pokrzykując na kolej. Z okien wagonów wyglądają podróżni — każdy z nich krąży w kole swych myśli.

Zofja patrzy na krajobrazy snujące się i zmieniające jak w kalejdoskopie. Białe, szare, lżejsze i cięższe plamy obłoków na niebie, a na ziemi to obszary złociste, to zielone, to modre, to czarniawe. Tu mieszka ubogi, tam zamożniejszy, przysiadają się do wagonów ludzkie siedziby, wtulając się gdzieniegdzie w bukiety drzew. Ten i ów pilnuje gleby, inny trzody, jeszcze inny plantu kole-

jowego. Każdy trzyma się tego, co chleb mu daje. Migają słupy telegraficzne. Jeden, drugi, trzeci, dziesiąty... Wciąż dalej i dalej. Stuk o szyny, niekiedy jakby zatoczenie się pociągu. Rdzawo-popielate kłęby dymu przysłoniły okna i rozwiały się. Łąka zielona, a za nią wioska, ta sama, nad którą nocą, w obrazie Chełmońskiego czuwa Częstochowska z obłocznych wierzeń wysnuta. Swoja ta wioska jest i zna się jej życie. Poezją cała jest przyobleczona. Tyrają się w niej i weselą Reymontowi Chłopi, a chaty w niej Wrzeszczowskie z malwami i słonecznikami. Opodal z wiosną na „bociany” chłopięta patrzą, a tam nad modrym, w sitowia ubranym stawem „czajki” latają. A koło tych łąk mazowieckich ongiś, ongiś, niesiono Hanusie i wołała, że „kwiecie pachnie”. Odnawiają się te kwiaty polne rok w rok, chodzą po nie dziewczątka i pacholęta z fujarkami i niosą wiązanki pod przydrożną Hofmanowską mękę i na kamieniu smętnie spoczywają. Koło studni zamyślona dziewczyna siedzi. Czyjaś ty, czyja? Zstępują na nią fioletowe barwy zmierzchu... pieśni, piosenki chodzą wszystkimi miedzami i drogami od wioski i ku wiosce.

Zofja wychyliła nieco głowę przez okno. Owiało ją to tchnienie świeże, upojne, przesycone wonią kwitnącej koniczyny. Oddychała głęboko swobodą i prostotą wiejskiego, przestronnego powietrza. Ucieszyła się, że jedzie ku wsi, że będzie miała wo-

koło przyrodę i rozległy widnokrąg. Wyobrażała sobie nieznaną miejscowość, dwór, ogród, wszystko podług wspomnień swego dzieciństwa. Widziała takąż samą lipową aleję bogatą w konary, ozłacaną wierzchołkami, a cieniodajną ku dołowi. Widziała puszyste, zielone podszycie sadu, dzikimi stokrociami przystrojone. Widziała przerwy w gęstym żywopłocie, które były naturalnymi na pola oknami. Widziała wiosenne nabrzmiące wonią kiście bzu i jaśminu i wraz ukazywały się jej pamięci złociste nieba jesiennych zachodów, migoczące światłem między gałęzmi ciężarnymi owocami. Grządki truskawek, zrazu osypane kwieciem, czerwieniły potym ulubioną jagodą. A ze szparagów obok wyrastał rozkosznie zielony gaik. Szybko, jak te słupy telegraficzne, migwały w jej pamięci sielskie, różnorodne obrazy odległej przeszłości i jednocześnie stawały się one wyobrażeniem tego, co ujrzyć miała. Mijano właśnie jakiś zamożny folwark, dwór z ogrodem i gościnnie na oścież otwartą bramę i Zofja upatrywała w nim wielkie podobieństwo do rodzinnego majątku, jakoteż domniemane do siedziby państwa Kuleszów. Myślała sobie, że ten nieznanany dom nie będzie dla niej zupełnie obcy przez to, że odżyją w nim wspomnienia jej własnego dzieciństwa. Z pojedynczych obrazów próbowała skonstruować całokształt ówczesnego swego życia rodzinnego, lecz ze smutkiem ujrzała w swej pamięci mgłę zapomnienia osłaniającą

to, co treścią życia być musiało, a wydostającą z mroków szczegóły najblihsze, małością swą wprost śmieszne. I tak, pamiętała wyraźnie ogromną szynkę na stole wielkanocnym, z odwróconym polciem tłustej skóry i ubraną gałązkami barwinka. Pamiętała, jak lokajczuk przywiązywał kamienie małym kociakom, które miał utopić w sadzawce. Pamiętała złotą okładkę zeszytu, ofiarowanego jej przez ciotkę, gdy pierwszych miano ją uczyć liter. Pamiętała barwny obrazek w książce i wierszyk o krawcu, który odciął palce niegrzecznemu chłopcu. Pamiętała kanarka w klatce, maleńki stoliczek z krosienkami i wazon w salonie, który stłukła, biegając, pamięta nawet kąt, w którym takowy stał... lecz oto i wszystkie wspomnienia. Nie umie sobie ożywić w pamięci postaci matki, nie umie przypomnieć jakichkolwiek jej słów, nie wie, jak spędzała dzień... słowem nie wie nic... I oto pojmuje cały tragizm ludzkiego istnienia. Kobieta w bólu rodzi dzieci, karmi je z wysiłkiem, pielęgnuje w bezgranicznym zaparciu się siebie, czuwa nocami, budzi się trwożnie przy najlżejszym poruszeniu drobnego ciała w łóżeczku, potym budzi myśl, nadśłuchuje każdego nowego dźwięku z ukochanych usteczek, po oczach zgaduje niedomaganie, chroni od złego, siedzi przykuta do domowego ogniska i umierając przedwcześnie, ostatnim wspomnieniem jeszcze miłuje i błogosławi swoje dzieci. Mijają lata i postać matczyzna zaciera

się we wspomnieniu. Następuje śmierć druga, stokroć gorsza od fizycznej, śmierć w sercach i mózgach własnych dzieci. Osiemnastoletnia córka nie pamięta już matki, którą straciła w piątym roku życia, natomiast ironja życia utrwaliła w jej pamięci szynkę, zeszyt, kociaki... Wieczne życiowe drobiazgi, falą z kropelek złożoną, zalewają nie raz nietylko grunt pod nogami, ale odwiecznie czczone świętości. Ni stąd ni zowąd smutna piosenka zadzwoniła w uszach Zofji: „leca liście z drzewa, co wyrosło wolne, na mogile śpiewa jakieś ptaszę polne...”, poczuła jakby jesienny obumarły chrząst pod stopą. Obraz wsi stał się w jej poczuciu grobem matki, ponieważ rozstała się z nim równocześnie z jej śmiercią, ponieważ wiedziała tylko tyle, że życie tej zapomnianej miało w wiejskim dworku, w wiejskim ogrodzie. A zatem jedzie do wsi, jak na grób... Jakże uczci jej pamięć w chwili, gdy oto i ona z kolei samodzielnie żyć zaczyna? Uczci życiem podobnym, cichym, pracowitym i poświęconym, bo takim a nie innym musiało być ono. Uczci poświęceniem dla dzieci, choć nie swoich. Będzie im jak matka przez rok, czy dwa, a potem wyjedzie i one zapomną o niej tak, jak ona o umarłej matce...

Jechała więc do tych cudzych dzieci z duszą gotową do poświęceń, z młodymi siłami i świeżymi zasobami z trudem zdobytej wiedzy. Wyobraziła sobie tulące się ku niej główki i z rozrzewnieniem

budzącego się instynktu macierzyńskiego szepnęła: pokochają mnie, da Bóg pokochają...

Pociąg zwolnił biegu i wjeżdżał na stację. Na pierwszą stację nowej nieznanej drogi. Czarnym tłumem obcych, nieznanych ludzi poruszał się peron. Po pod oknem, przy którym stała, podniosła się w górę taca obciążona owocami, czekoladą i ciastkami. W korytarzu zaczynano się cisnąć, cofnęła się też więc do przedziału, gdzie na razie nie było nikogo, a przy oknie wisiało tylko jedno palto męskie. Zofja zdjęła kapelusz, a w chwili, gdy odwrócona tyłem do wejścia próbowała się oswobodzić z okrycia, usłyszała tuż za sobą głos mężczyzny proponującego jej pomoc. Było to tak niespodzianie, że drgnęła zlekka i nie odwracając się zbyła go chłodnym: „dziękuję, sama” — bo zdało jej się, że nie wypada przyjąć wyreki nieznanego. Nie podnosząc oczu powiesiła palto i siadła w kącie. Niewiadomo dlaczego, obawiała się podnieść na niego spojrzenia. Czowała, że on się jej przygląda i było to jej naturalną, instynktowną samoobroną, aby nie pokazać mu uroku swych źrenic. Sytuacja jednak taka stawała się à la longue nietylko uciążliwą, ale nienaturalną i tym samym mogącą zwrócić uwagę. Postanowiła więc spojrzeniu swemu nadać bieg zwykły, lecz myśląc o tym, mimowoli czuła się w niezgrabnym położeniu. Spoglądnęła w górę na siatkę do rzeczy, na swój własny parasol, z taką uwagą, jakby go po raz

pierwszy widziała, zauważyła, że ma rączkę z wygiętego drzewa zakończoną metalem... Dalej spostrzegła w przymocowanej do ściany popielnicze mnóstwo niedopałków od papierosów, z których jeden snać świeżo włożony dymi jeszcze... Mignęła wzrokiem koło nieznanego i z wszelką już pewnością poznała, że jest nią zbyt zajęty. Zrobiło jej się dziwnie niemiło, jakby się czegoś obawiała, złe przecucie, czy też instynkt samotnej kobiety, wstąpił w jej serce. Chciała być jaknajmniejszą, jaknajskromniejszą, by niczym na siebie nie zwracać uwagi. Zasunęła nogi głęboko pod fałdy szarej sukienki, skurczyła się w swym kącie, oparła głowę i udała, że drzemie, w tej chwili jednak przyszło jej na myśl, że w ten sposób wyda się bardziej bezbronną, a wówczas mógłby z tego skorzystać, straszna myśl przeszła nią nawskroś. Lęk początkowo mniej uświadomiony stał się zupełnie wyraźny. Zwolna, ostrożnie spojrzała z pod spuszczonych powiek i dopiero teraz po raz pierwszy wyraźnie ujrzała twarz mężczyzny. Siedział w przeciwległym rogu przedziału i patrzył na nią nieruchomo, był bardzo przystojnym blondynem o regularnych rysach, oczach niebieskich i niewielkiej spiczastej bródce, wydawał się być młodym, lat może dwudziestu trzech, czterech. W spojrzeniu jego znać było wielkie zaciekawienie, w ustach rysowała się lubieżność, postać dość wykwintna nosiła jednak pewne cechy degeneracji. Poznała w nim właści-

ciela żółtego kufra. Ręce miał białe, wypieszczone, z manikowanymi paznokciami, na palcu sygnet herbowy ryty w rubinie. Nie widział, że jest obserwowany z pod długich rzęs i zatapiał w twarz dziewczyny spojrzenie, analizując z lubością jej rysy, krytykując każdą niedość wykończoną linię jej szczupłej figury, ogarniał ją w ten sposób całą od stóp do głowy, rozbierał ją w myśli ze skromnej sukienki, uśmiechał się z pewnym politowaniem nad rozchodzonymi bucikami i może w wyobraźni przystrajał w szaty modne, wyszukane, w twarzowe uczesanie, lub zgola rozebraną ją widział w krasie młodego niewinnego ciała. Sunęła mu przed oczyma naga, rączka, niby łania z rozwianym złocistym włosiem, niby boginka wśród traw i zarośli, biegła nie tykając prawie leśnych mchów, zanurzała różowiejące stopy w podszybie lasu i jak sarna na polankę wyglądała niepewnie, przecuwając myśliwego. A tym myśliwym był on sam i rad był ranić to białe ciało, krwawić i męczyć. Nikła boginka. Natomiast ta sama jasna, słodka twarz dziewczyny zmieniła swój wyraz. Ciemniały jej brwi i rzęsy, nienaturalnym karminem odcinały wargi, wykwitał uśmiech przedziwnie ułożony, z wystudjowanym wdziękiem chyliła się szyja, ujęta w ramę klejnotów... Dziewczyna-wiosna, dziewczyna-świeżość zmieniła się w jego zepsutej i wyuzdanej fantazji w demimondówkę strojną, zdeprawowaną, wabiącą mężczyzn. I znowu ujrzał

obok niej siebie, trzymającego w objęciach tę, która dla niego i przez niego zamieniła kwiaty kaliny na brylanty, dech pól i sosen na zawrotne „fleurs d'orchidée”, dotknięcie bosych nóg o mchy na wyrafinowane objęcia w pościeli... I ta deprawacja czystej, świeżej młodości wydała mu się bezmierną ponętnością. Zamarzył o niej i twarz jego przyjmowała wyraz jakiegoś drapieżnego skurczu, choć postawa najmniejszym widowym drgnieniem nie zmieniała się. Nagle stało się coś nieprzewidzianego. Powieki Zofji podniosły się szybko i oczy jej wielkie, szafirowe, o podłużnym owalu, spojrzały wprost na niego śmiało, ostro, wyzywająco, z pełną chęcią zdemaskowania wroga. Dumnie podniosła głowę i wstała zwolna, nie zmieniając spojrzenia, pogardą osunęły się kąciki jej ust. Zdumiał się temu gościowi nadspodziewanej pańskości i jej urodzie, jak gdyby nie zwróciwszy uwagi, czy nie rozumiejąc, o co chodzi, ruchem niedbałym i powolnym wyjął z kieszeni palta gazetę i zabierał się do jej czytania. Osłupiała Zofja, nieprzygotowana na taką odpowiedź stała wciąż i zaczynała posądzać siebie o pomyłkę, gdy z nad pisma podniósł się wzrok całkowicie obojętny i towarzysz podróży spytał:

— Czym mogę pani służyć? — czy może zamknąć okno?

— Tak, zimno — szepnęła ledwie dostłyszalnym głosem i bezwładnie opadła na welwetową

ławkę. Pociąg sunął w zwykłym tempie, jak-gdyby nic. Bo też i właściwie nic nie zaszło. Co myślał pan nad gazetą?—niewiadomo. Co działało się w sercu dziewczyny?—łatwo odgadnąć. Trzepotał w nim lęk przed własnym nowym życiem, przed nieznanymi obcymi ludźmi.

Minęli już stację drugą i trzecią. Zmierzch niedługo zacznie zapadać, będzie snuł się, snuł wo-koło. Wszystko zszarzeje w senności. Pociąg pędzi bez tchu w nowe, nieznanne widnokreśli. Pędzi z dnia w noc, z nocy w dzień, pędzi z jasności w szarość, w ciemność, z ciemności w nowe jutrznie... Przedział się wypełnił po brzegi. Jest ciasno i duszno, lecz w tej ciżbie jakby bezpieczniej, jakby bardziej u siebie czuje się Zofja w swym ką-ciku. Można nawet zadrzemać w takt ruchu, moż-na skłonić głowę i jechać, jechać tak w półświado-mości coraz dalej. Nie czuje ona nawet zwolnienia biegu, ani nie słyszy lekkiego poruszenia w prze-dziale. Śni się jej Zygmunt nad książką pochyło-ny, ojciec niepewny krok podpierający meblami, śnią się ubogie pokoiki.

Trzeba iść po serdelki na kolację, nie ma dzie-sięciu kopiejek, zginęły... Gdzie są, może w szufla-dzie... Taki stuk ciężki, monotony, pewnie są-siadka szyje na maszynie... pod głową niewygodnie, twardo... Naraz silne wstrząśnienie, pewnie pociąg się wykoleił, rozbił... Nie, to tylko stacja.

Właściciel żółtego kufra wysiada. Spojrzał

na śpiącą takim wzrokiem, jakby pragnął ją zapamiętać do nowego blizkiego spotkania, poczym uchyliwszy czapki, wyszedł; drzwi za sobą zasunął. Otworzyła oczy, spostrzegła jego sylwetkę rysującą się na szybie i znów zapadła w senność. Kołysało ją marzenie i odrywało od ciężkiej rzeczywistości. Do istot zmęczonych, trwożnych, smutnych, opuszczonych, zboliałych, przychodzi w życiu pocieszyciel mglisty, ciemny, zawrotny, idzie ku nim czarnymi szlakami, idzie wśród kół zielonawych, fioletowych, skrzy się, miga przed oczyma, odbiera świadomość, zakrywa oczy wielką dłonią, gładzi głowę magnetycznym dotknięciem i wtula całe jestestwo w odpoczynek i ukojenie. Niknie wówczas smutek i tęsknica w bezkresnych mgławicach, samotność roztopia się w sennych marzeniach. Zbliżają się oddaleni, zmartwychpowstają umarli, przytulają się, pieścżą kochankowie. Swobodnie, fantastycznie lekko dotyka myśl rzeczywistości. Przeobrażają się rzeczy, zmieniają fakty, a choć gdzie i wyjdzie męczarnia serca, to wnet znów w mglistość się zapada, a senność niebiańskim zapomnieniem całuje duszę, myśl, oczy i wszystko.

Kiry smutków i iluzje weselne zwiewają się razem w gęste, tajemnicze zasłony, a poza nimi skryte jest życia misterjum. W upojnych aromatach, w niebieskawych dymach, w przyrzekach gorących krąży uśpiona dusza w otoczeniu wdziań, a choć koło niej wszystko zwykłym idzie

biegiem, ona spokojnie w nawiasy snu jest ujmwana. Nic nie wie, że zasypiając, pożegnała rzeczywistość i że odnajdzie ją w przebudzeniu. Nie myśli o otwarciu ciężko opadłych powiek. Śni... śni. .

Kołysze już nie dłoń matczyna, nie niani piosenka, ale życie twarde... zmęczenie.

Niewiele potrzeba, aby skończył się sen, aby oczy rozwarły się nagle, wystarczy głośniejszy stuk, lub jedno słowo sąsiadów: „dojeżdżamy”.

Ach tak, prawda, przedział kolejowy, tli się lampa żółtawym światłem, mroki siadają w kątach na sennych, pokurczonych postaciach pasażerów. Obraz rzeczywistości zapanował nad marzeniami całą swą potęgą najdrobniejszych, oczywistych szczegółów. Staje niewyciężony, wyraźny przed świadomością, a wszystko inne zapada się w otchłań niebytu.

— Jaka to stacja? — pyta Zofja, poruszywszy się w swym kącie.

— Niemirówka — odpowiada, zbierająca rzeczy sąsiadka.

— A więc już, już — — myśli dziewczyna — już wykonało się moje przeznaczenie... Jestem, już jestem na miejscu...

— Czy są konie z Wólki? — pyta tragarza, wskakującego jeszcze w biegu.

— Jest bryczka — brzmi odpowiedź.

Zeszła ze stopni w noc ciemną i chłodną. Co

też przyniesie, co okaże jutrzejsze wschodzące słońce, w jakimże domu je powita, między jakimi ludźmi? Niebo pochmurne, gwiazd niema, zły omen! W Imię Ojca i Syna — przeżegnała się raczej instynktem, niż wiarą, gdyż potrzebowała się oddać komuś w opiekę, zbyt czuła się samotną w tej nieznannej drodze.

Otulając się na bryczce w palto, Zofja natrafiła w kieszeni na paczkę z bułkami. Domyśliła się, że takowa wsunięta tam została przez przewidującą pamięć Zygmunta. Zaabsorbowana swymi myślami i ważnością przełomowego dla niej dnia, nie jadła dotąd nic i dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę ze ściskającego żołądek głodu, zabrała się więc odrazu do bułek, które miały w sobie słodysz domowej szafy, wyszczerbionego noża i rąk kochanych.

Jechali w ciemnościach po złej, kamienistej drodze i bezresorowa bryczka trzęsła niemiłosiernie. Furman siedział na koźle milczący, przygarbiony, sylwetka jego rysowała się nieruchomo, tylko niekiedy połyskiwały guziki liberji. Zofja, która nosiła w sobie, właściwą młodym istotom, chęć pozyskiwania sobie ludzi, postanowiła nawiązać z nim rozmowę i spodziewała się w głosie jego odnaleźć choć cień życzliwości, która bądź prawdziwa, bądź obłudna, cechuje długoletnie sługi. Wyobrażała sobie, że podobnie, jak dawny stangret jej rodziców, odwiedzający ich często w mieście już

po sprzedaży majątku, tak i ten oto kierownik cugantów musi być przywiązany do miejsca swego, do dziedziców, a zwłaszcza do dzieci, które z pewnością noszą cukier koniom i przyglądają się, jak foksterjer łapie szczury w stajni. Możliwy jest też dowiedzieć od niego niektórych szczegółów o domu, do którego jadą, aby choć potrosze wiedzieć, czego należy oczekiwać.

Przednie koła najechały raptownie na kamień, gwałtowne uderzenie wstrząsnęło z kolei tylnym siedzeniem, coś zatrzeszczało aż w podjeździe, poczym wydało się, że wpadają do dziury. Zofja podskoczyła, chwyciła się oburącz za żelazną poręcz, przycięła sobie język i mało nie wyleciała. Furman siedział twardo i jechał dalej nawet się nie obejrzawszy.

— Cóż to, nie macie lepszego pojazdu? — spytała.

— Coby nie miało być — odpowiedział, nieporuszając się. — Jest tego dość, i powóz, i kareta, dwa wolanty, koczki... Ale po guwernantki to się ta zawdy tym jeździ, bo innego szkoda...

Zofję coś jakby zmroziło w sercu i jedzona bułka zgnęła gorzkiego nabrała smaku, jakby już nie swój, ale cudzy chleb jadła. W słowach stangreta, będących tylko prostym stwierdzeniem faktu, odnalazła cały bezmiar lekceważenia i jej samej i jej fachu. Uświadomiła sobie odrazu, że człowiek ten obcy i nie jej podwładny, nietylko

niema dla niej przychylności, której pragnęła, lecz żywi jakby niechęć i uprzedzenie. Dlatego, że widzi w niej pewne koleżeństwo w uległości temu samemu państwu, a jednocześnie lepsze usytuowanie. Jest to mniej więcej ta sama zawiść, jaką mają parobcy do ekonoma. Poczucie zależności stało się dla niej w tej chwili rzeczą ciężką, a cóż dopiero będzie ona sama. Przypomniały się słowa Zygmunta: „Jedziesz na służbę!” i poczęła pojmować całą gorycz zawartej w nich prawdy. Z ciemnej nocy wyłoniło się ku niej widmo przyszłych dni i, choć zmęczona drogą, zapagnęła przedłużenia takowej. Kto nie przeżył podobnego uczucia, ten nie odgadnie takiego biednego serca młodej istoty tracącej swoją wolność, która na każdym kroku będzie musiała podporządkowywać swoje chęci, pragnienia, nawet przekonania cudzej woli, żyć wśród nieustannych kompromisów i ustępstw i takie z siebie składając ofiary, być przyczepioną do nie swojej rodziny i uważaną za szary ogonek w towarzystwie. Zofja wiedziała, przeczuwała, że tak będzie, dziwnie dużo powiedziała jej o tym niewygodna, trzęsąca bryczka i słowa stangreta. Widziała w tym charakterystykę czekającego ją postępowania i drżała lękiem przyszłych upokorzeń.

O tym, że ona tu zmęczona i wyczerpana tłucze się po wyboistej drodze nie myślał nikt, może jeden Zygmunt. Szarpnęła nią drapieźnie tęsknota

za domem i swoimi. Stała się wielka intensywność chwil w różne uczucia. Coś jakby rozpierało pierś, a noc zaglądała w serce tępyimi oczyma. Ostatnia Zygmunтова bułka zsunęła się z kolan i spadła z pluskiem w kałużę. Okna jakiejś wioszczyzny zamigotały światłem w pobliżu.

— Daleko jeszcze?

— Będzie ze dwie mile.

Stukali o kamienie, zapadali się niespodziane w doły i jechali. Zastygło serce w smutku. Obłoczne mgły dawnych marzeń ścięło życie w twarłą powłokę, a pod nią ciężko było poruszać się w przyszłość. Żebyż choć zobaczyć krajobraz, ukoić duszę widokiem przyrody, a tu wszystko zatopione w mrokach nieznamomości, obce nieskończenie. POCO serce rodzi się dumne, gdy życie ma je wciąż upokarzać, poco skrzydła ptakowi przeznaczonemu do klatki? Tak, jak nocne kwiaty są białe, a różnobarwne dzienne, tak w życiu istoty znaczą się nieraz kontrastem do swego tła i cicho bez skargi słodycz swą podają innym na użytek. Tak być musi, wszystko mija. Kończą się przedsiębrane drogi, czy krótkie, czy dłuższe, czy ku marzonym dalom, czy ku koniecznościom skierowane, a kończą się jakimś życiowym punktem, bądź dojazdem, bądź w dalszej drodze przeszkodą. To „już” zatrzymania się bywa niekiedy radością upragnionego osiągnięcia, często ocknięciem z podróznego zamyślenia i spokojnym ujęciem nowej

rzeczywistości, a nieraz bolesnym zdziwieniem, rozpaczą, że trzeba stanąć w pół drogi, tęsknotą za niezdobytymi szlakami....

Zofja dojechała, zatrzymał się jej twardy, niewygodny pojazd przed osiągniętym celem. Zdziwiła się, że to „już” i że właśnie tak, a nie inaczej, wygląda ten przyjazd, zdziwiła się nawet sobie, że zatrzymała się przed tym domem, a nie innym. Pewne odrętwienie nie dawało jej się ruszyć przez dobrą chwilę. Furman myśląc zapewne, że śpi, zeszedł sam z kozła i dzwonił do drzwi oszklonych, za którymi błyszczało jedyne w całym dworze światło. Zofja zauważyła, że do wejścia tego prowadziło kilkanaście schodów kamiennych, że nad drzwiami szybki były kolorowe i ułożone wachlarzowato w półkole. Całość domu rysowała się niewyraźnie i ponuro, w ciemnościach nie można było zdać sobie sprawy z jego wielkości, ginęło gdzieś jakby jedno skrzydło. Z cieniów ogrodu szedł zapach nikotjany, odezwały się w pobliżu ochryple, zirytowane głosy przywiązanych brytanów. Nikt nie wychodził, wszyscy spali. Wreszcie ukazał się lokaj zaspany, zabrał rzeczy i poprowadził w głąb przez sień na korytarz i do maleńkiego lecz schludnego pokoiku, gdzie czekało zasłane łóżko, jedyny ślad, że jej się tu spodziewano. To też niejako z wdzięcznością spojrzała na świeżą pościel i zapragnęła przytulić się do poduszki, jakby do żywej istoty i wypowiedać się jej z całej goryczy

serca. Odmówiła herbaty i prędko zawarła drzwi, by choć trochę poczuć się u siebie, lecz ze wszystkich kątów obcość patrzyła. Nad łóżkiem na białej ścianie wypisane było ołówkiem imię „Helena”, i odrazu przyszła jej na myśl że tak nazywać musiała się jej poprzedniczka, istota równie samotna, wyrzucona tu przez fale losu. Pokój ten wydał jej się więzieniem krępującym dni młodego życia, pamiętającym niejedną łzę i niejednen ból samotny z nikim niepodzielony. Mimowoli stanął w jej sercu ogromny żal nad samą sobą, poczuła w nim twarzą puściznę po tej, której miejsce miała zająć i pomyślała, że i ona kiedyś przekaże innym cały smutek nauczycielskiej doli.

W tej samej chwili doleciał z za bocznych drzwi lekki szmer i głos dziecka mówiący: „przyjechała”

Uśmiechnęła się do tej nieznaney sobie istotki, do słodczy oczekiwania przez małe serduszko, do dziecinnego pokoju, gdzie poprzez dzielącą ścianę posłała wszystkie nadzieje swej duszy.

* * *

Nazajutrz raniutko owe boczne drzwi od pokoju nowoprzybyłej coraz to odchylały się zwolna i wyglądała z poza nich główka pięcioletniego chłopaczka o różowej puciołowatej twarzyczce i polskiej długiej czuprynce.

— No cóż—śpi jeszcze? pytało zaciekawione rodzeństwo.

— Śpi—odpowiadał Tadzio.

— A jak wygląda?

— Duża — wyrokował z powagą.

— Jakżeś widział, kiedy leży w łóżku.

— Niemądry jesteś — konkludował starszy brat z poczuciem swej wyższości, Dzieci niecierpliwiły się coraz bardziej i wreszcie postanowiły zwrócić na siebie uwagę. Hania, licząc na to, że będzie wreszcie usłyszana i chcąc się sprezentować jaknajlepiej, wszczyniała z Władkiem głośną i jaknajważniejszą rozmowę, w której zaczepiali o wszelkie swoje umiejętności. Tadzio używał sposobów o wiele mniej wyszukanych, mianowicie dosiadł konia z laski i harcował po pokoju potrącając o krzesła i stoły. Z łatwością osiągnął cel i wkrótce pojawiła się oczekiwana postać panny Zofji. Stała w drzwiach i słodkim, pogodnym spojrzeniem ogarnęła całą trójkę. Zaległo milczenie i dzieci stanęły jak wryte. Wladek wysunął się pierwszy i zamasyście zsuwając w ukłonie nogi prezentował się z godnością: „Władysław Kulesza”. Hania dygnęła i sprytnymi oczyma ogarnęła nauczycielkę, jakby odrazu pragnąc zbadać, jaka będzie i ile pozostawi swobody. Tadzio nie przywitał się wcale, lecz zaczął od zwiastowania swej „nouvelle du jour”.

— Filutka zginęła — informował.

— To nasza kotka — tłumaczyła Hania i dodała — ale mógłbyś się przywitać z panią. Otoczona przez dzieciarnię, szybko nabierając śmiałości, Zofja weszła do sali jadalnej, gdzie na pierwszym miejscu siedziała pani domu. Była to wysoka, sucha, koścista blondynka, nieładna, o surowej twarzy i sztywnym ułożeniu, w obejściu miała lodowatą, odpychającą wyniosłość. Pozwoliła Zofji zbliżyć się do siebie nie spuszczać z niej badawczego spojrzenia. Przestrzeń od wejścia do stołu wydała się zmieszanej dziewczynie niesłychanie długą. Pani nieporuszając się podała rękę i wskazała miejsce dość oddalone. Siedzący obok mężczyzna, z niesłychanego podobieństwa sądząc brat pani, nie zwrócił na wchodzącą najmniejszej uwagi i nie przedstawiwszy się wyszedł niebawem. Pani czyniła zapytania zupełnie szablonowe, nie zachęcała do jedzenia, a że cała zastawa stołowa skupiona była koło niej, więc Zofja onieśmielona wycodziła czystą herbatę, poczym niezwłocznie zawezwana została do zrobienia planu zajęć. Czas lekcji z trojgiem dzieci objął dziewięć godzin. Nie miała zamiaru upomnieć się o wolne dla siebie chwile, chętnie odda dzień cały dzieciom, które chwyciły ją za serce. Pani zapowiedziała, że wymaga pracy akuratnej, że od czasu do czasu będzie asystować przy lekcjach i egzaminować z postępów, poczym zauważyła z nietajonym brakiem zaufania:

— „Pani wydaje mi się bardzo młodziutką, a więc niedoświadczoną, właściwie musiało zajść nieporozumienie, gdyż ja zaznaczyłam w biurze, że życzę sobie osoby poważniejszej“.

Zofja miała ochotę odpowiedzieć, że skoro zaszła omyłka, to gotowa jest ustąpić natychmiast, lecz rozsądek przywołał na jej wargi słowa zgoła odmienne.

— „Doświadczenia pedagogicznego nie mam w rzeczy samej, lecz myślę, że nierównie ważnymi warunkami owocnej pracy jest zamiłowanie swego fachu, energia i wreszcie świeżość zdobytych wiadomości...“

— A zatym — spróbujemy — — — Nie zatrzymuję pani, bo już i tak dziś godzina ujęta lekcjom. Życzę powodzenia.

Rozstały się. Zofja odeszła z bolesnym poczuciem, że oto praca jej, siły, zapał wystawione zostały na wypróbowanie, jako sprzedażny towar.

* * *

Władek w czasie lekcji był roztrzepany, myślał zawsze w polu, na dachu, lub na drzewie. Miał rok trzynasty i przygotowywał się do szkół, był zdolny, lecz w przedmiotach nierówno zaawansowany, uczył się tylko tego, co go zajmowało, z pogardą traktował wszelkie gramatyki, ćwiczenia, bazgrał, jak kura patykiem i wolał obmyślać fi-

gle bolesne i niemiłe, niż odrabiać zadania. Zofji słuchał z musu, traktował kilkogodzinne siedzenie na jednym miejscu, jako niesłychanie smutną konieczność, na pochyloną nad jego zeszytem nauczycielkę spoglądał boczkiem i wyobrażał sobie jaką zrobiłaby minę, gdyby ni stąd ni zowąd zapytał się jej, czy nosi majtki. Na korepetycje rosyjskiego przyjeżdżał do niego co drugi dzień nauczyciel z najbliższej gminnej szkoły i w dni te Zofja mogła więcej czasu poświęcić Hani, która uczyła się wybornie z pilnością i starannością właściwszą dziewczynkom. Ćwiczenia jej były istnymi wzorkami kaligrafji. Lecz z Hanią był znów inny kłopot, posiadała bowiem charakter niesłychanie trudny do prowadzenia. Była uparta i skryta. Słuchała tylko próśb lub rad, nigdy rozkazu. Między rozumnymi jej oczyma formował się przedwczesny mars tajemniczego zamyślenia. Dziecinna wola przeciwstawiała się woli całego otoczenia, bez względu na wymierzane kary, zaciętość wciąż rosła. Postanowiono ją oddać do klasztoru, gdzie z niegrzecznych dzieci czynią aniołki. Zofja naprózno usiłowała trafić do zamkniętego w sobie serca dziewczynki, była ona dziwnie nieufna i w zbliżeniu się starszych upatrywała zawsze krzywdę przemocy. Próbowła Zofja przeciwdziałać surowemu postępowaniu matki, lecz najdelikatniejsze jej kroki w tym kierunku wywołały tak surową naganą, że musiała zamilknąć, choć wiedziała,

że system ten w stosunku do Hani zupełnie jest chybiony i krępowanie silnej indywidualności dziecka wyrabia w nim poczucie krzywdy i upór coraz większy.

Tadzio zaczął swą naukę czytania i traktował ją z wielkim skupieniem. Lecz, gdy najmniejsze spotykało go niepowodzenie, zniechęcał się i wybuchął tak nieutulonym płaczem, że wszyscy się zbiegali, pytając co się stało, a ponieważ był jedynie pieśczone dzieckiem, więc Zofji w takich razach dostawały się takie spojrzenia, jakby mu wyrządziła krzywdę.

W trudnej i ciężkiej pracy mijaly dni i Zofja z częstym bólem głowy szła wieczorem do swego pokoju, po całodziennym umęczeniu trudno jej było zebrać myśli do napisania listu. Trapiła ją troska o oddaloną rodzinę. Z pewną zazdrością spoglądała na pomarnowane zeszyty Władka, na pogryzione obsadki i poniszczone książki, gdy tam jej Zygmunt nie miał za co kupić sobie potrzebnych przyborów do nauki. Wykwintne potrawy zwracały jej myśl do ubożego rodzinnego stołu. Te uczucia potęgowały jeszcze w niej poczucie obcości. Wszyscy traktowali ją z obojętnością, służba lekceważyła sobie jej polecenia, goście się jej przeważnie nie przedstawiali, ponieważ pani domu wyraźnie o to nie dbała. Słyszała nawet raz, że gdy przyjezdny sąsiad prosił o prezentację, została wypowiedziana niedbała informacja: „To guwer-

nantka”. Na skutek tym podobnych upokorzeń zaczęła unikać wszelkiego towarzystwa i z chwilą, gdy posłyszała turkot zajeżdżających powozów, chowała się do swego pokoju. Jedno miała tylko marzenie: pozyskać sobie serca dzieci. Kiedy Tadzio po długich wysiłkach zdołał wypisać na tabliczce ledwie wyczytalne: „Kocham panią” i przyniósł jej pokazać — był to dla niej dzień najszcześniejszy, lecz ze starszymi dziećmi rzecz szła opornie. Jeden tylko człowiek wydawał się być szczerze jej życzliwy i to od pierwszego wrażenia. Był to sam pan Kulesza. Gdy miała lekcję, często wynajdywał sposobność, by przejść przez pokój i bądź przychylnie pozdrowić, bądź o co zapytać. Za te okruczności życzliwości była mu niewypowiedzianie wdzięczna. Pan często był nieobecny w domu, jeździł podobno w licznych interesach, lecz Zofja wkrótce zaczęła pojmować nadawany pozór i rozumieć, że powodem tych częstych wyjazdów była raczej niemila, chłodna atmosfera domu, w której nie mógł się czuć dobrze osobnik szczerzy i serdeczny, jakim jej się być wydawał. Spojrzenie jego było jedynym ciepłem ogrzewającym jej samotność. Gdy patrzył, jak pochylała się nad pracą, widziała w tym spojrzeniu uznanie swych wysiłków. Był to człowiek lat czterdziestu paru i wyliczała, że mógłby być jej ojcem, odtąd doszukiwała się w nim oznak troskliwości i opieki. Bezmiernie jej tego było potrzeba.

Z radością serca usłuchała, gdy któregoś dnia prosił, aby włożyła serdaczek, gdyż może się zaziębić, tak jej było to miłe, że nie zauważyła nawet niesłuszności prośby wobec panującego upału. Ilekroć wyjeżdżał, czuła, jakby żal, że traci tę jedyną przychylną osobę. Gdy powracał, biegła wraz z dziećmi na ganek. Kiedyś stanęła zupełnie zdyszana, pani obrzuciła ją dziwnie ostrym spojrzeniem, ale pan uśmiechnął się ze szczerym zadowoleniem i nazwał ją najstarszym swym dzieckiem. Na przyszłość postanowiła nie ulegać odruchom, bo może to rzeczywiście jest „niestosowne”, jak to spojrzeniem zostało jej wyrażone.

W czasie lekcji umiała doskonale utrzymać należyłą powagę, nawet w wyglądzie, pomimo niedawnego pensjonarskiego fartuszka, który zakładała, by sukni nie zniszczyć. Wiejskie powietrze i dobre odżywianie pobudziło krążenie krwi, dostała rumieńców i mimo ciężkiej pracy, dzięki młodości wyglądała z każdym dniem ładniej. Kiedy rano piła śniadanie, pani domu zwykle jeszcze leżała i w sali jadalnej schodziła się tylko z panem, który w sportowym ubraniu wracał od gospodarstwa. Czuła się wówczas najswobodniej i ożywiła się. W poczuciu przychylności dusza śmielej rozwija skrzydła. Kiedyś nie było służącego i sama podeszła do samowara, aby nalać herbatę. Stanęła w smudze jesiennych promieni, które już nie grzeją, ale jeszcze złocą silnymi blaskami, jakby poży-

czonymi od żółkniejących liści. W pokoju całym było tchnienie ranka, którym oddycha się pełniej w poczuciu wypoczętych sił. Zofja miała pomysł ubrania stołu liśćmi czerwieniejącego dzikiego wi-na i uczyniła to w sposób pełen wdzięku i dobrego smaku. To dotknięcie miękkiej kobiecej ręki dodawało uroku rannemu śniadaniu i przeistaczało jakoby wszystko swą słodyczą. Kulesza śledził spojrzeniem każdy jej ruch, ale nie tym wzrokiem, co krytykuje, lecz tym, co się zachwyca. Sylwetka ta niewieścia odpowiadała w zupełności jego wymaganiom. Podobała mu się. Zofja miała poczucie tego spojrzenia. Instynktem serca chciała ona dać temu człowiekowi to, czego mu jej zdaniem brakowało w domu.

Odebrał z jej rąk podawaną szklanę herbaty i zauważył:

— Tyle prawdziwej, uroczej kobiecości ma pani w sobie... Chciałbym, żeby pani tak codziennie nalewała herbatę...

— Aby to życzenie się spełniło, nie musi pan tak często wyjeżdżać...

— Ma pani rację, cóż, kiedy gdy człowiekowi źle, radby uciec od swego nieszczęścia, zapomnieć...

— Czyż nie można przemienić, złagodzić — mówiła sama w swe słowa niezbyt wierząc, bo domyślała się o co chodzi.

— Nie pani, kto raz jeden błąd popełnił, musi zań pokutować nieraz całe życie — powiedział to głosem

tak beznadziejnie smutnym, że litość zatargła jej wrażliwym sercem.

W tej samej chwili, nadspodziewanie wczesnie, weszła do jadalni pani Anna. Stanąwszy w progu, surowym wejrzeniem ogarnęła siedzących i przybrany stół, zadzwoniła na służącego i kazała mu sprzątnąć „zielsko” z nakrycia. Wejście jej dziwnie zmieszało Zofję, miała wrażenie, iż zbyt zapomniała, że nie jest u siebie i żałowała tego; spojrzawszy na wielki ścienny zegar, zauważyła z ulgą zbliżanie się pory zwykłych zajęć i skwapliwie z tego skorzystała; wychodząc czuła, że odprowadza ją wzrok Kuleszy i choć nie lubiła pani, to jednak myśl, iż tej ostatniej może to być niemile, dotknęła ją prawdziwością tego spostrzeżenia; po co drażnić kobietę, która, niekochana przez męża, może być w gruncie rzeczy nieszczęśliwa, a zapewne wrodzona duma nie pozwala jej okazywać swych uczuć. Kto wie, może jakiś tragizm kryje się w tej na pozór lodowatej istocie i przybiera maskę szorstkości. Zofja miała z natury wielką łagodność i wyrozumiałość sądu. Należała do tej kategorii kobiet, które ciche, skromne i niewymagające dla siebie, chętniejsze są do ofiary i nie umiałyby nikogo skrzywdzić. Istoty takie w życiu zwykle są wyzyskiwane i w czynieniu dobrze znajdują swe zadowolenie, padają w końcu z wyssaną słodyczą swego serca, w miejsce której wsączyła się gorycz zawodu. W tej chwili gotowa była, mimo wszystkich do-

znanych upokorzeń, przyjąć na siebie winę złego stosunku z panią domu. Obwiniła się nawet niejako za swoją młodość i urodę, które mogły obudzić zazdrość. Postanowiła czesać się jeszcze gładziej i skrywać bardziej na uboczu, aby niczym nie zaostreć kontrastu między sobą a panią. Postanowiła unikać nawet wspólnych śniadań z panem Kuleszą i tych krótkich przyjacielskich pogawędek, których on coraz częściej poszukiwał, a które jej ciężaru samotności ujmowały.

Katolickie wychowanie, wpływ księży, trafiający na wyjątkową czułość serca, wyrobiły w niej tę wyzwoloną z egoizmu miłość bliźniego, która każe wszędzie wyszukiwać sposobności do uczynienia ofiary z siebie. Zacierają się w niej z czasem formułki wiary, lecz zostawało to pojęcie jedyne szczęścia w czynieniu dobrze własnym kosztem. Jeden człowiek ma się poświęcić dla drugiego, uważać siebie jako mniejszą wartość i dawać innym szczęście realne, pozostawiając sobie niebiańską mgiełkę, zwaną wewnętrznym zadowoleniem. To równanie siebie z prochem ma tę życiową dogodność, że z łatwością godzi się na stan rzeczy i przystosowuje do okoliczności. Czymże są upokorzenia doznane od ludzi wobec upokorzenia w własnym sercu swoim? Wielka moc sprzeciwia się, bunt nie może się zrodzić w poczuciu małości. Ale ta sama małość nosi urocze miano słodkiej „kobiecości”. Gburowatym słowom, czy potępieniom od-

powiada anielska łagodność lub milczące zrezygnowanie, pogodne spojrzenie, ciepłe dotknięcie dłoni bezgranicznie przebacza. Naiwne oczy nie rozumieją tego, co się dzieje wokół. Serce odgaduje dobro, nie przypuszcza zła. Nad ściegami nic nie znaczącej robótki mijają chwile czarującej nieświadomości. Cicho, harmonijnie porusza się taka kobieta, myśląc, jakaby z siebie uczynić ofiarę, zamiast przygotować się do odpowiedniego zareagowania na czekające ją wielkie niesprawiedliwości. Drapieżne życie czeka, aby ssać tę słodcz jej aż do ostatniej kropli krwi ofiarnej.

Każdy dzień życia, spędzony pod obcym dachem uczył Zofję coraz większych kompromisów, naginania siebie do żądań chlebobawczyni, było to koniecznością jej stanowiska. Wymagano, aby uczyła dzieci Starego Testamentu, aby wmawiała w nie prawdziwość tego, w co sama nie wierzy. Wydało jej się to przykrą obłudą, wprowadzaniem w błąd istot, które jej pieczy były powierzone. Drżała przed pytaniami, mogącymi wykryć niedorzeczności, a na które nie była dostatecznie uzbrojona. Zdawało jej się, że przy tych lekcjach religii sprytne oczy Hani przeglądają ją do głębi i że odsuwa się od niej zaufanie dziecka. To też najchętniej uczyłaby Starego Testamentu z punktu widzenia historii religii, lecz wiedziała, na co mogło ją narazić podobne traktowanie rzeczy. Kiedyś Hania zapytała, jakże to może być, że Bóg taki nie-

skończenie miłosierny stworzył piekło? Zofja przyznała, że i jej trudno jest uwierzyć w podobny bezmiar wieczystej kary. Nieogłędne to jej wyznanie przylgnęło z wielką potęgą do młodziutkiego umysłu.

Hania była niegrzeczna. Matka kazała jej bawić się w klocki z Tadzkiem. Odmówiła stanowczo, twierdząc, że nie widzi potrzeby, bo brat bawi się doskonale, a dla niej zabawa to zbyt nudna i woli czytać rozpoczętą książkę. Opór jednak córki spotkał się z niezłomną, despotyczną wolą matki. Rozkaz ponowił się w formie ostrej, kategorycznej. Hania równie stanowczo odpowiedziała: „Nie będę” i podparszy głowę udawała, że czyta, a czuła burzę w powietrzu. Zagrożono jej karą. Zacięła się tymbardziej, aby nikt nie przypuszczał, że się kary obawia. Zaciągnięto ją do kąta, ale żadna siła nie była w stanie jej tam utrzymać. Broniła się zaciekle rękoma i nogami, a oczy jej patrzyły groźnie z pod chmurnie namarszczonego czoła. Matka nie szczędziła gniewnych słów, a wreszcie i uderzeń. Zagrożono jej piekłem, uśmiechnęła się z niewysłowioną pogardą.

— Niema piekła dla nikogo, a tymbardziej dla tych, nad którymi znęcają się mocniejsi — wymówiła zwolna, przelotnie spojrzawszy na Zofję, która w drugim rogu pokoju trzęsła się ze zdenerwowania.

Pani Kuleszyna poszła za wzrokiem córki,

i w głowie jej zaświtał pewien domysł. Wyszła zostawiając siedzącą na podłodze Hanię czerwoną i w potarganej sukience.

Wieczorem Zofja zawezwana została na konferencję i dowiedziała się, że odtąd na lekcje religji przyjeżdżać będzie wikarjusz z parafji, a koszt ten zostanie potrącony z jej miesięcznej pensji. Wiadomość tę, pomimo straty materialnej, przyjęła z pewną ulgą.

W parę dni potem zjawił się ksiądz młody, o twarzy zupełnie nieascetycznej, z gminnym obejściem, który otoczył Hanię bezmiernie pasterską troskliwością, sadzał ją na kanapce jak najbliższej siebie, opowiadał głupie moralne historyjki, wyuczał dosłownie bardzo rozwlekłego katechizmu, dla łatwiejszego zapamiętania rozdzielał zdania na bezsensowne części i osładzał wszystko karmelkami, wyciąganymi z kieszeni. Musiał być dokładnie poinformowany o tym, co zaszło, skoro przy najbliższej sposobności nie omieszkał powiedzieć Zofji, że o istnieniu piekła przekona ona się wtedy najlepiej, gdy się sama tam dostanie.

* * *

W coraz dłuższą ciemń spowijały się noce, ranki opóźniały się coraz bardziej, zamiast budzić jasnością, dawały wyczekiwać na się żrenicom. Podmuchy zimne zjawiały się, szły od lasów i pól i nawiedzały siedziby ludzkie, lecz w przerwach

między tymi echami idącej zdala zimy, przychodziły jeszcze dni, które były uludami lata. Po chwilach, kiedy chmurne niebo zniżało się jakoby nad ziemią i zdawało się całować ją zsiniałymi wargami bezbrzeżnej tęsknoty, następowały momenty słoneczne, a jasność miała być jeszcze tak czysta i rozwieleniona w błękitach, iż pierzchała przed nią szarość w poczuciu bezprawnego swego istnienia wobec tej mocy. *Podobny cud dział się także w jednym zaułku ogrodu. Spóźniony słońceznik tak zuchwale, z taką tryumfalną świadomością swej złocistości podnosił głowę, że stawał się jednym, jedynym, wyłącznym. Wobec niego nikły trupy sterczących łodyg, widziało się tylko to jego śmiałe, płomieniste oko miłośnie w słońce wpatrzone. Szarość okólna uwypuklała jego krasę i nadawała mu ton tego samego zwycięstwa, jakie miała światłość niebieska z chmur wyzwolona. W życiach ludzkich bywają też takie plamy jasne, będące kontrastem ze zszarzałym otoczeniem, walczące bezwiednie z mrokami i tryumfujące swą świeżością, a nazywają się one „młodością”, są zaś pokrewne ze światłością poranku i z kwiatem słońceznika, trwają póki nie zakryje ich chmura ciężkiej świadomości, lub póki nie zwiędną, nie opadną ufne ramiona liści.

W poranek jesienny zeszły się takie plamy słoneczne: słońce, kwiat i dziewczyna. Przyłgnęły do siebie prostą, pokrewną duszą i pokochały

się. Było im razem bardzo dobrze, żyli ułudą lata.

Zofja rozgniatała stopami trupie okruchy zieloności i szła ogrodem ku polom, pociągana wyjątkową świeżością powietrza. Rżyska cieszyły się błyszczącą rosą, która pryskała lekko z pod stóp, niby sperlona tęcza. Każdemu krokowi towarzyszył suchy chrzęst sierocych zbożowych kolanek. Samotność uczuwana wśród pól nie przygniata, nie tłoczy, jest raczej miłą, bo niesie z sobą swobodę dalekiego horyzontu, a w szerokich przestrzeniach daje możliwość odnajdywania niezliczonych, drobnych cudów przyrody. Do każdego źdźbła rośliny może przywrzeć dusza błądząca, jako do samostnego w sobie istnienia, mającego w tych bezkresach swoje własne życie, początek, trwanie i koniec. Miljardy stworzeń malutkich zaludniają piędzi ziemi i każde w tym kierunku dąży. Wszystko tu jest życiem, wszystko miłością ziemi... Nad rowem, w obszarze jednej skiby Zofja odkryła mikroskopijny światek o niewysłowionym uroku. Roślinki miały w nim żywsze barwy i tuliły się do siebie, niby w kręgu rodzinnym. Były między nimi i młodsze i bujniejsze i bardziej przygasłe, zestarzałe; takie, które już dawno kwiat swój straciły i takie, które jeszcze jego świeżym wspomnieniem żyły. Ponad grupkami macierzanki i koniczyny górowały wysmukłe, wiotkie trawy o mglistych, puszystych głowach. Dwie drżączki o bojaźliwych

serduszkach gięły się ku sobie złączone delikatną pajęczą nicią, która związawszy wierzchołki gibkie i uległe wytworzyła niejako bramę prowadzącą do tego minjaturowego królestwa. Rosa wypisywała na nich znaki tajemnicze, lśniące radością jakiegoś powitania dla przelotnego motyla. Lecz tuż obok tego subtelnego, tryumfalnego łuku, którym może mrówki przenosiły płody swej pracy, tuż obok na gwiazdnych listkach mleczy znajdował się odrażający ludzki ślad i hańbił pieśń tej jednej skiby. Zofja wczas usunęła stopę i szła dalej wzdłuż rowu, gdyż na rżysku zbyt przemoczyła nogi. Wyszedszy na wzgórek spostrzegła w pobliżu młócone lokomobilą stogi i złocisty pył wiejący dołem koło pracujących, a rdzawy dym ponad ich głowami. Przystanęła chwilę, poczym zawróciła ku domowi. Dopędził ją wnet tupot końskich kopyt i z zamyślenia zbudziło gwałtowne osadzenie w miejscu wierzchowca. Pan Kulesza zeskoczył dziarsko i wyciągnął życzliwie dłoń ku niej.

— Pani już do domu?

— Tak, pora lekcji się zbliża.

— Szkoda, przeszlibyśmy się razem po polach, sami, swobodni, tak rzadko jesteśmy razem, a to nam się należy...

— Należy... dlaczego?

— Bo my się wzajemnie odczuwamy, bo gdy pani tymi jasnymi, szczerymi oczyma spojrzy na mnie, to mam wrażenie, jakby przeglądała najwię-

ksze tajniki mej duszy... bo... A ja tu jeden jedyny rozumiem panią, wiem, jak dalece musi się czuć samotną w obcym domu i chciałbym, aby we mnie znalazła pani wyraz najgłębszej życzliwości. Czy pani wierzy, że jestem jej bardzo, bardzo życzliwy.

— Wierzę — jestem wdzięczna.

— Nie, nie o to chodzi, ale dlaczego pani w takim razie, od pewnego czasu najwyraźniej mnie unika? Czy może pani się mnie obawia?

— Obawia? — nie, dlaczego? — spojrzała na niego zdziwiona — ja tylko...

— Tylko... co?

— Nie chcę, aby pan poświęcał więcej uwagi mnie, niż...

— Niż?

— Swojej żonie... jej to może być przykre.

— Mojej żonie?... Ha-ha-ha — śmiał się Kulesza w napadzie niepowstrzymanej wesołości. — Żona moja to nie taka, jak pani kobieta, to posąg, i to w dodatku nieładny, w niej nic nie żyje, nie pociąga, nie czuje, a usta jej otwierają się tylko po to, by wypowiedzieć jakąś zgryźliwość. Jej wieczne niezadowolenie nie rodzi się z przykrości, lecz z wrodzonego, niemilego charakteru — powtarzam pani, że nas z żoną absolutnie nic nie łączy i łączyć nie może... A pani ma złote najlepsze serce. Chciała się wyrzec tych naszych chwil wspól-

nych pogawędek, które były jej miłe, prawda—powiedzieć.

— Tak, taka tu jestem sama...

— I chciała się pani tego wyrzec dla kobiety, która na każdym kroku ją poniża, która nie umie ocenić jej szczerych trudów... pani jest najlepszą istotą, jaką spotkałem, odtąd jeszcze bardziej będę tęsknić za nią.

— Tęsknić?

— Tak, jak tęskni człowiek idący przez złe, nieprzychylnie mu życie, do jasnego zjawiska, ukazującego mu się w chwili, gdy już o wszystkim lepszym gotów był zwątpić.

Przy tych ostatnich słowach Kulesza westchnął z ciężkością, okazującą bezmierną gorycz jego istnienia. Wiedział on, że na kobietę można działać trojako: komplementami lub uwielbieniem, wykazywaniem jej niesprawiedliwości losu, w taki sposób, by zapragnęła czegoś wyłącznie dla siebie, czegoś lepszego, i wreszcie pobudzaniem litości w jej sercu. W stosunku do Zofji to ostatnie działało najskuteczniej. Serce jej było tkliwe i wrażliwe do tego stopnia, że chętnie powiększało nawet rozmiar cudzego smutku i bezgranicznie pragnęło dopomóc.

Rozmawiając tak dochodzili już do ogrodu, gdzie czekała uchylona furтка w ogrodzeniu. Słodkim uczuciem przyjaźni wezbrała dusza samotnej dziewczyny. Czuła, że od tej chwili nie będzie już

samą w tym domu, że smutki jej i radości będą odgadywane i że dzielić je będzie mogła, że jednocześnie da z siebie temu życzliwemu człowiekowi takie odczucie jego smutków, na jakie on zasługuje i pasmem cierpień i swą subtelnością. Spojrzała na niego wzrokiem obiecującym wierną przyjaźń i serdecznie, ufnie wyciągnęła dłoń na pożegnanie. Chciał ucałować jej rękę, lecz wyrwała mu ją i znikła w ogrodzie lekko ze zdjętym samotności ciężarem. On uśmiechnął się i posłał za nią wesołe, jasne imię „Zośka”, którego już nie mogła dosłyszeć, a potem całus swawolny oddany dłonią przestrzeni i sam słodką obdarowawszy się obietnicą dosiadł konia i pewny siebie, wyprostowany, dziarski, zadowolony, mknął wśród pól, po obszarze swych dóbr, niby pan stworzenia.

* * *

Nie było prawie dnia, aby Hania nie została ukarana przez matkę za upór. Dziecinną jej duszę wypełniało po brzegi poczucie krzywdy i rosło egzaltowane wyobrażnię. Kiedy raz Zofja zastała ją tonącą w gorzkich łzach, dobrotliwie przygarnęła do siebie tę cierpiącą istotkę. Pod wpływem tego serdecznego dotknięcia nagle otworzyło się serce i powtarzało między nerwowymi szlochami:

— Jestem nieszczęśliwa... nieszczęśliwa...

— Pomyśl Haniu, czymże są twoje drobne przeciwności i smutki wobec ogromu ludzkich nie-

szczęść. Pomyśl, ilu jest na świecie ciepiących bądź fizycznie, bądź moralnie, ile dzieci prawdziwie nieszczęśliwych, ile sierot.

— Co mi za pociecha, ja chcę, żeby i oni byli szczęśliwi i ja.

— Niejednemu mogłabyś ulżyć w cierpieniu, a swój smutek sama sobie wytwarzasz, masz wszystkie warunki do szczęścia, bylebyś tylko ty była inna — —

— Ja nie będę inna, ja nie chcę... po co ja mam komu nieść ulgę, niech nie będzie cierpienia i koniec... po co mi dokuczają, ja nic złego nie robię, ja chcę, żeby mi dali święty spokój...

— Matka twoja, Haniu, uczy cię naginać się, ustępować, to w życiu konieczne — z czasem ocenisz to i będziesz nawet wdzięczną...

— Ja nie chcę ustępować, gdy to niepotrzebne, ja chcę, żeby mi było dobrze. Niech innym też będzie dobrze.

— Życia nie zmienisz dziecko, nie może być wszystkim dobrze.

— To dlaczego ludzie żyją?

— Stworzeni są po to, by nad wszystko kochali Boga i by pełnili Jego przykazania — wówczas życie przyszłe wynagrodzi im wszystkie bóle.

Hania przestała płakać, przykucnęła na ziemi u kolan Zofji, wpatrywała się w nią badawczo, wreszcie zapytała:

— A kto lepszy, Bóg, czy dobrzy ludzie?

— Haniu, cóż za myśli przychodzą ci do głowy, zastanów się tylko, wszak uczysz się w katechizmie, że Bóg jest to istota najdoskonalsza...

— Królowa Jadwiga, wyprosiwszy wynagrodzenie krzywdy chłopkom, zapytała: „Kto im łzy powróci”? Pan Bóg wynagrodzi ludzi niebem, ale łzy pozostaną wypłakane.

— Mnie się zdaje, dziecko — ciągnęła Zofja — że łzy nadają życiu większą wartość, dają nawet możliwość większego oceniania radości. Człowiek, który płakał nad swoją samotnością, z jakąż głęboką wdzięcznością przyjmie choćby okruchy życzliwości — przyjaźni... Matka płacząca nad chorym dzieckiem, z jakim uniesieniem powita jego powrót do zdrowia...

— A jeżeli nie znajdzie się przyjaciółki, a dziecko umrze?

— To trudno, łzy są nieodłączne od życia.

— Ale ja wolę nie płakać — odpowiedziała Hania z właściwym sobie tonem uporcu, nie dając do siebie przystępu pojęciom chrześcijańskiej rezygnacji.

* * *

Kiedy w niedzielę zjechała się dzieciarnia z sąsiedztwa, wówczas obumierający jesienią ogród ożywał, napelniał się gwarem, śmiechem, wesołością. Stare drzewa zdawały się patrzeć z miłością

i przywiązaniem na ruchliwą gromadkę, która niejako wzrastała w ich cieniu. Klony, buki, jesiony, lipy widywały ongiś ich matki, spacerujące lekkim, szczęśliwym krokiem młodziutkich mężatek i słyszały ich zwierzenia z pierwszych poślubnych nocy. Potym, gdy roztopiły się białe całuny zimowych pościeli, wyrzwały w odległe ścieżki też same postaci kobiece po snach już prześnionych ze zdeformowanymi przez rzeczywistość figurami i z trudem chyliły się na gazonach po pierwsze fijołki. Zmęczone siadały na białej ławeczce i snuły trwożliwe marzenia, miłosne przeczucia wkoło białych kołysek. Niezadługo popod lipą w kwieciu potoczył się wózek dziecinny. O podniesioną budkę zawadziły gałązki jaśminu i ujrzały coś nieskończenie rozkosznego wśród białych koroneczek. Do zerwanych kwiatów zaczęły się wyciągać malusieńkie piąstki. A potym, potym, obłamywanymi kijkami poganiało się nianię uczącą pierwszych kroków w grabowym szpalerze. Między klonami zawisła huśtawka. I tak dalej i dalej... Zjawiały się w ogrodzie coraz nowe buziuchny różowe, wychodziły z pod dachu i szły ku drzewom. Szumiały im gałązki kołysanki, bawily ich kwiaty i świergotały im ptaszęta. A one rosły i brały w posiadanie wszystkie aleje, wszystkie kąciki. Krzewy skupiały się, jakby specjalnie po to, by dawać im swe zielone kryjówki w „chowanym”, żwir złościł się, by kreślono na nim koła i kwadraty, wszystko tu było dla nich —

dla dzieci. Kochał je ogród. Na szmaragodowo-zielonym, na złoto-żółtym i na śnieżno-białym tle snuły się baśnie dziecinnego życia.

Dziewczynki, jak zwykle tak i teraz trzymały się razem. Połączone splotem przyjacielskich ramionek, szły trzy sylwetki, trzy poczynające się istnienia, w odrębnych indywidualnych zarysach. Była to Hania i dwie małe Kownarówny: Marta i Halszka, wszystkie nieomal w równym wieku. Hania skryta, najtrudniejsza była do przyjaźni, a w zabawie najmniej zgodna. Marta drobna, ruchliwa bruneteczka, była żywa, jak iskra, wesola i kokietka, śmiała się głośno, hałasowała i bez pamięci oddawała się zabawom. Halszka, o wygładzie Rafaelowskiego słodkiego aniołka, miała wyraz grzecznego skupienia i wielkiej łagodności. Władek pogardzał „babskim towarzystwem” i biegał samotnie, nie zważając na zaczepki Marty, na jej figlarne minki skierowane w jego stronę. Tazio pochłonięty był całkowicie pracowitym zbieraniem z ziemi żółtych liści i układaniem ich w płaskie bukiety, w zajęciu tym nikt mu nie przeszkadzał, to też posuwając się na kolanach zawzięcie brudził spodeńki. Nagle powstał projekt wejścia na dach domu, aby stamtąd zobaczyć Wisłę. Drogę znał tylko Władek, trzeba było uprosić go za przewodnika. Zgodził się po wielkich targach, gdyż takie drapanie się, uważał za nieodpowiednie dla dziewczynek i lękał się, że jako „urodzone plotkarki”

wszystko starszym wygadają. Hania już chciała się obrazić na brata za taką nieusłużność, Halszka obawiała się, czy ciocia byłaby z tego zadowolona, lecz nie śmiała lęku swego wyjawić, w końcu zaklęcia Marty osiągnęły skutek i nawet zgodzono się zabrać ze sobą Tadzika. Weszli na strych przez schody kuchenne, a potem wyżej przez otwór w dachówce. Oczom dzieci przedstawił się szmat ich rodzinnego kraju z tymi uroczymi dalami ginącymi w krepowej obwódce lasów. Na ciemniach gleby leżała krzyżem wioska szara, cicha, całująca miłośnie ziemię. Wiły się miedze, niby wstążki od dróg warkoczy ciemniejszych i jasnych. Zielonymi plamami szły łąki i przerzynały się poprzez lasy ku horyzontom, kędy migotało coś nieskończenie srebrzystego, jakaś wielka, choć odległa ożywość tego krajobrazu, jego życiodajność. W wyjątkowo czystym powietrzu widać było tę smugę świetlaną, która w przestrzeń idąc — w przestrzeni ginęła.

— Wisła! Wisła! — krzyczał Tadzio, mimo, że nie widział, bo pozwolono mu tylko głowę wysadzić z otworu. •

— Cicho, nie psuj nastroju — upominała go siostra.

Dziewczynki wpatrywały się w skupieniu w ten szmat kraju, w którym urodziły się i żyć miały. Wrodzone przywiązanie do ziemi zaczynało coraz potężniej kielkować w ich sercach, a kochana

rzeka potęrała o struny patryotyczne i w wyobraźni snuła się między dziejami i legendami narodu. To było pierwsze, dominujące wrażenie, a potem każda z tych małych istot poszła swym szlakiem myśli. Halszka zanurzyła się w łzawe i krwiste opary idące od tej ziemi — od pobojożyka. Hania kombinowała kierunek Krakowa i Gdańska, myślała o żyznych polach ścielących się po brzegach tej rzeki i jakby to dobrze było, gdyby zamiast piasków wszędzie była gleba urodzajna — kraj byłby bogatszy. Marta zaś spostrzegła golasków, kąpiących się w pobliskiej sadzawce i interesowało ją, czy obserwację tę Władek podziela, lecz ten ostatni interesował się gniazdami koło komina.

Po zejściu z dachu zabrano się do krokietu. Poustawiano bramki, ciągnięto młotki, przyczym Marta tak manewrowała, aby grać z Władkiem, lecz jemu chodziło tylko o to, aby świetną grą zaimponować „babom” i powysyłać wszystkie kule „na grzyby”, posuwał się zamasyście naprzód, z brawurą zwyciężając przeszkody, siostrę posłał „gdzie pieprz rośnie” z takim rozmachem, że uderzył się w nogę, lecz ból zniósł mężnie dla niepoznaki, w przeciągu dwu kolejek dobijał się do palika, z pogardą obserwował niepewne ruchy dziewczynek, które długo celując zwykle nie trafiały.

— Wszystkie kobiety są niedołągi i nie umieją

zwycięzać — zauważył z miną poczynającego się w nim tryumfatora losu.

Koło zaafowanej grą gromadki przechodzili panowie, zmierzając w kierunku podwórza. Byli to: Kulesza, Kownar i dwaj księża; proboszcz z wikarym.

— Kto zwyciężył? — zagadnął proboszcz.

— Ja — odpowiedział dumnie Włodek.

— Zuch mężczyzna — poklepał go dobrotliwie po ramieniu i przeszli dalej oglądać nowoprowadzonych z zagranicy byczka i jałówkę, którymi to wspaniałymi okazami hodowli szczycił się gospodarz i coraz bardziej przesadzał w cenie kupna.

Plac krokietowy oddzielony był od kuchni grupą krzewów. Klucznica, zwana Marcinową, tęga, energiczna baba, wdowa po jakimś majstrze mularskim, lubiła się przyglądać dziecinnym zabawom, a małe jej oczka latały za smukłą sylwetką „starszego panicza”. Trzymała ona jeszcze w ręku wielką łyżkę, którą zbierała szumowiny z przesmażanych konfitur i oblizawszy takową ze smakiem, mlasnęła szerokim językiem. Przesunęła się koło niej dziewczka czeladna, która chamskim zwyczajem „szła w krzaki”. Marcinowa szturchnęła ją w bok.

— Felka, patrzno, jakto nasz panicz gra — —

— Jakto se stoi — niby malowanie —

— Ładny, co?

— Bogać nie — całkiem, jak starszy pan.

— I taki sam kawał chłopca z niego będzie, dziewczynom nie przepuści.

— Coby miał przepuścić, same będą lazły do niego.

Zachichotały obie w garści, Felka przykucnęła na ziemi, a potem poszła do kuchni mieszać pomyje dla świniaków.

Marcinowa czekała, dokąd Władek gry nie skończył, poczym wychyliła czerwoną, sprośną twarz z pośród gałęzi i śmieie zagadała.

— Niechno panicz idzie, jest świeża maślanka.

Władek rzucił młotek niedbale i jednym susem przesadził krzaki, wdeptał w świeży ślad, obtarł but o trawę i cwałował dalej za klucznicą.

— A to nieładnie opuszczać kobiety — żaliła się Marcia.

— Radźcie sobie same — odkrzyknął.

Tadzio został usunięty z gry, bo przy każdym uderzeniu kuli stukał się młotkiem w brodę i mazał. Posłyszawszy o maślance, którą też bardzo lubił, podążył za bratem, lecz w chwili, gdy dobiegł kuchni, drzwi były już zamknięte, klamki nie mógł dostać, więc próbował się wdrapać na okno od pokoju klucznicy i prosił, by mu otworzono. Zobaczył w głębi Władka, który stał przy masielnicy jakiś zażenowany, a Marcinowa szeptała mu coś do ucha i prawie obejmowała go rękami o zakasanych rękawach.

— Otworzyć, otworzyć, chcę też maślanki...—
wołał Tadzio.

Klucznica zerwała się zła, przypadła do okna,
zasunęła firankę i odhuknęła gniewnie:

— Maślanka nie dla takich smarkatych.

— Powiem Mamusi — zawodził Tadzio i za-
płakany odchodził.

* * *

Tego wieczora Zofja siedziała smutna w swym pokoju. W ciągu dnia zwróciły jej uwagę spojrzenia panów, jakby skoordynowane w jakimś utajonym przypuszczeniu. Ze szczególnym akcentem wzroku przyglądali się jej; Kownara przyłapała raz na drwiącym błysku oczu, lecz próżno szukała przyczyny takowego. Zdawało jej się także, że czyni on proboszczowi uwagi o niej, tonące w dwuznacznym chrząkaniu tego ostatniego. Czułaby się może onieśmielona tym wszystkim, gdyby nie wyjątkowa uprzejmość, jaką ją otaczali, a zwłaszcza sygnalizująca się tym razem życzliwość pana domu. Miło jej było, że on tak jawnie przyznaje się do ich przyjaźni, bo już była się przyzwyczaiła do drugorzędnej roli w tym domu. Była więc ożywiona, swobodna i wesoła, chmurna twarz pani przestała ją razić mocą przyzwyczajenia, traktowała to, jako nieodłączny rys jej powierzchowności, i nie biorąc, jak dawniej do serca, starała się jednak o ile możliwości być jej miłą, usłużną bez względu

na nieosiągnięcie rezultatu. Powoli żywała się ze środowiskiem i nawet przywiązywała się do takiego, wyrabiała się w niej nawet podatność do przyjmowania najmniejszych trosk domowych, które mimowoli odsłaniały się przed nią, ponieważ była widzem i współaktorem tego życia w ramach wiejskiego dworu. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie niepokojące wieści, dochodzące ją z domu: ojciec coraz bardziej zapadał na zdrowiu, lekarz i apteka wymagały wydatków nieobliczalnych w zwykłym budżecie. Witold stracił praktykę handlową i błąkał się bez zajęcia, Zygmunt nadaremnie przepracowywał się korepetycjami; biedna jej rodzinka nie mogła związać końca z końcem. I oto przed chwilą nadszedł list nowy, donoszący o ataku na mózg, który spotkał ojca niespodzianie, w chwili, gdy pił swoją nieśmiertelną herbatę. Na lekarza już nie było pieniędzy, chory męczył się w nieprzytomności i wzywał pomocy, powtarzając ukochane imię córki, gdyż długoletnia choroba nie umiała jednak wyrwać z serca jego tego najgłębszego przywiązania, pomimo, że zabrała mu tyle życiowych świadomości i upodobniła z dzieckiem. Miłość jego do Zofji nabierała tylko cech niemowlęcego przywiązania, czuł w niej podporę nie tylko materjalną, ale i moralną rodziny — czuł instynktownie, i teraz ostatecznie obezwładniony wzywał jako ostatniego ratunku pomocy tej, która zdala młode swe siły obcym oddawała ludziom. Zofja

behradna, przybita, kulila się cichą boleścią nad tymi kartami listu, mówiącymi do niej nędzą jej najbliższych. W powodzi niedbale rozsypanych włosów zatopiła nerwowo zakrzywione palce. Siedziała tak pochylona nad stołem, gdzie opodal leżały stosy kajetów przygotowanych do poprawki. Stała przed nią naga, rozpaczna nędza życia i zatopiła w jej młode istnienie szpony materialnego ubóstwa. Brakowało pieniędzy, tak pieniędzy! Zamigotały jej w wyobraźni monety srebrne, miedziane, duże i mniejsze. To było to, co mogło wyratować jej ojca, co mogło uchronić braci. To było to, czego nadaremnie poszukiwał zmęczony Zygmunt w wytartej portmonetce. To było to, dlaczego ona była tu, a nie między nimi. To było to dla czego pracowała, za czym uganiają się wszyscy ludzie. To, czego ona pragnęła w tej chwili z taką potęgą, nie dla siebie, ale dla nich. Trzeba będzie wybrać pensję naprzód, dużo naprzód, zanim ją zapracuje. Trzeba iść, poprosić o to, co jej się jeszcze nie należy. Mogą odmówić — o odmówić — to byłoby takie straszne, takie upokarzające. Trzeba iść prosić — zaraz, zaraz, mimo dumy, obawiającej się odmowy... Ale nie, on mi nie odmówi, on dobry, on nie odmówi, serdeczny przyjaciel... On wie, że ona odwdzięczy mu się za tę chwilową pożyczkę, odwdzięczy jego dzieciom w pracy usilnej. On ocenia jej pracę, a zatem czemu miałby jej odmówić? Trzeba więc wstać i iść...

Noc słała się za oknami, przy oknie strażowało ciemnościom drzewo stare, rozłożyste. Cicho było. Dzieci obok w pokojach już spały. Taka idealna cisza może być tylko na wsi. Spowiła ona zbolełą duszę jakąś zatrwającą wiecznością.

Z ciszy i w ciszę idę, lecz we mnie targa się nawałnica smutku i trzepocącą tęsknoś bezkresna... Jestem sama... mroki wydają się być jakimś zwartym gęstym kirem, na którym bezwładnie opada szarpane istnienie. Ręce chwytają się próżni, bo Bóg, unoszący się ponad ciemnościami wydaje się jeszcze bardziej odległy i nieprzeblagany...

Mój biedny, chory ojcze, moje ty dziecię starcze, jakże ja ci pomogę? — skarży się Zofja przez łzy na list spadające. Wobec możliwości utraty ogromnieje jej uczucie i sama aż się dziwi, że kochała, że kocha tak bardzo. Trwoga ogarnia ją na myśl, że ta siwa głowa zapaść się może w przeszłość nieodwołalną. Chce go przytulić, pocieszyć. Chce dech własnego życia, własnej młodości pchnąć w gasnące istnienie. Ale nie w jej duszy jest teraz źródło uzdrowienia, lecz raczej w zimnym pieniądzu i to sprawia jej ból, zazdrosna jest o monetę, o grosz, który ojcu jej zdrowie niktające ma jeszcze na czas jakiś zatrzymać. Lecz trudno, to jest życie... trzeba iść po pieniądze...

Wtym cicho, niedosłyszalnie drzwi skrzypnęły i wszedł pan Kulesza, jakoś lękliwie, jakby nie wiedząc, jak o tej porze będzie przyjęty. Zobaczył

smutną i wnet pojął, że łaskawy los spuszcza mu rolę pocieszyciela. Postarał się nadać miękkość subtelną ruchom i uczuciowe brzmienie głosowi. Dotknął ją delikatnie ramieniem i szepnął:

— Dziecko smutne? Czemu?

Była tak zaabsorbowana swym bólem, że nie zdała sobie sprawy ze zbyt poufalego objęcia, ani z tego, że on niespodzianie po raz pierwszy znajduje się w jej pokoju. Wydało jej się, że oto łaska boża zsyła jej tego przyjaciela, by przed nim wypowiedziała swój smutek. Poczowała bezgraniczną wdzięczność, że przyszedł, że przeczuł jej nieszczęście. Toż i on ma córkę i musi rozumieć miłość ojcowską i przywiązanie dziecka.

Zofja z prostotą zaufania opowiedziała mu treść listu i jakaś ulga towarzyszyła jej sercu przy tym zwierzeniu. Lecz, co dla niej było tragedją, to jego nie przejęło zupełnie, było mu obce. Widział tylko dziewczynę młodą, ładną, pachnącą świeżością i czystością wylanych łez, wiedział tylko to jedno, że jest tuż koło niej, tak blisko, jak jeszcze nigdy w życiu... Ta świadomość go upajała. Wzruszenie wysubtelniło rysy Zofji, podnosiło jej okrągłą pierś nerwowym, krótkim oddechem. Nie widział jej duszy przepelnionej wyjątkowymi odczuciami, ale spostrzegał jedynie fizyczną w niej zmianę. Panieński pokój w ten wieczór taki cichy miał w sobie wonie odurzające, zawrotne. Oczy dziewczyny opłókanę rosą szklily się, jak lazuruwa

woda, w której przezroczu dojrzeć można było cudowne głębie. Spieczone jej wargi zdawały się wzywać gorącego pocałunku, któryby je odświeżył. Jeszcze chwila, a stoczą się po karku złociste włosy, zaledwie umocowane. Jakieś tętna przyśpieszone zabiły w skroniach mężczyzny. Poczul, że kobiety tej w tej chwili odmówić sobie nie potrafi. Kiełkujące w nim zdawna pożądanie dojrzało nagle zupełnie. Przypadł do niej w jakimś ruchu niezgrabnym swą gwałtownością.

„Dam ci pieniędzy ile zechcesz, ty najpiękniejsza, sto, tysiąc rubli, ojciec twój wyzdrowieje, będzie miał najlepszych lekarzy... braciom wyrobę posady...”—szeptał, gotów do największych obietnic.

Zofja zmartwiała z przerażenia. Zanim zorientowała się, co się dzieje, on już przemocą całował jej dziewicze usta. Uderzył w nią piorun okrutnej, niesłychanej rzeczywistości. Jak w duszy skazanego na śmierć, tak w niej w jednej chwili odbył się niesłychanie przyśpieszony proces myślenia. Ogarnęła w sekundę potworne zjawisko. Usłyszała nieomal fizycznie walenie się gwałtowne jakichś niesłychanych gruzów; pojęła, że to wali się jej własne życie. Poraz pierwszy doskonale zrozumiała rzeczywistość i z pogardą spojrzała na dotychczasowe swoje ułudy. Tak, w momencie tym gardziła wszystkimi swymi snami młodzieńczymi, wszystkimi marzeniami i ideałami, wyrozumiałością

swą dla ludzi, ofiarnością serca; pojęła, że to wszystko jest nie warte pomieszczenia w t a k i m życiu. Ziemia przedstawiła się jej, jako jedno ścierwo i zgnilizna. Nigdy jeszcze nie chciało jej się tak szczerze roześmiać. Poco ratować umierającego ojca, niech ginie, skoro życie jest takie, skoro los zsyła jedynie podłość, jako środek dla ratowania go przez córkę! Niech ginie wszystko, wszystko co dobre, każde lepsze, idealne uczucie, aby nie obcierało się z błotem!

W tym pocałunku wyrwanym przemocą ujrzała tryumf zła nad dobrem, przewrotności nad nieświadomością, wyuzdania nad niewinnością. A więc skoro tak jest, niech do reszty zło tryumfuje, pozwólć mu się wziąć, a potem przerwać to marne istnienie i niechaj ona młoda, czysta ginie, a on zwycięża i wypoczywa w zadowoleniu na jej trupie. Ale nie! wstręt nią owładnął i ohyda.

— Precz, precz! — wołała odpychając go rękoma.

— Podły, podły... syknęła mu obelgą w twarz nie mogąc na razie wyszukać innej nazwy.

— Zośka! — wołał nieco oprzytomniwszy jej rozpaczłą obroną — Zośka, ja przecież nie... ja tylko....

— Nie nazywać mnie tak, niewolno! — wołała niewygasłą dumą, wyrwała mu się instynktownie, poczęła uciekać korytarzem, zdawało jej się, że w ten sposób ucieka od czyhającego na nią

nieszczęścia. Tam przecież są ludzie, usłyszą, upamięta się obawą skandalu. A może zbudzić jego dzieci i powiedzieć im.

— Oto ojciec wasz chciał mnie znieśliwić! Może te jedyne, jedyne dziecięce serce zdolne by było ująć się, ująć się za jej krzywdą —

Zatrzymała się, nie gonił jej, pozostał tam. Dokąd że się udać, dokąd iść? Nad drzwiami prowadzącymi do kuchni ujrzała blade światło, tam jeszcze nie spali. Pragnieniem jej było znaleźć jakąkolwiek żywą istotę byle nie pozostać samą. Niewiele więc myśląc otworzyła drzwi i weszła wybladła, potargana, niby zjawa tego duchowego przerażenia, jakie się w niej mieściło.

— Jezus Marja! co się panie stało? — wołała zrywając się Marcinowa.

— Nic, ojciec mój ciężko chory...

— A tu właśnie przynieśli depeszę — myślałam, że panienka śpi, nie chciałam budzić...

Ostatkiem sił zabiło serce Zofji spodziewała się już najstraszniejszego i zdziwienie ją ogarnęło, gdy przeczytała słowa:

„Ojciec jednakowo, zgrałem się, ratuj — Witold”

A więc jeszcze nie umarł—czyli jeszcze potrzeba pieniędzy. Ale teraz już przepadło, już ona nie może pójść prosić o pożyczkę... teraz już koniec. Beznadziejność sytuacji zakręciła w jej głowie rozpaczą. Zatoczyła się i omal nie upadła. Marcinowa pod-

sunęła jej stółek, dała wody i przyglądała się z zaciekawieniem, jakie miewają ludzie dla cudzego nieszczęścia. Z jasnowidzeniem istoty, które wiele przecierpiały, przesubtelnionym swem czuciem ujrzała braci swych przy łóżku chorego.

— Potrzeba wina — mówi Zygmunt.

Niema...

— Okładu z lodu....

— Za co kupisz?.... pyta Witold.

— Gorzej, trzeba wezwać doktora...

— Zaco? zaco?

— Sprzedałem już wszystko — teraz chyba pójdę kraść...

— W mieszkaniu zimno... niema czym napalić...

Ojciec stęka, cierpi, usta mu drżą, ale mówić już nie może. Bezradni, zrozpaczeni, słaniający się z głodu, stoją obaj synowie u wezglowia. Wtym Witold bierze czapkę i idzie. Na ulicach migocą latarnie, topią się odbicia światła w kałużach, przedłużają się żółtawym, gromnicznym blaskiem.... on idzie.... dokąd? do nocnej knajpki, gdzie zbierają się koledzy dla wina, kobiet i gry.... siada i gra.... drżą mu karty w niebezpiecznej emocji.. ostatnia nadzieja... czy wygra? wkoło niezdrowa nocna wesołość. Ten i ów ściska dziewczynę, nuci sprośną piosenkę. Karty nie idą. Czyż by się wszystko przysięgło na ich dołę? Przegrał. Skończyło się W 24 godziny trzeba oddać dług karciany; ha, ha, ha,.....

Ratuj! Ratuj!

Głos ten właśnie w takiej napotyka ją chwili gdy ona nic nie może, kiedy w niej samej zaczęła się jakaś tajemnicza agonja.

Pieniądzy, pieniędzy! jakże dostać, jak zapracować!?

Nagle dziwny błysk przeszedł jej umysł i spopielone bólem serce. Jest, jest ratunek, taki prosty... jest wartość którą ona może ofiarować wzamian za pieniądze, a więc może uczciwie zarobić, tą wartością jest ona, ona sama! Zdziwiła się nawet, że tak małą cenę może zadośćuczynić potrzebie swej miłości i ocalić rodzinę. Pieniądz stał się rzeczą pośrednią, nie jemu zawdzięczać będzie zdrowie ojciec, ale jej, swej córce. Już nie jest bezradną, już wie, co ma uczynić. Jest wolna i może sobą rozporządzać. Konieczne, proste postanowienie owładnęło nią i pod jego wpływem rażno wstała.

— Czy kto umarł?— zagadnęła nie wytrzymując Marcinowa.

— Tak, umarł i rodzi się znów — odpowiedziała Zofja swym myślom i dodała: — życie jest prostsze, niż przypuszczałam.

Zaszła do swego pokoju, lecz już tam nie zastała nikogo. Podążyła więc wprost do sypialni pana Kuleszy. Zapukała i weszła, nie czekając odpowiedzi. Zastała go już na pół rozebranego. Zdziwienie jego nie miało granic: sądził, że przyszedł mu zrobić scenę, poczuł niesmak.

— Pani tu? — zagadnął.

— Tak, przyszedłam wysświetlić nieporozumienie, które zaszło między nami. Wina leży po pańskiej stronie, lecz nie w tym, że pan targnął się na mnie, bo to rzecz zwykła, naturalna, lecz w tym jedynie, że pan wobec mnie odgrywał długotrwałą komedję, udając przyjaźń, której nigdy w panu dla mnie nie było....

— Pani się myli— próbował jeszcze zapewnić.

— Nie, nie mylę się, proszę mi nie przeczyć. Niezawodnie używał pan taktyki zwykłej mężczyznom, lecz jest to rzecz błędna, tak jak każdy fałsz. Mniejsza o to. O przyjaźni mowy już tu być nie może, i to lepiej. Pan, chcąc postąpić szczerze, powinien był przyjść do mnie i zaproponować:

Pani potrzebuje znacznej ilości pieniędzy, których nie posiada, ja zaś pożądam pani i gotów jestem ofiarować za nią, ile pani zechce. Wówczas na podobną propozycję mogłabym się zgodzić lub nie, to rzecz naszego wspólnego układu. Lecz po odegraniu przyjaźni rzucać się na kobietę samotną i bezbronną jest rzeczą nieuczciwą, tym bardziej, że u pana było to zdawna w projekcie, od pierwszej chwili naszego poznania... Teraz dobrze pojęłam wszystko. Opadły me dawne złudzenia, nie mam już ich w stosunku do pana. Ponieważ jestem wolna i mogę sobą rozporządzać bez niczyjej krzywdy, a zatem postanowiłam tu przyjść i oddać się panu, gdyż jest to jedyny sposób... potrze-

ba mi pieniędzy, a potem co zaszło, nigdy nie przyjąłabym uprzejmości pańskiej.

Kuleszą z kolei ogarnął gniew za to bezczelne zdarcie maski z jego twarzy. Zapałał chęcią odwetu.

— prostytutka! — warknął przez zaciśnięte zęby.

Lecz na Zofję nazwa ta nie zrobiła najmniejszego wrażenia, stała spokojna i patrzyła mu prosto w oczy. On wahał się jeszcze chwilę, jakby w niepewności, co należy począć z tym fantem. Lecz instynkt mężczyzny bronił mu zmarnowania sposobności. Teraz czuł się nawet w prawie być brutalnym. Zbliżał się jednak do niej powoli, jakby z trudnością; wysilek ten powstał wskutek sytuacji dziwnej i moralnej między nimi odległości. Gdy jednak stanął tak blisko, że poczuł gorączkowe ciepło jej ciała i posłyszał trzepotanie serca, wówczas zamąciły mu się zmysły ponownie i cichą, uległą porwał w swoje objęcia. W tejże samej jednak chwili odpadł od niej, jak piorunem rażony, bo oto dał się słyszeć głos Marcinowej:

— Proszę jaśnie pana, przybiegli z podwórza, bo nowa jałówka bardzo zachorowała.

Ubrał się w jednej chwili i przerażony możliwością utraty ślicznego zwierzęcia wybiegł pośpiesznie do obory. Zostawił Zofję jakby zdrętwiałą, obumarłą, stojącą w tej samej pozycji, jak posąg zastygły z człowieka, który zbyt szybko przeniósł różnorodne wrażenia, aby mógł się z nich otrzą-

snąć. Po długiej chwili poruszyła się wreszcie, jak automat i powróciła do swego pokoju.

Rano przyszła druga depesza o śmierci ojca.

Zofja wyjechała. Kulesza szepnął jej na pożegnanie:

— Za parę dni przyjadę, czekaj mnie, hotel angielski.

MIŁOŚCI NA CHWAŁĘ CZY W OFIERZE?

Miłości, święć się chwała twoja!

Zaledwie świtać poczyna: Marta już nie śpi. Przeciąga się rozkosznie w łóżku, oczyma przesuwając się po ścianach i meblach miłutkiego panińskiego pokoiku. Powoli wylaniają się z mroków kontury niewielkiego biurczka, szafy, krzesielek. Jaśniejsza smuga błędnego światła pada na podłogę, wydłuża się i żywszego nabiera blasku. We wszystkich przyległych pokojach, w domu całym, trwa cisza i sen. Ona jedna tylko, obudzona jakimś dreszczem tajemnym, leży i marzy. Prężąc się jej ciało rozłożone wygodnie na miękkiej pościeli, z pod kołdry wysuwa się stopa drobna, śnieżnie biała, i odbija się na ciemnej mahoniowej poręczy łóżka. Leży na wznak z rękoma podłożonymi pod głowę, śmiałą linią rysuje się młode ciało pod przykryciem, kolana rozsuwają się z całą potęgą uświadomienia. Dziewczyna pragnie czegoś nieznanego, prawo natury kreśli nad nią, tak jak i nad innymi, jednakie swe wyroki. Purpurowe wargi rozchylają się tęsknotą pieśczości, zmysłową twarz silnej brunetki przyobleka mocny rumieniec, cie-

kawość pali umysł w formie przeróżnych zapytań. Marta marzy o miłości. Zna ją jedynie z przewlekłych romansów chciwie i w tajemnicy czytanych, zna z tego przecucia, jakie prędzej czy później budzi się w każdej duszy dziewczęcej i w dreszczach niedoświadczonego ciała oczekującego w nocie bezsenne i w takie właśnie ranki wiosenne na coś, co spełni się kiedyś w niewiadomo czyich objęciach. Ten ktoś był zagadką życia młodej Marty, był celem myśli jej i marzeń, był już kochany przecuciem, oddawało mu się obietnicą szalonej miłości młode serce, dla niego dojrzewało ciało i falowała pierś pod bielizną, jego wypatrywały ciekawe przyszłości oczy w każdym nowopoznanym. Cichy szept wewnętrzny tajnym napełniony drżeniem zapytywał, czy to ten, czy inny jeszcze.

A on — oczekiwany, wymarzony, pielęgnowany w najczystszych z pożądań — w pożądaniu dziewiczym on, przyszły mąż-kochanek, w tej samej może chwili gdzieś między miejskimi tłumami dążył na schadzkę z kochanką; za chwilę, kiedy tęskniące ramiona dziewczyny wyciągną się w przestrzeń ku niemu, on obejmować będzie inną i powtarzać to słowo jedyne, to słowo święte, ku któremu rwie się serce czekające. Kiedy dziewczyna ślubuje: kochać go będę całą duszą, wówczas on nie odpowiadając odpowiada: kocham. Kiedy dziewczyna przysięga: ty mój jedynty! — wówczas on za kulisami czeka na aktorkę. Kiedy dziewczyna

myśli: dobrowolnie, z rozkoszą oddam mu się w noc poślubną, wówczas on gwałci służącą, hańbi ją i krzywdzi. Kiedy dziewczyna wieczorem samotnie błądzi po alejach ogrodu, ciche snując marzenia zdała od zabaw i gwaru, on, przyszedłszy jej mąż, w kabarecie z demimondówkami je kolację, pije szampana, rzuca dwuznaczniki i sprośnych słucha piosenek.

Czyż ci mężczyźni, którzy z czasem młode, czyste dziewczyny pojmą za żony nie będą mieli ani chwili wahania, gdy brudnymi rękoma odpiąć będą ślubne ich suknie? O nie! z pewnością nie, bo od wieków i bez skrupułu przywykli brać miłość. Tymczasem te, które ich czekają, o ile zdolne są do głębszego uczucia, przeczuwając raje, nie przeczuwają jednak katuszy, którą będzie dla nich przeszłość ukochanego człowieka.

Marta zerwała się z łóżka; krew szybciej krążąca, słońce coraz ognistsze w barwach, zapach wiosny dłużej jej leżeć nie dały. Ubrała się napędce i cicho otworzywszy okno w budzący się sad wskoczyła, wśród którego stał dwór niemy na cud wiosennego poranku. Swobody szerokiego widnokregu zapagnęła jej dusza i Marta w pole pomknęła. Ciepła jeszcze była ze snu i ruchy pościelą miała rozleniwione, lecz wnet postać jej rozplomienily ognie wewnętrzne i zamieniły ją całą w wicher pożądania. Pełna burzy i szału biegła wyciągając dłonie, chwilami wyczerpana przypadała do zie-

mi spragnionymi usty. Gdzieś nad rowem rozdarła wyschłe kępy zeszłorocznej trawy, aby ginęło co zwiędłe, a młodość i życie królowały. Tratowała umarłe badyłe, lub nagle przyklękała na miedzach i gładząc roślinki, oddawała cześć naturze w jej najdrobniejszych istnieniach. Rozłożyła różowe paluszki na tle zielonym, nurzała je w rosie, a potem podnosiła dłonie w blaski słońca, aby je osuszyć. I znowu biegła dalej z takim pośpiechem, jakby obawiała się, czy zdąży przejrzeć te wszystkie czary wiosny. Może skończy się gdzieś ta ziemia upojna, może w jakich piaskach urwie się, skona zieloność! I oto rzeczywistość stanęła u szczytu ściany złotej od pierwiosnków. W tym miejscu nagle grunt się obniżał o kilkanaście metrów i u stóp tej stromej pochyłości zaczynało się rozległe torfowisko. Silniejszy blask obrzucił zatrzymaną w biegu postać Marty, w upojeniu zmęczenia rozkrzyżowała ręce i stała tak, nieco w tył podana, wdychając całą piersią świeżość poranku. Ocknęła się po chwili. Przed nią w nizinie czerniły się równo poukładane kłaftry torfu, a między nimi w wązkich rowach lśniła srebrzyście woda. Teraz dopiero spostrzegła Marta niepozorną postać wiejskiej dziewczyny, stojącej nieco na uboczu wśród paru krzaków leszczyny, gdzie właśnie skończyła uwiązywanie pasącej się krowy. W sylwetce tej było tyle prostoty, że zdawała się zrosniętą z krajobrazem, stała nieruchomo, cicho, jakby w obawie, aby ci-

szy uroczej nie zakłócić, lub kwiatów nie podeptać. Dwie różne dusze dziewczęce zlały się w hymnie rozśpiewanej niemą pieśnią natury. Ale jedna z tych dusz jest cicha i prostotą swą zjednoczona z promiennym duchem wiosny, druga zaś zdaje się wyrwać z więzów i depcząc je trzepocze się do lotu, rwie się w nieznane krainy, rozrywa szaleńcem swoje młode jestestwo, tarza się w namiętnościach jędrnego ciała.

— Pociś ty tu przysła? — pyta Marta dziewczyny.

Zagadnięta odpowiada nieśmiało: „Z krową przysłałam panienko, na pastwisko”... i pośpiesznie, jakby dla usprawiedliwienia dodaje: „ten kawałek aż do grobli to nasz... Z Fabjanówek jestem, mieszkamy kole tej topoli, co ją widać”. Cała w aureoli światła, w skromne perkale odziana, o niczym nieskrępowanej figurze, wiejska dziewczyna miała jakiś urok swojskości, to też Marta, spojrzaniem ją obrzuciwszy, w pewnej egzaltacji młodzieńczej zawołała: „Pociś ty to mówisz? — powiedz, żeś do wiosny przysła, żeś przysła duszę upieścić, rozśpiewać... Ty musisz także kochać wiosnę i wiosna ciebie! Powiedz! Nogi masz bose, stopami rozgniatasz perły rosy i czujesz rozgrzewającą się ziemię. Po nagiej szyi przechodzi ci ten sam miły powiew poranku, który moją twarz muska. Nie wstydz się, powiedz: wiosno, kocham ciebie, szaleję za tobą, tyś moja! Bo w wiosnie ta sa-

ma jest młodość, co w tobie i taki sam dech świeży i pachnący! Czy ty umiesz śpiewać? Zaśpiewaj... Najpierw cicho, cichuteńko, jakby trawy szemrały, a potem całą piersią, niech się pola oniemiały za, słuchają... Nie chcesz zaśpiewać? No to krzyknij, a zadrzy leszczyna, zadygocą główki kwiatów...

— Poco krzyżeć panienko, kiedy tak ładnie, jak cicho.

Marta w pierwszej chwili czuła się tak złączona z tą wiejską dziewczyną przez młodość i wiosnę, że przemawiała do niej słowami własnej duszy. Pieśń ta żywiołowa przerwana została prostą odpowiedzią i oto nagle uwyróżniła się w świadomości Marty różnica sfer. Trawiąca ją gorączka zmysłów nieco przycichła i spokojnie usiadłszy na trawie, patrząc na dziewczynę, poczęła w wyobraźni swej szukać dla niej tła w dobrze sobie znanym obrazie zbiorowej chłopskiej pracy. Wiejska sielanka staje przed jej oczyma. Oto na zielonej płaszczyźnie łąkowej porosły trawy wysokie, szarzeją ich lekkie pióropusze, sinawą mgłą unosić się zdają, gdzieniegdzie szczaw się zaczerwieni, ówdzie w wilgotniejszych miejscach górują wybujałe trzciny. Bujają roje owadów, barwne motyle spoczną to tu — to tam... Zbliża się czas sianokosów. Idą od drogi parobczaki i dziewczyny, kosy i grabie wyrosły lasem nad ich głowami. Idzie z nimi rozgwar, młodość, siły zwycięskie.

— Chodziłaś ty kiedy do roboty? — pyta Marta.

— Bogać nie — całe lato robiłam u tego Niemca, co to niedaleko ma zagrodę, ale mi się uprzykrzyło i ojciec powiada, abym lepiej gdzie w służbę poszła...

Marta nie słuchała i obraz swój snuła dalej:

Błysnęły zdrowe zęby parobczaka w szczerym uśmiechu, prostuje się, kosę ostrzy, a chyłkiem w tył się ożiera i za dziewczyną oczyma goni; może ją sobie na gospodynię do chaty upatrzył, a może tylko o kochaniu myśli, bo mu do gustu mocno przypadła.

I nagle Marta rzuca nowe pytanie: — Pocałował cię kto kiedy w same usta?

Tym razem jednak niema odpowiedzi: dziewczyna w skulonej postawie siedząca teraz opodal na trawie, zawstydzona się i pochyliwszy głowę na kolana cicho w dłoń zachichotała. Dziwnym pewnie wydało jej się takie zapytanie słyszane od pannenki ze dworu.

— A nie kochałaś się jeszcze w żadnym chłopaku?

— Co do kochania, to nieskora, a przytym i czasu na myślenie o tym niema, tyle co dnia roboty. W niedziele to ta różne swaty przychodzą, ale ojciec przeważnie wygania, bo co do tego Franka, co jest za forysia, to powiadają, że ma puisto w głowie i w kieszeni, co znowu się tyczy Wa-

lentego, lokaja, to się ojcu nie upodobał, że — mówi — zbyt w lokajskiej służbie spodlały, tylko się podlizuje, a panom w rękę patrzy. Mój ojciec, choć jest ubogi i prosty, ale hardy, i zawsze nas uczy, aby się zanadto nie uginać, bo na świecie tak bywa, że wiatery wiotką trzinę coraz więcej do ziemi nachyla i łamie.

Dziewczyna się rozgadała, a w miarę śmiałości postawa także jej się wyprostowała i wydała się w całej swej sile i zdrowotności.

— Jak tobie na imię?

— Józka.

— A więc Józka, pomóż mi rwać kwiaty.

— Szkoda panienko — takie śliczniutki...

Marta zbiera coraz szybciej i gwałtowniej, jakby szukając ujścia dla swej energii. Józka po chwili idzie za jej przykładem, najpierw powoli, wybierając kwiaty ładniejsze, a potem zarażona gorączką przysiada aż prawie na trawie i wyciąga coraz pożądszym ruchem dłonie do cichych, zrezygowanych kwiatów. Do twarzy Marty krew nabiega, trudno jej się schylać w ściśniętej figurze, pękło już kilka fiszbinów, pomimo to nie ustaje, ale posuwa się coraz dalej, pozostawiając poza sobą osieroconą trawę. Józka przechyla się sprawniej, ale i nią żar ogarnął, stanik się rozchylił i piersi wypukłe sterczą pod koszulą. Ręce dziewczęce spustoszyły zieloną ścianę, odarły ją z kwiatów... czyż na to, aby szybciej zwiędły?

Serca dziewczęce miłości są przeznaczone...
czy na ofiarę tejże, czy też na chwałę?

Marta składa narecze kwiatów, wpatruje się w nie, gdy tak leżą boleśnie, łodyga przy łodydze, główka przy główce, i po chwili, żalem nagłym zdjęta, przywiera ustami do złocistych płatków, a Józka obok klęcząc powtarza: szkoda ich, takie były świeżuchne, takie roześmiane!

Daj Boże, aby życie nie pożałowało się nigdy nad nimi samymi, bo moc pustoszenia ma ono wielką i jedna tylko da się jej przeciwstawić, moc twórcza, moc kochania.

Miłości, święć się chwała twoja!

Marta знаła chłopów — było to jej wewnętrzne przekonanie, mieszkała na wsi, więc z konieczności musiała się z nimi stykać. Widywała ich w polu przy pracy, gdy uginali się ku ziemi pod surowym spojrzeniem ekonomów, rządcy lub dziedzica. Widywała ich również, gdy bawili się gromadnie, bądź na weselach, bądź w czasie okrężnego, które dwór urządzał corocznie dla podtrzymania tradycji; wychodziła wówczas na ganek, aby przyjąć akt poddaństwa w mniemaniu, iż spełnia święty zwyczajowy obowiązek. Z przyjaznym uśmiechem przyjmowała Marta wieniec zrobiony z kłosów, które urosły wypracowane przez szarą czeredę i wracały plonem obfitym do rąk i kieszeni dziedzic-

ca. Nie przychodziło Marcie nigdy na myśl, aby poznawać pojedyncze istnienia chłopskie, czasem tylko brała ją chęć porozmawiania, bądź z babą przyźbę omiatającą, bądź z dzieckiem umorusanym, bądź z chłopem orzącym. Kierowała nią wówczas ciekawość właściwa wyższej sferze; gawędząc, starała się dobrać przystępnych wyrazów, po chwili jednak odszedszy, była przekonana, że nigdy więcej nie spotka się z tym człowiekiem, z którym nic głębszego jej nie wiązało. Tak też i owego wiosennego poranku, natknąwszy się przypadkowo na Józkę, pewną była, że nigdy więcej rozmawiać z nią nie będzie. Tymczasem stało się inaczej, gdyż Józka wkrótce potym zgodziła się do dworu na służącą i oto Marta pozostawała z nią w ciągłej styczności, miała co chwila jakieś zlecenie do dania. Dzwonek był w wiecznym ruchu: Józka zapnij mi suknię, oczyść buciki, Józka, zostawiłaś, pajęczynę na ścianie, Józka daj wody do mycia. Józka prędzej! Te i podobne nawoływania brzmiały od rana do nocy, a Józka latała, uwijała się, nie mogła nadążyć, zawsze chętna i pracowita w milczeniu spełniała rozkazy. Zniecierpliwienie nigdy nie odmalowało się na jej twarzy, tylko w ruchach dawniej tak rzeźkich coraz częściej przejawiało się znużenie. Trzy lata służby minęło, szereg dni spędzanych nad balją, wiele nocy nieprzespanych, gdy pilną trzeba było wykańczać robotę. W szafie jasnie pani wyprawa z przed dwudziestu

paru lat trzymała się jeszcze dzięki niezliczonym cerom i łatom. W pokojach świeciły się posadzki często froterowane, ścieżka, wiodąca do pompy wydeptana była stopami Józki, panienska miała codziennie kąpiele uciulane z wiader wody na ramionach noszonych, nad kurnikami także Józka czuwała. Nic w tym dziwnego, wszystko to są obowiązki dobrej sługi.

Marta lubiła wspomnienia, chowała stare listy, pisywała nawet pamiętnik, ale o jednej chwili w swym życiu zapomniiała zupełnie, zapewne była ona zbyt krótką i nadto odruchową. Nie wspomniiała ona bowiem nigdy tego momentu pierwszej młodości, gdy w blaskach jesiennych poczuła się utożsamioną z wiejską dziewczyną, kiedy w uniesieniu przypisała duszy prostej tę samą moc odczuwania zjawisk, kiedy wreszcie zapagnęła wiedzieć historję nieznanego sobie serca, bo czuła, że ono również przeznaczone jest do głębokiego uczucia. Dziś już nie pamiętała o tym i Józka była dla niej tylko sługą — zupełnie obcą istotą.

W skromnym pobielanym pokoiku stoi ogromny kosz z bielizną, deska oparta o stół, i krzesło przykryte sukmem, pochylona nad nim postać dziewczyny umiejętnie kieruje żelazkiem po batystowej bluzce. Nie jest to już ta sama Józka hoża i rumiana, ręce ma opierzchle i popękane od prania, plecy pochylone od noszenia wody, ptak to uwięziony, co swobody swej zapo-

mniał, wyrobnicą pracą sterana; wyraz twarzy pozostał spokojny, a oczy myśli nabrały. Świeże rumieńce w wypieki się zamieniły i jędrne piersi nieco zapadły. Od czasu do czasu Józka oczy z nad prasowania odrywa i przez otwarte okno wzrok jej z widoczną tęsknotą zatapia się w ogród pełen zieleni. Patrzy na stare modrzewie, na ścieżkę bielejącą od żwiru, na klomb różowych lewkonji, znać, że nietylko wzrok jej przywiera do tych wszystkich drzew i kwiatów, lecz, że i wspomnienia sercu bliskie wiążą się z nimi. Spojrzenie to idzie z głębi duszy i celem jego nie jest ani zachwyt nad świeżością kwiecia, ani chęć oderwania się od monotonnej pracy, lecz najwidoczniej usiłuje ona w myśli odtworzyć sobie obrazy dawniejsze, z których tło pozostało tylko.

Trzy lata temu Józka wśród tych samych roślin widywała swego Stacha, gdy róże do palików przywiązywał, lub osypywał perlistymi strumieniami wody liście, kwiaty i pąki. Poglądała ona na niego z dumą i radością. Chłop był to silny, zdrów i przystojny, a przytym ogrodnik dbały. Ledwie go Józka poznała, zaraz ją coś za serce ku niemu pociągnęło, a i on chętnym się jej wydawał od pierwszego momentu. Z myślą o Stachu łączyły się wszystkie dni ubogiego życia Józki, w sierocym jej sercu budziło się uczucie tym żarliwsze, im bardziej była samotną. Istnienie dziewczyny przechodziło przez silną tęsknotę za szczęściem, lecz ra-

dości w kochaniu swym miała niewiele. Z początku, gdy każde z nich od swego zajęcia oderwało się na chwilę, wówczas rozmawiali z sobą przez okno i dusza śmiała się do ukochanego, a serce jej tęskniło do wymiany tych kilku słów. Stach jednak podchodził coraz rzadziej, mówił, że go kto zobaczy i wyśmieję, a Józce przykro było, iż mu przykro pod jej oknem stać, bo przecie bylejaką nie jest, tylko uczciwą dziewczyną i na romanse nie leci, a w kochaniu jej winy żadnej niema. Markotno jej się też zrobiło, gdy jej gałgany wymawiał, bo przecież wie, czemu na stroje niema. Sześćdziesiąt rubli rocznie wiele nie jest, a Stach zapowiedział, że wpierw ślubu nie będzie, aż sto rubli mu do ręki da, aby mógł sobie ogródek własny założyć. Zbiera tedy Józka i grosz do grosza odkłada, ale że to i starej matce na życie trzeba coś nie coś ofiarować, więc oszczędności niełatwo przychodzą, przez pierwszy rok zebrała trzydzieści rubli. Pani za stłuczony wazon kazała na kościół zapłacić pięć, pozostało więc tylko dwadzieścia pięć. Pewnego dnia Stach przyszedł do dworskiej kuchni kwiaty w wazony układać. Przyglądała mu się Józka, jak zgrabnie łodygi rafją okręcał i kształt wiązankom nadawał. Dziewczyna wybierała białe róże i w zamyszeniu mu je podawała. Milczeli, Stach był nachmurzony, bo mu poprzedniego dnia przez okno do swego pokoju wejść nie dała, pytając: „Jakże to, niedawno tu stać się wstydziliś,

a teraz, że noc, to włazić, jak złodziejowi się zachciewa?”

Rozgniewał się i dotąd słowem nie przemówił. Józka pierwsza ciszę przerwała tym częstym zapytaniem: kiedyż my Stachu przed ołtarz pójdziemy? — A sto rubli masz? — zapytał. Józka szafę otworzyła, wyjęła pudełko od kakao i wysypała na stół przeróżną monetę. Ogrodnik robotę przerwał i chciwy wzrok w pieniądzach utopił. Dziewczyna nachyliła się i liczyć zaczęła, ręka jej drżała, myliła się i znów zaczynała. Odepchnął ją i sam w mgnieniu oka przeliczył. Czterdzieści trzy — zdecydował. A więcej? — zapytał. Nie mam — brzmiała odpowiedź. — No to czego chcesz? — zapytał cierpko. „Stachu! — zawołała niemal z rozpaczą — przecież my się kochamy! Nie był do jednak dla niego argument dostateczny, bo odrzekł: — kochanie swoją drogą, a pieniądze swoją, miłością się nikt nie naje, a to ci powiem, abyś się nie naprzykrzała, że jakbym chciał, to i ekonomówna by za mnie wyszła, choć ma pół tysiąca posagu! — Straszne przerażenie odmalowało się na twarzy Józki, ale jak zwykle przysiadła nic nie mówiąc. W tej chwili odezwał się dzwonek wzywający ją do pokoju. Zerwała się na równe nogi i uciekła.

W miesiąc potem przyszedł znów Stach i mówi: No, Józka, dowidzenia, pokłóciłem się z dziewczinką i odchodzę.

Jak grom spadły te słowa w dziewczynę. — Jakto, zaraz? — spytała. — Od jutra. — A dokąd pójdziesz? — Miejsca szukać. — Józka schyliła głowę nad robotą, milczenie zaległo, ścisnęła ją coś koło serca boleśnie, słowa wymówić nie mogła.

— Jak się gdzie ulokuję, dam ci znać — rzucił jej na pożegnanie. Poszedł. Czekwała listu, pytała ludzi, napróżno. Mijały miesiące, spodziewała się wciąż, że nadejdzie, zbierała dla niego pieniądze, oszczędzając, pracując... Gdyby nie przyszedł, to zabrawszy sto rubli pójdzie w świat za nim, a znaleźć musi. Trwała w tej wierze i tak skończyło się teraz trzy lata pracy, brakowało zaledwie dziesięciu rubli. Maluczko już, maluczko — myślała Józka — wszystkie te wspomnienia myślą przebiegszy.

Marta jest narzeczoną. Największa zagadka jej życia została rozwiązana. Marzenia jej ucieleśniły się, pragnienia się ziszczą. To wszystko stało się tak prędko, że jest wprost oszołomiona wrażeniami. Chcąc przekonać się, że nie śni, powtarza sobie w myśli wszystko od początku. Najpierw oświadczyły. W tym samym saloniku, tu na tej kanapce siedziała... powiedział jej to, na co czekała od dawna, lecz nie przypuszczała, że to właśnie jego usta słowa te wyszepczą. Nie domyślała

się... jak mogła się nie domyślać? przecież to było tak wyraźne. Szukał zawsze jej towarzystwa, wpatrywał się w nią z takim zachwytem, teraz dopiero wie, że to było spojrzenie miłości, wpięrow myślała, że to tylko sympatja. Niedomyślna jestem, powtarza Marta, a mówią, że kobieta zawsze instynktem wyczuje, iż jest kochaną. — Żebyż on prędzej przyjechał, wszak obiecał być o piątej! — niecierpliwiła się Marta. Czekala niedługo. Niebawem młoda para narzeczonych spacerowała w towarzystwie matki. Ta ostatnia pragnęła przyszłemu zięciowi pokazać gospodarstwo, poszli w podwórze oglądać nowe budynki.

— Niech pan patrzy, ta obora kosztowała mnie pięć tysięcy, okna żelazne, podłoga wylana cementem, żłoby...

— Rzeczywiście, podziwiam — odpowiadał narzeczony, lecz był tak zaabsorbowany Martą, że nic prócz niej zdawał się nie widzieć i ją to raczej podziwiał.

— A teraz idziemy do spichrza — zadecydowała matka — pokażę panu próbki ziarna.

Poszli. Czuł ciepłą rączkę Marty, opartą na jego ramieniu i było mu niewysłowienie błogo. Dotknął jej dłoni lekko, pieszczotliwie i szepnął jej do ucha: „śliczną ma pani rączkę”. Zarumieniła się na tę pierwszą pochwałę. On zaś zgadywał kształty jej ramion, nówek, piersi, ciekawy chwili, kiedy to po raz pierwszy danym mu będzie zoba-

czyć. Tymczasem mama, uzyskawszy najgorętsze uznanie za ziarno pszenicy, a właściwie za córkę, szła dalej, przyśpieszając kroku. Młodzi przez chwilę pozostali z tyłu i zdążyli zamienić gorące spojrzenia. Marta zaczęła tęsknić za pierwszym pocałunkiem, a on, patrząc na czarny meszek nad górną jej wargą, odgadywał niewątpliwą zmysłowość i ciekaw był, jak smakują jej usta, jak pachną włosy, jak tulą ramiona. „Moja!” — wyszeptał ledwo dosłyszalnie, a ona prędzej odgadując, niż słysząc, odszepiała: „Mój” — i było to jedno z najśłodszych słów na ziemi, choć na pozór tak proste. Weszli do ogrodu. Cienista aleja kasztanów miała coś tajemniczego w sobie, ale im dwojgu tu idącym wydawało się wszystko przed nimi tak jasne, gdyż poznali najcudniejszą i największą tajemnicę miłości. Byli zatopieni w sobie, nie pytali o nic, istniała dla nich na razie tylko przyszłość, o przeszłości zapominali. Czuli ogromne zharmonizowanie się dusz i mieli to przeświadczenie wewnętrznej jednolitości, które jest podwaliną szczęścia. Mama pokazywała klomby, krzewy i zwracała uwagę na położenie ogrodu nader malownicze w rzeczywistości. W lipowym szpalerze wycięta była perspektywa na rozległy krajobraz: na tafłę błyszczącą jeziora, na lasy w oddali czerniejące i szeroką rozpadlinę gruntu, rodzaj jaru, czy wąwozu. Marta widok ten знаła doskonale, jednak w tej chwili przy ramieniu ukochanego człowieka,

czuła się zdolniejszą do głębszego odczucia piękna przyrody. Stali więc wpatrzeni czworgiem oczu, ale jedną duszą. Mama odeszła, powołana do domowych zajęć. Pozostali po raz pierwszy sam na sam. Jerzy pochylił się i szepnął: „Daj usta”. Ona cofnęła się odruchowo, jakby wzdragając się, lecz po chwili podniosła ku niemu nieskalane żadną pieśczętą wargi: pili słodycz, przyjmowali cichą komunję miłości, trwając w tym połączeniu niemym z nadmiaru szczęścia — czucia. Potym rozłączyli się zwolna i Jerzy, czując że tej najświętszej w życiu dziewczęcia chwili nie wolno żadnym skalać słowem, rozstał się w milczeniu, a ona również nie zapytała dokąd idzie, gdyż w objawieniu szczęścia znieruchomiła...

O świcie do pokoju Józki ktoś zapukał. Zerwała się w koszuli, by drzwi otworzyć. Przez myśl jak błyskawica przeleciało przypuszczenie Stach?! Wzruszenie ogarnęło ją tak wielkie, że zapytać się nie śmiała, kto to? Powoli z zapartym oddechem dotknęła zasówki i nie poruszając jej, myślała: przypomniał ją sobie, powrócił, pieniądze mu odda, do ślubu wnet pojedą... Nagle, dobrze jej znany głos zawołał: „Żywo, Józka, otwieraj”! Rozwarła drzwi szybkim ruchem i odskoczyła w tył, jak piorunem rażona. Na progu stanęła siostra jej, Maryna.

— Cóżes taka blada?—spytała przybyła.

— E nic... Ręką przeszedłszy po czole, jakby do uprzytomnienia się przywołując, Józka szepnęła: pewniem spała zbyt mocno...

— Ledwiem się ciebie dobudziła, a czasu mam mało. Cóż tam twój Stach? podobno aż do Warszawy pojechał?

— Skąd wiesz? — zapytała gwałtownie.

— Ludzie tak mówią, musi nieprędko wróci, lepiej się za innym chłopcem obejrzyj.

Józka nic nie odrzekła, ale szare jej oczy napęłniły się smutkiem bezmiernym. Maryna jąła tłómaczyć cel swego przybycia:

— Przyszłam do ciebie z interesem, z prośbą, bo podobno pieniędzy wiele uzbierałaś, a ja do Ameryki umyśliłam jechać i pieniędzy na drogę nie mam.

Prosiła siostrę o pożyczkę, zaręczając, że za dwa miesiące, skoro obiecaną posadę obejmie, odeśle jej pieniądze z procentem.

Dziewczyna z początku ani słyszeć o tym nie chciała, ale wkrótce zmiękła, gdyż serce miała dobre, a powtóre siostrze ufała i pewną była zwrotu. Maryna wyszła z 90 rublami, obiecując, że całe sto niebawem odeśle.

Słowo „kochani”, pełne zmysłowego drżenia, gorące, jak powiew południa, pełne nadziei i obie-

tnic szło z duszy Marty do duszy Jerzego i wracało do niej jeszcze żarliwsze, doświadczone, pragnące bez granic. Po pierwszym pocałunku zaczęli tęsknić do drugiego, po drugim do następnych i nigdy ich syci nie byli, wiecznie wyschłe wargi ożywały i nabiegały krwią przy czaru pełnym zetknięciu. Każdy pocałunek był inny, każdy nowy, nieznany, jakgdyby pierwszy. Bo różnym bywa zetknięcie dwojga ust kochających...

Jest pocałunek dusz, które z każdą chwilą bardziej się poznają i jednoczą, taki bywa cichym, pełnym skupienia i powagi — jest to pocałunek wiecznego powitania. Jeden człowiek odnalazł drugiego wśród życia burz i odmętów i ten staje mu się dopełnieniem własnego ja, wita w nim towarzysza każdej chwili.

Bywają też pocałunki wiecznej tęsknoty, są one potrzebą serca ludzkiego, które kochającej łaknie pieszczoty i te bywają gorące, szybkie i częste, zapalają się jedne od drugich. Okrywa się nimi istotę ukochaną i wzamian pragnie się, wymaga od niej coraz częstszych i częstszych. Czuwa się codziennie, aby nigdy nie stały się rzadszymi.

Pocałunki zmysłów są najróżnorodniejsze. Czasem muskają zaledwie policzki i drażnią, laskoczą skronie. Częściej wpijają się wargami w wargi namiętnie, żywiołowo, aż do krwi. Kiedyindziej są pełne wyrafinowania, zmysłowa warga dolna obsuwa się po całym ciele, pozostawiając poza sobą

chłodną snugę, dreszcz przewlekły... Niekiedy usta spijają ślinę słodkiego przeciwnika w miłości i lubują się w mdławym cieple języka i dziąseł. Najbardziej jednak pożarne są pocałunki ciał, które poprzez osłony ubrań zbliżają się do siebie, przywierają, czują się i zgadują. Pragnienie je rozrywa, wola stawia hamulce, lecz ręce błądzą gorączkowo, szukając coraz większych tajemnic. Ludzie, którzy odsłonili przed sobą tajniki myśli, pragnień i serc dążą żywiołowo do odsłonięcia ciał i wołają całym jestestwem: niech się stanie miłość! Rozum jednak poddaje się pewnym prawom, których przekroczyć nie wolno w imię społecznego porządku. I to poddanie się moralnemu prawu jest chwałą rozumnej miłości.

Marta i Jerzy spędzali dni całe w upojeniu szczęścia, mijały tygodnie za tygodniami. Pewnego dnia siedzieli przy biurku i spisywali wyprawę. Marta przesyłała Hersemu obstalunek na suknie, miały kosztować około tysiąca rubli.

— A czy nie zapomniałaś o balowej?—pytała matka w rogu pokoju, gdzie zajęta była robotą.

— Coprawda — odpowiedziała Marta — wizytowe będą tak strojne, że to wystarczy.

— O nie, nie... — zaprzeczyła żywo mama — balowa koniecznie...

— Koniecznie — potwierdził narzeczony.

W tej chwili do pokoju wbiegł lokaj, wołając: „Proszę jaśnie pani, Józia zemdlą!”

Wszyscy natychmiast znaleźli się w kuchni. Na kamiennej posadzce leżała na wznak dziewczyna, ręce miała rozkrzyżowane, twarz raczej umarłej, niż żywej istoty, opodal niej leżał rozpieczętowany papier, a pode drzwiami stał posłaniec z poczty.

Marta podniosła depeszę i przeczytała nadesłaną z Ameryki wiadomość o śmierci Maryny.

— Upraszam o pokwitowanie — nalegał posłaniec.

Marta podpisała to pokwitowanie wszystkich nadziei, całej wiary, jaka jeszcze mogła być pozostać w sercu dziewczyny.

Chorą ocucono i zaniesiono do łóżka w gorączce.

Marta pytała służby o wyjaśnienie zdarzenia. Powiedziano jej o sturublowej pożyczce, która przepadła ze śmiercią siostry i o tym, iż od tych pieniędzy zależało zamążpójście Józki. Marcie wydało się dziwnym to kupowanie szczęścia za sto rubli, lecz na tym skończyły się jej refleksje i pobiegła kończyć spis swej wyprawy.

SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Śmierci niema.	9
Morze	15
Wala.	49
Janku!	55
Przeszłość	61
Wesele	77
Braciszek	87
W noc ciemną	103
Wieś i słońce	109
Z mroków wojny	113
Dlaczego	115
Nasze wojska	121
Sanitarjuszka	141
Hala	223
Zmartwychwstanie	237
We dworze	249
Na posadzie	277
Miłości na chwałę czy w ofierze?	351



**INSTYTUT
BADAŃ BIBLIOTECZNYCH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat 72

00-200 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-64-31 w. 42

F
445